

O czym szumią wierzby



KENNETH GRAHAME

O czym szumią wierzby

TŁUM. MARIA GODLEWSKA, ZOFIA BAUMANOWA

ROZDZIAŁ I. NAD BRZEGIEM RZEKI

Kret pracował zawzięcie przez cały ranek, robił wiosenne porządki w swoim mieszkaniu. Najpierw zamiatał, potem odkurzał, a później dopóty się wspinał na drabinę, na schodki i krzesła z kubłem farby i pędzlem, aż mu kurz zasypał oczy i gardło, a czarne futerko pełne było białych plam od wapna; plecy go bolały, ramiona opadały ze zmęczenia. Tymczasem tam w górze i w ziemi otaczającej Kreta panował wiosenny ruch. Boski duch niepokoju i tęsknoty przenikał nawet do jego ciemnego, niskiego domku. Nic też dziwnego, że rzucił nagle pędzel i wykrzyknął: „Nudziarstwo! A niech tam! Pał licha wiosenne porządki!”, po czym wybiegł z domu, zapominając nawet wziąć palto.

Tam w górze coś wzywało go natarczywie, zaczął więc torować sobie drogę ku stromemu, ciasnemu tunelowi — w krecich posiadłościach taki tunel zastępuje zwirowany podjazd prowadzący do domów zwierząt, które zamieszkują bliżej powietrza i słońca — kopał więc i skrobał, i drapał, a potem znów drapał i skrobał, i kopał. Pracował pilnie małymi łapkami i mrucał do siebie: „W górę! Wzwyż!” — aż nareszcie hop! i ryjek wydosłał się na słońeczko, a Kret zaczął się turlać po ciepłej trawie rozległej łąki.

— Ładnie tu — rzekł do siebie. — Lepsze to od bielienia ścian!

Słońce ogrzewało silnie futerko, łagodny powiew pieścił rozpalone czoło, a po piwnicznym odosobnieniu, w którym Kret tak długo przebywał, śpiew szczęśliwych ptaków brzmiał dla niego prawie jak krzyk. Zerwał się na równe cztery łapki, ogarnęła go radość życia i rozkosz wiosny bez obowiązku robienia wiosennych porządków, podreptał więc aż do płotu po drugiej stronie łąki.

— Stój! — krzyknął stary królik, który strzegł dziury w płocie. — Sześć pensów¹ za przejście, to droga prywatna!

Zniecierpliwiony Kret w jednej chwili obalił pogardliwie królika na ziemię i pobiegł dalej wzdłuż płotu. Po drodze dogadywał królikom, które wychylały się śpiesznie z nor, bo chciały zobaczyć co to za awantura.

— Zjem was w cebulowym sosie! — przekomarzał się Kret i znikł, nim króliki obmyśliły, co mają mu odpowiedzieć.

Zaczęły wówczas wszystkie naraz gderać na siebie nawzajem:

— Jakiś ty głupi! Dlaczego mu nie powiedziałaś?...

— Dobre sobie. A dlaczego ty nie powiedziałaś?...

— Trzeba mu było przypomnieć...

I tak dalej, ot, jak zawsze. Zresztą było już oczywiście poniewczasie, jest to zwykła kolej rzeczy.

Świat wokół Kreta był tak piękny, aż wydawał się nieprawdziwy. Kret wałęsał się to tu, to tam, po łąkach, wzdłuż żywopłotów, po zagajnikach. Wszędzie widział ptaki budujące gniazdzka, kwiaty w pączkach, rozwijające się liście — radość, postęp i pracę. Ale sumienie wcale mu nie dokuczało, nie szeptało: „A kto pobielił ściany?”. Bardzo mu było przyjemnie, że on jeden próżnuje wśród tylu pracowitych obywateli. Bo właściwie najlepszą stroną wakacji nie jest to, że się odpoczywa, ale że się widzi, jak inni pracują.

Radość Kreta doszła do szczytu, kiedy w swojej bezcelowej wędrówce stanął nagle na

Wiosna

Rzeka

¹pens — drobna moneta brytyjska. [przypis edytorski]

brzegu rzeki. Nigdy w życiu rzeki nie widział. Cóż to za jakieś śliskie, wijące się, opasłe zwierzę, które pędzi i bulgoce, chwytając z chichotem różne przedmioty, porzuca je, śmiejąc się, napada po drodze na nowych towarzyszy zabaw, a zaledwie ci się zdołają wymknąć, już ich znowu goni i chwytają. Same iskry, błyski i promienie; wszystko migoce i drga; szmery, wiry, szepty, bańki mydlane! Kret był wniebowzięty, zachwycony. Biegł brzegiem rzeki, jak małe dziecko drepce obok człowieka, który oczarował go ciekawą bajką. Gdy zmęczył się, usiadł na brzegu, a rzeka wciąż z nim gwarzyła. W bulgotaniu wody szemrał pochod najpiękniejszych bajek świata. Przesyłała mu serce ziemi dalekiemu, nienasyconemu morzu.

Kret siedział w trawie i patrzył na przeciwległe wybrzeże. Wtem zauważył ciemną norę tuż nad poziomem wody. Jakże to rozkoszne i zaciszne miejsce dla zwierzęcia o skromnych wymaganiach, które pragnęłoby zamieszkać w maleńkiej nadbrzeżnej willi, z dala od kurzu i hałasu; tutaj powódź by mu nie groziła. Kret patrzył, snując marzenia. Raptem w samym środku nory mrugnęło coś małego i jasnego, znikło i znów mrugnęło jak maleńka gwiazdka. Ale przecież nie mogła to być gwiazdka w tak dziwnym miejscu, a na robaczka świętojańskiego było za małe, przy tym za jasno błyszczało. Gdy się w to bacznie wpatrywał, gwiazdka mrugnęła porozumiewawczo i okazało się, że to było oko. A stopniowo zarysował się koło oka mały pyszczyk niby ramka wkoło obrazu.

Brązowy, wąsaty pyszczyk. Poważny, okrągły pyszczyk, z tym samym błyskiem w oku, który zwrócił uwagę Kreta. Malutkie zgrabne uszka i gęste, jedwabiste włosy. Był to Szczur Wodny!

Obydwa zwierzątka stały i przyglądały się sobie nieufnie.

— Jak się masz, Krecie — powiedział Szczur Wodny.

— Jak się masz, Szczurze — powiedział Kret.

— Chciałbyś może przeprowić się na tę stronę? — spytał po chwili Szczur Wodny.

— Łatwo to powiedzieć — rzekł Kret nieco gniewnie, bo nie znał rzeki i zwyczajów nadbrzeżnego życia.

Szczur nic nie odrzekł, pochylił się tylko, odwiązał jakiś sznur, pociągnął, a potem wskoczył lekko do łódki, której Kret nie zauważył. Łódka była pomalowana z wierzchu na zielono, a w środku na biało i mogła pomieścić dwoje zwierząt. Od razu zyskała serce Kreta, choć jeszcze nie rozumiał dobrze, jaki z niej pożytek.

Szczur szybko i zgrabnie przeprowił się na drugą stronę, a gdy Kret zstępował w dół lękliwie, wyciągnął do niego przednią łapkę.

— Oprzyj się! — zawołał. — Dalej, śmiało!

I Kret ku swojemu zdumieniu i radości zasiadł przy sterze prawdziwej łódki.

— Nadzwyczajny dziś dzień dla mnie! — rzekł, kiedy Szczur odepchnął czółno i zabrał się do wiosł. — Czy wiesz, że ja przez całe życie ani razu nie siedziałem w łódce?

— Co ty mówisz? — wykrzyknął Szczur z rozdziawionym pyszczkiem. — Ani razu nie... nigdy?... Ja... W takim razie coż ty robił?

— Więc to aż taka przyjemność? — spytał nieśmiało Kret. Ale był gotów od razu uwierzyć w tę przyjemność, kiedy rozparł się wygodnie, spojrzął na poduszki, wiosła, dulki, całe urządzenie i poczuł pod sobą lekkie kołysanie czółna.

— Przyjemność? Nie ma nic rozkoszniejszego — stwierdził uroczyście Szczur Wodny, pochylając się naprzód, aby nabrać rozmachu. — Wierz mi, młody przyjacielu, nie ma nic, naprawdę nic, co dałoby się porównać ze zwyczajną włóczęgą łodzią. Po prostu płynąć — ciągnął dalej rozmarzony — płynąć... łodzią... płynąć...

— Uwważaj, Szczurku! — zawołał nagle Kret.

Ale było już za późno. Łódź całą siłą uderzyła o brzeg. Marzyciel, wesoły wiosłarz, leżał na plecach łapkami do góry na dnie czółna.

— Płynąć łodzią... lub choćby w niej siedzieć — ciągnął dalej spokojnie z miłym uśmiechem. — Płynąć łodzią albo obok niej, wszystko jedno. Doprawdy, nic nas wówczas nie obchodzi i to właśnie jest cały urok! Czy wyruszysz w drogę, czy nie wyruszysz, czy dotrzesz do miejsca przeznaczenia, czy całkiem gdzie indziej, czy może nigdzie w ogóle nie dojedziesz, wciąż jesteś zajęty, chociaż nie robisz nic określonego. A kiedy skończysz swoją pracę, znajdzie się inne zajęcie. Możesz się do niego zabrać, jeśli chcesz, ale lepiej nic nie robić. Wiesz co? Jeżeli naprawdę nie masz dziś innego projektu, może byśmy popłynęli w dół rzeki na cały długi dzień?

Oko

Kret zamachał radośnie łapkami, westchnął z zadowoleniem pełną piersią i rozparł się jeszcze wygodniej na miękkich poduszkach.

— Cóż to za nadzwyczajny dzień dla mnie! — wykrzyknął. — Płynmy jak najszybciej!

— Proszę o trochę cierpliwości — rzekł Szczur.

Przywiązał linkę od łódki do żelaznego kółka na przystani, pogramolił się do swojej nory i po krótkiej chwili ukazał się, zgięty pod ciężarem dużego, wiklinowego kosza z zapasami.

— Wsuń to pod nogi — zwrócił się do Kreta, podając mu kosz. Potem odwiązał linkę i wziął się do wioseł.

— A co tam jest w środku? — spytał Kret, który skręcał się z ciekawości.

— Jest kurczę na zimno — wyliczał zwięźle Szczur — ozór na zimno, szynka na zimno, pieczeń na zimno, marynowane korniszony, paszteciki, kanapki z rzeżuchą, pasztet, piwo, lemoniada, woda sodowa.

— Dość już, dość! — wołał zachwycony Kret. — Za wiele tego wszystkiego!

— Naprawdę tak uważasz? — zapytał Szczur z powagą. — Zabieram zwykle tę samą ilość zapasów na krótkie wycieczki, a inne zwierzęta twierdzą, że skąpe ze mnie zwierzę i że za cienko wszystko kraję.

Kret nie słuchał. Był pochłonięty nowym życiem, w które wkraczał, upojony blaskiem, ruchem fal, zapachami, szmerami, światłem słońca. Zanurzył łapkę w wodzie i śnił na jawie.

Szczur Wodny, dobry kolega, wiosłował pilnie i nie przeszkadzał towarzyszowi.

— Bardzo mi się podoba twój ubiór — zauważył po jakiejś półgodzinie. — Jak tylko będę miał pieniądze, też sobie kupię czarną, aksamitną bonżurkę.

— Przepraszam cię — rzekł Kret, opanowując się z wysiłkiem. — Pewnie myślisz, że jestem bardzo źle wychowany. Ale to wszystko jest dla mnie zupełną nowością. Więc... to... jest... rzeka?

— To jest nasza Rzeka, jedyna na świecie! — sprostował Szczur.

— I ty naprawdę mieszkasz na jej wybrzeżu? Jakże to musi być rozkoszne życie!

— Na jej wybrzeżu, i w niej, i na niej — sprostował znowu Szczur. — Jest mi bratem, i siostrą, i ciotką, i towarzyszem, i pokarmem, i napojem, i — oczywiście — kąpielą. To mój cały świat, innego nie chcę. Nie warto mieć tego, co nie pochodzi z Rzeki i nie warto wiedzieć tego, o czym ona nie wie. Miły Boże, czegośmy to razem nie przeżywali! Zimą czy latem, wiosną czy jesienią, Rzeka jest zawsze ciekawa i przyjemna. W lutym, podczas powodzi, napój, którego nie używam, pieni się w piwnicach i suterrenach. Brązowa woda dochodzi do okna mojej najpiękniejszej sypialni. A znów gdy wody spłyną, pokazują się mielizny pachnące plackiem z rodzynekami, a kanały zarastają wodorostami i trzcina. Wtedy mogę suchą łapką przemierzać prawie całe koryto Rzeki. Wyszukuję świeżego pożywienia i przedmiotów, które niedbali ludzie wyrzucają z łodzi.

— Czy nie jest ci czasem trochę nudno? — odważył się spytać Kret. — Tylko ty i Rzeka... nie masz nikogo, do kogo byś mógł słowo przemówić.

— Nikogo do kogo bym... No, nie biorę ci tego za złe — odparł cierpliwie Szczur. — Dopiero co tu przybyłeś i oczywiście o niczym nie masz pojęcia. Wybrzeże jest teraz tak zaludnione, że wiele osób się stąd wyprowadza. To już nie to, co dawniej. Wydry, zimorodki, nury, kurki wodne, to wszystko włóczy się po całych dniach, a zawsze chcą, żeby coś dla nich zrobić, jakby każdy z nas nie miał własnej pracy, którą musi się zająć.

— A co jest tam? — spytał Kret i machnął łapką w stronę zadrzewionej dali, która tworzyła jakby ciemną ramę, obejmującą nadbrzeżne łąki na jednym z brzegów Rzeki.

— Tamto? Ach, to po prostu Puszcza — odparł krótko Szczur. — My, mieszkańcy Wybrzeża, rzadko tam zachodzimy.

— A czy tam... czy tamtejsi mieszkańcy nie są przyjemni? — spytał Kret, lekko zaniepokojony.

— N-n-no — odrzekł Szczur — poczekaj, niech się zastanowię. Wiewiórki są miłe. A także i króliki — niektóre — bo to dość mieszane towarzystwo. Jest też i Borsuk. Mieszka w samym środku Puszczy, za żadne skarby świata nie zamieszkałby gdzie indziej. Kochany, stary Borsuk. Jego nikt nie zaczepi. Napastnik miałby się z pyszna! — dodał znacząco.

— A kto by go mógł zaczepić? — spytał Kret.

Jedzenie

Rzeka

— No... oczywiście w Puszczy mieszkają rozmaite zwierzęta — wyjaśniał Szczur z wahaniem. — Łasice... i lisy... i tak dalej. Pod pewnym względem są to porządne stworzenia... Ja z nimi żyję w przyjaźni... kiedy się spotykamy... Ale czasem zaczynają dokazywać, przyznają, a wtedy... cóż, nie można im zaufać, to fakt.

Kret dobrze wiedział, że wszelkie przejmowanie się przeszłymi kłopotami, a nawet wspomnianie o nich, sprzeciwia się etykietce obowiązującej wśród zwierząt, więc nie podtrzymywał tematu.

— A co się znajduje za Puszczą? — spytał. — Tam, gdzie jest niebiesko i mglisto i widać wzgórze, które może wcale nie są wzgórzami, a także coś podobnego do miejskich dymów, ale może to po prostu obłoki?

— Za Puszczą leży Szeroki Świat — odparł Szczur. — A to jest coś, co nie obchodzi ani ciebie, ani mnie. Nigdy tam nie byłem i nigdy nie będę, i ty tam także nie będziesz, jeżeli masz trochę rozsądku. Proszę cię, nie wspominaj mi o tym. Otóż i łacha. Nareszcie! Zjemy sobie tu drugie śniadanie.

Skręcili w bok od głównego koryta Rzeki i wpłynęli na coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak małe jezioro. Zielona murawa schodziła aż na brzeg łachy; brązowe korzenie, podobne do węzów, błyszcząły na dnie cichej wody, powyżej szumiało srebrzyste ramię Rzeki. Spieniony wodospad śluzę wraz z pracowitym, ociekającym wodą młyńskim kołem, które podpierało szary, gadatliwy młyn, wypełniały powietrze kojącym szmerem dźwięków, głuchym i przytłumionym. Na tle tego szumu odzywały się od czasu do czasu wyraźnie wesole głosiki. A wszystko razem było takie piękne, że Kret podniósł w górę obie przednie łapki i westchnął z zachwytem:

— Ach! aach! aach!

Szczur doprowadził łódkę do brzegu, umocował ją, pomógł niezręcznemu jeszcze Kretowi wydostać się na ląd i wydobył kosz ze śniadaniem.

Kret poprosił, jak o łaskę, aby mu pozwolić rozpakować zapasy. Szczur przystał na to z radością, a sam wyciągnął się jak długi na trawie i wypoczywał, podczas gdy jego podniecony przyjaciel strzepywał i rozpościęrał obrus, wyjmował kolejno tajemnicze paczki i układał porządnie ich zawartość, wykrzykując za każdym nowym okryciem „Aach! aach!”. Gdy wszystko już było gotowe, Szczur zawołał:

— A teraz, mój stary, do roboty!

Kret usłuchał z wielką przyjemnością, rozpoczął bowiem wiosenne porządki wczesnym rankiem — podobnie jak inni — i nic nie pił ani nie przekąsił, bo nie chciał przerywać pracy. Poza tym wiele przeżył od tamtej pory i zdawało mu się, że do wiosennych porządków zabrał się przed wiekami.

— Czemu się tak przyglądasz? — spytał Szczur, gdy już zaspokoili pierwszy głód i Kret zdołał oderwać oczy od obrusa.

— Patrzę — odrzekł Kret — na smugę bąbelków, która sunie po powierzchni wody. Zastanawiam się, co to?

— Bąbelki? Oho! — wykrzyknął Szczur i pisnął radośnie, zachęcająco.

Szeroka, lśniaca mordka ukazała się przy samym brzegu i Wydra wygramoliła się na ląd, otrząsając wodę z futra.

— A, łakomczuchy! — wykrzyknęła, kierując się w stronę zapasów. — Czemu nie zaprosiłeś i mnie, Szczurku?

— Zaimprovizowaliśmy tę wycieczkę zupełnie nagle — tłumaczył się Szczur. — Ale, ale, oto mój przyjaciel, pan Kret.

— Bardzo mi przyjemnie — powiedziała Wydra i od tej chwili zaczęła się przyjaźń obydwu zwierząt.

— Dziś panuje wszędzie szalony ruch — ciągnęła Wydra. — Cały świat wyległ na Rzekę. Przypłynęłam tutaj, żeby mieć choć chwilę spokoju i natknęłam się na was, chłopcy. To jest... przepraszam... nie to chciałam powiedzieć... rozumiecie przecież.

Zwierzęta posłyszały za sobą szelest; sporo zeszłorocznych liści trzymało się jeszcze na żywopłocie, zza którego ukazał się pręgowany łebek i szerokie bary.

— Chodźże, zacny Borsuku! — wykrzyknął Szczur.

Borsuk postąpił parę kroków:

— Hm, takie liczne towarzystwo — mruknął, zawrócił i znikł.

Rzeka

— To do niego podobne — rzekł strapiiony Szczur. — On po prostu nie znosi towarzystwa. Już go dziś nie zobaczymy. Powiedz nam, Wydro, kto dziś wyległ na Rzekę?

— Przede wszystkim pan Ropuch — odparła Wydra. — Ma nowiutki kajak, nowe ubranie, wszystko nowe.

Szczur spojrział na Wydrę i oboje się roześmieli.

— Dawniej nie istniało dla niego nic ponad żeglowanie — rzekł Szczur — potem znudziło mu się to i wziął się do wiosłowania, w zeszłym roku zamieszkał w domku na wodzie. Musieliśmy mu wszyscy składać wizyty i udawać, że jesteśmy tym domkiem zachwyceni. Miał tam spędzić resztę życia. Wszystko, do czego się zabiera, nudzi go szybko, wciąż szuka czegoś nowego.

— To taki zacny chłop — zauważyła Wydra po namyśle — tylko nie umie utrzymać równowagi, szczególnie na łódce.

Z miejsca, gdzie się rozłożyli, widać było ponad wyspą oddzielającą łachę od Rzeki kawałek głównego koryta. W tej właśnie chwili przemknął tamtędy kajak. Wioślarz — grubas niskiego wzrostu — pracował w pocie czoła. Uderzał wiosłami o wodę, rozpryskując ją na wszystkie strony, kajak kołysał się gwałtownie. Szczur wstał szybko i zaczął pohukiwać, ale Ropuch — bo to był on — potrząsnął przecząco głową i wiosłował dalej zawzięcie.

— Tylko patrzeć, jak wyleci z kajaka, jeśli się tak dalej będzie kołysał — powiedział Szczur siadając.

— Oczywiście, że wyleci — zachichotała Wydra. — Czy ja wam kiedy opowiadałam pyszną historię o Ropuchu i dozorczy śluzę? To było tak: Ropuch...

Chrabąszcz-włóczęga leciał niepewnie w górę Rzeki jak nieprzytomny. Młodziki chrabąszczego rodu są po prostu pijane, gdy wylecą na świat. Woda zawirowała, rozległ się plusk i chrabąszcz znikł.

Znikła także Wydra.

Kret spojrział w dół. Głos Wydry brzmiał mu jeszcze w uszach, lecz nie było jej na murawie, gdzie dopiero co leżała. Jak okiem sięgnąć, ani śladu Wydry.

Po chwili na powierzchni wody znów ukazała się smuga bąbelków.

Szczur nucił jakąś melodię, a Kret przypomniał sobie, że etykieta obowiązująca wśród zwierząt zabrania wypowiadać uwagi o nagłym znikaniu przyjaciół, wszystko jedno w jakiej chwili i z jakiego powodu, nawet gdy się to dzieje bez powodu.

— Ha! — rzekł Szczur — pora już ruszać. Ciekaw jestem, kto z nas powinien zabrać się do pakowania kosza? — Szczur najwidoczniej nie palił się do tej roboty.

— O, proszę cię, pozwól, ja to zrobię! — wykrzyknął Kret.

I Szczur, oczywiście, chętnie się zgodził.

Pakowanie nie było tak miłym zajęciem jak rozpakowywanie. Ale tak zwykle bywa. Kret jednak postanowił bawić się wszystkim i dokończył pakowania, nie tracąc cierpliwości, chociaż po naładowaniu kosza i ściągnięciu go ciasno rzemykiem dojrzał talerz wyglądający z trawy; a kiedy po raz wtóry zamknął kosz, Szczur pokazał mu widelec w miejscu tak widocznym, że każdy powinien go zauważyć, a wreszcie okazało się, że Kret, nic o tym nie wiedząc, siedział na słoiku z musztardą.

Popołudniowe słońce skłaniało się ku zachodowi, gdy Szczur, wiosłując z wolna, kierował łódkę w stronę domu. Był rozmarzony, deklamował po cichu poezje i niewiele zwracał uwagi na Kreta. Kret był najedzony, dumny i zadowolony z siebie, i zupełnie już oswojony z łodzią — przynajmniej tak mu się zdawało — przy tym niecierpliwił się trochę.

— Szczurku — rzekł po chwili — teraz ja chciałbym powiosłować.

Szczur potrząsnął głową z uśmiechem.

— Jeszcze nie, mój młody przyjacielu — odparł. — Poczekaj, aż weźmiesz kilka lekcji. To nie takie łatwe, jak ci się zdaje.

Kret uspokoił się na parę minut. Ale coraz bardziej zazdrościł Szczurowi, który wiosłował silnie i z wielką swobodą. Pycha podszeptowała mu, że potrafi zupełnie tak samo wiosłować. Zerwał się więc raptownie, chwycił za wiosła, a Szczur, który patrzył na wodę, mrużąc w dalszym ciągu wiersze, dał się zaskoczyć i po raz drugi przewrócił się na wznak łapkami do góry. Zwycięski Kret zajął wolne miejsce i pełen ufności wziął się do wiosel.

Pycha

— Dajże spokój, głupi osie! — krzyczał Szczur, leżąc na dnie czółna. — Nie potrafisz, wyrócisz nas!

Kret gwałtownie zarzucił w tył wiosła i chciał je z rozmachem zanurzyć w wodzie, ale mu się to zupełnie nie udało. Nie dotknął powierzchni wody, łapki znalazły się powyżej łebka i Kret upadł na leżącego już Szczura. Przeżony, uczył się burty i w chwilę potem — plusk! — czółno się wyróciło i Kret już nurzał się w wodzie.

O mój Boże! Jakaż ta woda zimna i ach! jaka strasznie mokra! Śpiewała mu w uszach, gdy leciał w dół, w dół, w dół! Jasne i rozkoszne wydało mu się słońce, kiedy wynurzył się na powierzchnię, kaszląc i prychając, a gdy poczuł że znowu idzie na dno, ogarnęła go czarna rozpacz. Ale wtedy ktoś chwycił go silną łapą za kark. Był to Szczur, który się najwidoczniej śmiał — Kret czuł, że Szczur się śmieje — śmiech spływał z jego ramienia, wzdłuż łapki, w jego — to jest Kreta — kark.

Szczur złapał wiosło i wsunął je pod ramię Kreta, potem zrobił to samo z drugiej strony i płynąc za nim, przyholował do brzegu bezradne zwierzątko, wyciągnął je z wody i usadził na piasku, nędzne, zwiotczałe, przemokłe maleństwo.

A gdy trochę roztarł Kreta i wycisnął wodę z jego futerka, powiedział:

— Teraz, mój stary, kłusuj tam i z powrotem po ścieżce, ile tylko masz sił, aż wyschniesz i rozgrzejesz się, a ja tymczasem puszcę się na poszukiwanie koszyka od śniadania.

Więc nieszczęsny Kret, mokry z wierzchu, a w środku zawstydzony, biegł aż prawie do zupełnego wyschnięcia, podczas gdy Szczur zanurzył się w wodę, złapał łódź, odwrócił ją i przymocował przy brzegu, a potem stopniowo wylawiał i odnosił na łódź swój zatopiony majątek, wreszcie dał z powodzeniem nura po koszyk od śniadania i przyciągnął go ku brzegowi.

Gdy wszystko było znowu gotowe do drogi, Kret, zgnębiony i osłabiony, zasiadł na swoim miejscu przy sterze, a kiedy wyruszyli, odezwał się cichym, przerywanym ze wzruszenia głosem.

— Szczurku, szlachetny przyjacielu! Żałuję bardzo mego niewdzięcznego i głupiego postępowania. Serce zamiera we mnie na myśl, że z mojej winy mógł zginąć ten piękny kosz od śniadania. Zachowałem się zupełnie jak osioł, wiem o tym. Przebac mi ten jeden jedyny raz i pozwól, żebyśmy nadal pozostali przyjaciółmi.

— Dobrze już, dobrze, Bóg z tobą! — odparł wesoło Szczur. — Cóż znaczy trochę wilgoci dla Szczura Wodnego! Przebywam więcej w wodzie niż poza nią. Zapomnij o tym, i wiesz co? Zdaje mi się, że dobrze zrobisz, jeśli na jakiś czas pozostaniesz u mnie. Mieszkam bardzo skromnie, nie będziesz miał wielkich wygód — nie to, co w dworze Ropucha — o nie! Ale jeszcze u niego nie byłeś. A ostatecznie i u mnie będzie ci dość wygodnie. Nauczę cię wiosłować i pływać. Niedługo będziesz z wodą za pan brat jak każdy z nas.

Kret był tak wzruszony łagodnymi słowami Szczura, że nie mógł wydobyć głosu, aby mu podziękować. Otarł łapką parę łez, ale zacny Szczur patrzył w inną stronę. Po chwili Kret odzyskał animusz i zdobył się nawet na ciętą odpowiedź dwóm kurkom wodnym, które wyśmiewały się z jego ubrudzonego futerka.

Gdy dopłynęli do domu, Szczur rozpałił w salonie jasny ogień, usadził na fotelu przed kominkiem Kreta, przebranego w szlafrok i pantofle, i opowiadał mu aż do kolacji różne historie o Rzece. Były to opowieści niezmiernie zajmujące dla zwierzątka żyjącego pod ziemią. Historie o tamach, o nagłych powodziach i skaczących szczupakach, o parowcach, które wyrzucają butelki (butelki bywają na pewno wyrzucane i to z parowców, więc któż by je wyrzucał, jak nie parowce?), o czaplach, które nie rozmawiają z byle kim, o przygodach podczas wędrówek wzdłuż rowów, o nocnych połowach w towarzystwie Wydry i dalekich wycieczkach z Borsukiem. Kolacja przeszła nadzwyczaj wesoło, lecz zaraz po kolacji gościnnie gospodarz musiał odprowadzić strasznie już sennego Kreta do swej najlepszej sypialni. Wkrótce Kret radośnie i spokojnie złożył głowę na poduszce, wiedział bowiem, iż jego nowa przyjaciółka Rzeka chlupocze pod oknem sypialni.

Taki był pierwszy dzień wyzwolonego Kreta. Nastąpił potem szereg dni bardzo do niego podobnych, coraz to dłuższych i coraz bardziej zajmujących, w miarę jak dojrzało lato. Kret nauczył się pływać i wiosłować, wtajemniczył się w radosne życie płynącej wody,

Woda

Woda, Wiatr

a przykładając ucho do łądyg trzciny wodnych, chwycił nawet czasem coś niecoś z tego, co wiatr im szepcze nieustannie.

ROZDZIAŁ II. NA GOŚCIŃCU

— Mój kochany Szczurku — odezwał się raptem Kret pewnego pięknego poranka w środku lata. — Czy mógłbyś wyświadczyć mi pewną przysługę?

Szczur siedział nad Rzeką i nucił piosenkę. Dopiero co sam ją skomponował, więc był bardzo przejęty i nie zwracał uwagi na Kreta ani na nic innego. Od świtu pływał po Rzece w towarzystwie swoich przyjaciółek — kaczek. A kiedy kaczki — jak zwykle — stawały nagle na głowie, Szczur dawał nurka i łaskotał je po szyjach (powiedziałbym, że łaskotał je w podbródek, gdyby go kaczki miały), zmuszając je tym sposobem do szybkiego wypływania na powierzchnię. Kaczki były rozwścieczone, krztusiły się i wygrażały Szczurowi każdym piórkiem z osobna, bo przecież nie można wypowiadać wszystkiego, co się czuje, gdy się ma łebek schowany pod wodą. Ublagały go wreszcie, aby poszedł zająć się swoimi interesami i pozostawił im troskę o ich własne sprawy. Szczur oddalił się więc, usiadł na słońcu nad Rzeką i skomponował piosenkę, którą zatytułował:

Śpiew

BALLADA O KACZKACH

Hen, daleko w cichej wodzie,
Kędy szumią trzciny,
Tam kaczuszki się pluskają
I ogonki zadzierają.

Ogon kaczki, ogon smoka,
Żółte nóżki zamiast wiosel,
Żółte dzióbki wciąż nurkują,
Pilnie wodę przeszukują!

Lepka zielen wódnej rzęsy,
Gdzie zimują raki —
To dla kaczek jest spiżarnia,
Tam wszystkie przysmaki!

Każdy jakąś ma przyjemność
Którą się zajmuje.
Kaczek rozkosz: ogon w górę,
Łebek niech nurkuje!

Ponad nimi modre niebo,
Wietrzyk wieje, wzywa.
Ale kaczki wciąż nurkują,
Pożywienia wyszukują.

— Nie bardzo mi się ta piosenka podoba — zauważył Kret nieśmiało.

Nie był poetą i niewiele go obchodziło, co sobie kto o nim pomyśli, a przy tym był szczery z natury.

— Kaczki też się nią nie zachwyciły — odrzekł Szczur pogodnie. — Powiedziały: „Dlaczego nikomu nie pozwalają robić tego, co chce, kiedy chce i jak chce? Od razu ktoś inny siada na brzegu, przygląda się, wypowiada swoje uwagi, pisze wiersze o tym, co zauważył i tak dalej. To przecież nie ma sensu!”. Takie jest zdanie kaczek.

— Tak, tak, to nie ma sensu — potakiwał Kret skwapliwie.

— Nieprawda! — wykrzyknął obrażony Szczur.

— A więc dobrze, już dobrze! Zgadzam się z tobą, Szczurku — powiedział pojednawczo Kret. — Ale ja chciałem się spytać, czy nie mógłbyś wprowadzić mnie do pana Ropucha? Tyle o nim słyszałem i ogromnie chcę go poznać.

— Bardzo chętnie — powiedział poczciwy Szczur, zrywając się i odkładając poezję na inny dzień. — Wyciągnij łódkę, pojedziemy natychmiast. Ropuch o każdej porze mile wita gości. Czy rano, czy wieczorem jest zawsze taki sam: w dobrym humorze, rad, że się przyszło i zmartwiony, kiedy się odchodzi.

— Musi to być bardzo mile stworzenie — zauważył Kret, wchodząc do łódki i biorąc się do wiosł, podczas gdy Szczur sadowił się wygodnie przy sterze.

— Najlepsze ze zwierząt — odrzekł Szczur — poczciwy, prosty i serdeczny. Może niezbyt mądry, ale nie możemy wszyscy być geniuszami. Lubi się trochę przechwalać i jest zarozumiały. Ma jednak wielkie zalety.

Kiedy minęli zakręt na Rzece, ukazał się im piękny, poważny, stylowy dwór z czerwonej cegły, poczerniały od starości. Ślicznie utrzymany trawnik schodził aż na brzeg wody.

— Otóż i Ropuszy Dwór — objaśnił Szczurek. — Zatoka na prawo. Widzisz tę deskę z napisem: „Lądowanie wzbronione”? Prowadzi do prywatnej przystani Ropucha, tam zostawimy łódkę. Z prawej strony znajdują się stajnie. A w tej chwili przyglądasz się starożytnej komnacie, gdzie ucztowano w dawnych czasach — to bardzo, bardzo stara sala. Ropuch, jak wiesz, ma dużo pieniędzy, jego dwór jest jednym z najładniejszych w okolicy, choć tego przy Ropuchu nie przyznajemy.

Czołno wpłynęło do zatoki, a gdy stanęli w cieniu szopy, Kret złożył wiosła. W szopie było wiele ślicznych łódek zawieszonych na linach, inne były wciągnięte do stoczni, ale żadna łódź nie kołysała się na wodzie. Zdawało się, że z przystani nikt już nie korzysta.

Szczur rozejrzał się wkoło.

— Rozumiem — rzekł. — Skończyło się już wiosłowanie. Ropuch się znudził i porzucił łódkę. Ciekaw jestem, jaki nowy bzik go opanował. No, chodźmy go poszukać. I tak się o tym zaraz dowiemy.

Wyskoczyli na brzeg i ruszyli na przelaj przez łąkę porośniętą kwiatami szukać Ropucha. Wkrótce go znaleźli. Siedział w trzcinowym fotelu, miał zafrasowany pyszczek, a na jego kolanach rozpościerała się ogromna mapa.

— Wiwat! — wykrzyknął, zrywając się na ich widok. — Świetnie, żeście przyszli!

Uściskał serdecznie łapki obydwu zwierzątek, nie czekając, aż Szczur przedstawi mu Kreta.

— Jak to poczciwie z waszej strony — ciągnął dalej, skacząc wokół nich. — Miałem właśnie wysłać łódkę po ciebie, Szczurku, z surowym rozkazem, aby cię tu natychmiast dostawiono, żywego czy umarłego. Bardzo mi jesteście potrzebny. Obaj jesteście mi potrzebni. Czy chcecie coś zjeść lub napić się? Chodźmy do domu coś przekąsić. Nie macie pojęcia, jak dobrze się składa, żeście przyjechali!

— Posiedzimy sobie tutaj spokojnie, Ropuszku — rzekł Szczur, rzucając się na fotel.

Kret zasiadł obok niego i grzecznie pochwalił „rozkoszną siedzibę” Ropucha.

— Najpiękniejszy dwór na całym Wybrzeżu! — wykrzyknął skwapliwie Ropuch. — A nawet powiem więcej: na całym świecie!

Tu Szczur trącił Kreta. Na nieszczęście Ropuch zauważył ten ruch i zaczerwienił się. Zapanowała kłopotliwa cisza, po czym Ropuch wybuchnął śmiechem.

— Nic nie szkodzi, Szczurku — powiedział. — To przecież mój zwykły sposób wyrażania się. Przyznasz chyba, że ten dwór nie taki znowu brzydki, prawda? Tobie się też podoba. No, a teraz, chłopcy, mówmy poważnie: potrzeba mi właśnie takich zwierząt jak wy. Musicie mi pomóc. Chodzi o ważną sprawę.

— Masz zapewne na myśli wiosłowanie — wtrącił Szczur z niewinną miną. — Wcale nieźle ci już idzie, choć za dużo jeszcze rozbryzgujesz wody. Przy odrobinie cierpliwości i pewnej liczbie korepetycji...

— E! Wiosłowanie! — przerwał Ropuch z obrzydzeniem. — To głupia, dziecinna zabawka. Dawno jej zaniechałem. Strata czasu, nic więcej. Bardzo mi przykro, kiedy widzę, że wy, coście powinni już z tego wyrosnąć, tracicie czas tak bezcelowo. Nie, ja odkryłem wielką rzecz, jedyne zajęcie, które naprawdę może zapełnić życie. Pragnę temu poświęcić resztę mego żywota, żal mi tylko lat straconych, zmarnowanych na głupstwa. Chodź, kochany Szczurku, i ty, jeśli łaska, miły jego przyjacielu, pójdziemy do stajni, a wtedy zobaczycie!

Dom

Ruszył naprzód, wskazując drogę. Szczur podążał za nim bez wielkiego przekonania. Przed budynkami stajennymi stał wyciągnięty z wozowni nowiuteńki wóz cygański, koloru kanarkowego z zielonymi ozdobami i kołami pomalowanymi na czerwono.

— Oto go macie! — wykrzyknął Ropuch, skacząc dookoła i nadymając się. — Ten wóz to prawdziwe życie! Rozstajne drogi, zakurzony gościniec², wrzosowiska, wygony, żywopłoty, rozległe wzgórza! Obozowiska, wsie, miasteczka i stolice! Dziś tu, jutro tam! Wędrownika, zmiana, zainteresowanie, podniecenie! Cały świat stoi otworem, coraz to nowe widnokreśli! Zwróćcie przy tym uwagę, że ten wóz jest bezwarunkowo najpiękniejszy ze wszystkich wozów tego rodzaju. Wejdźcie do środka i zobaczcie, jak tam jest. Sam wszystko obmyślałem, sam jeden!

Kret, ogromnie podniecony i zaciekawiony, wbiegł skwapliwie za Ropuchem po stopniach do środka wozu. Szczur parsknął, wsadził łapki do kieszeni i pozostał na miejscu.

Wewnątrz wozu wszystko było naprawdę wygodnie urządzone i dostosowane do niewielkiej przestrzeni. Stały tam tapczaniki do spania, składany stolik wpuszczony w ścianę, kuchenka, szafy, półki na książki, klatka z ptakiem oraz garnki, rondle i patelnie wszelkich gatunków i rozmiarów.

— Doprowadziłem wszystko do perfekcji — rzekł Ropuch, otwierając z triumfem jedną z szaf. — Patrz: sucharki, homar w puszcze, sardynki, czego tylko dusza zapagnie. Tu woda sodowa, tam jagody, papier listowy, boczek, konfitury, karty, domino. Gdy dziś po południu ruszymy w drogę — ciągnął dalej, schodząc ze schodów — przekonacie się, że nie zapomniałem o niczym.

— Przepraszam — powiedział wolno Szczur, gryząc słomkę — czy się przesłyszałem, czy też wspomniałeś coś o „nas” i o „wyruszeniu”, i to „dziś po południu”?

— Mój zacny, kochany Szczurku — rzekł błagalnie Ropuch — nie mów takim godnym i oschłym tonem, wiesz przecież, że tak czy owak musisz pojechać. Nie mógłbym sobie w żaden sposób poradzić bez ciebie. Powiedz sobie, że klamka zapadła, i nie spieraj się ze mną, bo to jedyna rzecz, której nie znoszę. Nie masz chyba zamiaru przez całe życie trzymać się swej nudnej, stęchłej Rzeki, mieszkać w nadbrzeżnej dziurze i pływać łódką. Chcę pokazać ci świat! Chcę cię wykierować na zwierzę, mój drogi!

— A mnie wcale na tym nie zależy — powiedział Szczur stanowczo. — Nie jadę i koniec. Będę się trzymał mojej starej Rzeki, będę mieszkał w norze i będę pływał łódką, jak dotychczas. A Kret mnie nie opuści i postąpi tak samo jak ja, prawda, Krecie?

— Oczywiście — potwierdził wierny Kret. — Nigdy cię nie opuszczę, Szczurku. Tak będzie, jak ty postanowiłeś. Musi tak być. Choć trzeba przyznać, że projekt Ropucha wygląda bardzo... jakby to powiedzieć... bardzo zachęcająco i przyjemnie — dodał po namyśle.

Biedny Kret! Życie pełne przygód było dla niego rzeczą nieznaną i radośnie podniecającą, nową, ponętną. Do tego zakochał się od pierwszej chwili w kanarkowym wozie i jego urządzeniu.

Szczur spostrzegł, co się dzieje w duszy Kreta, i zawahał się. Nie cierpiał sprawiać komuś zawodu, a w dodatku przywiązał się do Kreta i zrobiłby prawie wszystko, aby mu dogodzić. Ropuch bacznie śledził oba zwierzątka.

— Chodźcie na drugie śniadanie — powiedział dyplomatycznie. — Obgadamy tę sprawę. Nie potrzebujemy się szybko decydować. Mnie oczywiście wszystko jedno. Chciałem sprawić przyjemność wam, chłopcy. „Życ dla bliźnich!” — oto maksyma, jaką się w życiu kieruję.

Podczas śniadania, które było naturalnie świetne, jak wszystko w Ropuszym Dworze, Ropuch odkrył karty: zrezygnował ze Szczura i zaczął grać na niedoświadczonym Krecie jak na harfie. Będąc z usposobienia zwierzęciem gadatliwym i obdarzonym bujną wyobraźnią, odmalował w tak żywych barwach projektowaną wędrownikę i przyjemność wolnego życia na gościńcu, że podniecony Kret ledwie mógł usiedzieć. W końcu jakimś dziwnym sposobem doszło do tego, iż wszyscy trzej uważali ową wyprawę za rzecz postanowioną. A Szczur — wciąż jeszcze w głębi duszy nieprzekonany — pozwolił dobremu sercu wziąć górę nad własnym poglądem. Przykro mu było sprawić zawód obydwu przyja-

²gościniec — utwardzona, szeroka droga. [przypis edytorski]

ciolom, którzy pograżyli się w planach i przewidywaniach i opracowali codzienny rozkład zajęć na przeciąg kilku tygodni.

Gdy skończyli obrady, zwycięski Ropuch zaprowadził swoich przyjaciół na błonie i kazał im łapać starego, siwego konia, którego — bez jego zgody, a nawet ku jego wielkiemu niezadowoleniu — skazał na pracę wśród kłębow kurzu, w niezbyt pociągającej dla niego wędrowce. Koń niewątpliwie wołał zostać na pastwisku i dał się złapać dopiero po wielu trudach. Tymczasem Ropuch pakował wciąż nowe zapasy do szafy i zaczepiał pod wozem torby z obrokiem, siatki z cebulą, wiązki siana i kosze. Wreszcie Kret i Szczur zdołali złapać konia, zaprzęgli go do wozu i przyjaciele wyruszyli w drogę.

Rozprawiali wszyscy naraz, idąc obok wozu czy też przysiadając na dyszlu, gdy im przyszła ochota. Popołudnie złościło się. Zapach wznoszącego się pyłu był przyjemny i orzeźwiający. Po obydwu stronach drogi rosły gęste sady, skąd dochodziło wesołe nawoływanie ptaków. Dobroduszni przechodnie pozdrawiali ich, mówiąc: „Dzień dobry”, a niektórzy zatrzymywali się i wyrażali swój podziw dla pięknego wozu. Króliki zaś, które siedziały przed swymi wejściowymi drzwiami w żywopłotach, podnosiły przednie łapki i wykrzykiwały: „O, rety! Rety!”.

Późnym wieczorem przyjaciele, uszczęśliwieni i znużeni po ujechaniu wielu mil³, zatrzymali się na łące, z dala od wszelkich zabudowań, puścili konia wolno, aby mógł się paść, i zjedli skromną kolację, siedząc na trawie obok wozu. Ropuch opowiadał z ważną miną o wszystkim, czego zamierzał w przyszłości dokonać. Tymczasem gwiazdy wokół nich stawały się coraz większe i wyraźniejsze, a żółty księżyc, który cicho i niespodziewanie pojawił się nie wiadomo skąd, aby dotrzymać im towarzystwa, przysłuchiwał się rozmowie. Wreszcie weszli do wozu i położyli się na tapczanikach, a senny Ropuch rzekł, rozprostowując łapki:

— No, dobranoc chłopcy! To jest życie odpowiednie dla dżentelmena! Co tu gadać o waszej starej Rzece!

— Ja nie mówię o mojej Rzece — powiedział Szczur cierpliwie. — Zwróć uwagę, Ropuchu, że o niej nie mówię. Ale myślę o niej — dodał cicho, z uczuciem. — Myślę o niej... bezustannie.

Kret wyciągnął łapkę spod koldry, namacał w ciemności łapkę Szczura i uściśnął ją.

— Zrobię wszystko, co zechcesz, Szczurku — szepnął. — Może wymkniemy się jutro rano, bardzo rano, i wrócimy do naszej kochanej nory nad Rzeką?

— Nie, nie, musimy zobaczyć, co z tego wyniknie — odszepnął Szczur. — Dziękuję ci serdecznie, ale nie mogę opuścić Ropucha, póki nie dokończymy tej wycieczki. Niebezpieczna rzecz zostawiać go samego. To i tak długo nie potrwa. Jego zachcianki nigdy nie trwają długo. Dobranoc.

Koniec wyprawy był rzeczywiście bliższy, niż się tego nawet Szczur spodziewał.

Ropuch spał twardo po wielu wrażeniach i długim pobycie na świeżym powietrzu. Żadne potrząsanie nie zdołało go rano wyciągnąć z łóżka. Wobec tego Szczur i Kret zabrali się do roboty po męsku, spokojnie. Szczur obrządził konia, rozpałił ogień, umył filiżanki i talerze po wczorajszej kolacji i nakrył do śniadania, a Kret powędrował do najbliższej wsi — a był to spory kawał drogi — aby kupić mleka i jajek, i różnych zapasów, o których Ropuch oczywiście zapomniał. Skończyli czarną robotę i porządnie zmachani, odpoczywali, gdy pojawił się Ropuch, wypoczęty, wesoły i wygłosił parę uwag na temat miłego i łatwego życia, jakie teraz pędzą, z dala od trosk i męczących zajęć domowych.

Tego dnia odbyli przyjemną wędrowkę przez łąki i wąskie dróżki polne i tak jak poprzednio obozowali na pastwisku, tylko że tym razem obaj zaproszeni goście dołożyli starań, aby Ropuch odrobił przypadającą na niego część pracy. Dlatego też, gdy rano nadszedł czas ruszenia w drogę, Ropuch był o wiele mniej zachwycony prostotą sielskiego życia i usiłował wrócić na swój tapczan, z którego ściągnięto go siłą. Droga, jak przedtem, prowadziła przez wąskie ścieżyny i dopiero po południu wędrowcy wydostali się na szosę, na pierwszą szosę od początku wyprawy. Czyhała tam na nich zguba szybka i nieprzewidziana, zguba, która położyła kres ich wyprawie i wpłynęła wprost druzgocąco na przyszłą karierę Ropucha.

Wędrowali, nie śpiesząc się, po szosie. Kret szedł przodem, obok konia i gwarzył

³mila angielska — miara odległości równa ok. 1,6 km. [przypis edytorski]

z nim, ponieważ koń uskarżał się, że nie bierze w niczym udziału i że nikt nie ma dla niego najmniejszych względów. Ropuch i Szczur szli razem za wozem i rozmawiali. Właściwie mówił Ropuch, a Szczur wtrącał tylko od czasu do czasu: „Tak, oczywiście. A co ty mu na to powiedziałaś?” — i myślał zupełnie o czym innym. Wtem posłyszeli daleko za sobą słaby, ostrzegawczy dźwięk, podobny do odległego brzęczenia pszczoły. Obejrzeni się i dojrzelili niewielki obłok kurzu, a w środku niego ciemny punkt. Obłok zmierzał ku nim z niesłychaną szybkością, z kurzu dobywał się cichy odgłos: „Poop! Poop!” niby niewyraźny jęk udręczonego zwierzęcia. Nie zwrócili na to większej uwagi i ciągnęli dalej rozpoczętą rozmowę, kiedy w jednej chwili (tak się im przynajmniej zdawało) nastąpiła gwałtowna zmiana. To „coś” niemal wpadło na nich wśród huraganowego wichru i szalonego hałasu. Wystraszone zwierzęta uskoczyły do rowu. „Poop, poop” zabrzmiało im w uszach spiżowo. Przez mgnienie oka ujrzeli wewnątrz połyskujące od rżniętego szkła i skóry. Wspaniały, wprost oszalamiający samochód olbrzymich rozmiarów oraz sofer, który trzymał kierownicę z naprężoną uwagą, zapanowali przez ułamek sekundy nad całą ziemią i powietrzem, zarzucili na zwierzęta oślepiającą zasłonę z kurzu, a potem znikli, stali się kropką w dali, przeobrazili się znowu w brzęczącą pszczołę.

Koń

Stary, siwy koń, który marzył, drepąc naprzód, o spokojnej łące, dał się opanować uczuciom bardzo naturalnym w tym nowym i ciężkim dla niego położeniu. Stawał dęba, wierzył i cofał się uparcie, mimo wysiłków Kreta, który trzymał go przy pysku i dosadnymi słowami odwoływał się do jego lepszych uczuć. Koń, cofając się, wprowadził ostatecznie wóz do głębokiego rowu przy szosie. Przez chwilę wóz ważył się na krawędzi drogi, po czym rozległ się rozdzierający serce łoskot i wehikuł kanarkowego koloru, ich duma i radość, leżał na boku w rowie, zniszczony nieodwołalnie.

Szczur po prostu wściekał się ze złości; biegał tam i z powrotem po szosie i krzyczał, wyrażając pięściami:

— Ach, wy gałgany! Wy bandyci! Wy zbiry! Zaskarzę was! Będę was włóczył po sądach!

Opuściła go zupełnie tęsknota za domem. Był teraz szyprem⁴ kanarkowego statku, wpędzonego na mieliznę nieopatrzniymi manewrami wrogich marynarzy. Usiłował przypomnieć sobie wszystkie cięte i sarkastyczne⁵ słowa, jakimi wymyślał kapitanom parowców, gdy podpływali zbyt blisko brzegu, a rozkołysane fale zalewały dywan w jego salonie.

Szaleństwo

Ropuch siedział na środku zapyłonej drogi z wyciągniętymi łapami i wlepił wzrok w niknący samochód. Oddychał szybko, a na jego pyszczku malował się spokój i zadowolenie. Od czasu do czasu powtarzał tylko po cichu: „Poop-poop!”.

Kret usiłował uspokoić konia, co mu się udało dopiero po jakimś czasie. Zabrał się wówczas do obejrzenia wozu, leżącego na boku w rowie. Był to doprawdy smutny widok: potłuczone szyby, beznadziejnie pogięte osie, jedno koło zdruzgotane, puszki z sardynkami rozrzucone na wszystkie strony, a w klatce ptak, który szlochał rozpaczliwie, błagając, aby go wypuszczono.

Szczur pośpieszył Kretowi z pomocą, lecz połączone wysiłki obydwu zwierząt nie wystarczyły do podniesienia wozu.

— Hej, Ropuchu! — zawołali. — Chodź nam pomóc!

Ropuch nie odpowiadał i nie ruszał się z miejsca na środku drogi. Poszli więc zobaczyć, co mu się stało. Zastali go pogrążonego jakby w transie: uśmiechał się radośnie, a oczy miał wciąż utkwione w zakurzony ślad ich pogromcy. Od czasu do czasu powtarzał jeszcze: „Poop-poop!”.

Szczur schwycił go za ramię i potrząsnął.

— Czy przyjdiesz nam wreszcie pomóc, Ropuchu? — spytał surowym głosem.

— Wspaniały, wzruszający widok — szeptał Ropuch, który ani drgnął. — Poezja ruchu! Prawdziwy sposób podróżowania! Jedyne podróżowanie! Dziś tu, a jutro już, rzekłbyś... za tydzień! Przeskakuje się wsie, osady i miasta. Ma się zawsze przed sobą nowy widnokrąg! O szczęście! O poop-poop! O rety! Rety!

— Przestańże już robić z siebie osła, Ropuchu! — wykrzyknął Kret z rozpaczą.

⁴szypier — dowódca mniejszego statku lub dużej łodzi. [przypis edytorski]

⁵sarkastyczny — uszczypliwy, szyderczy, drwiący. [przypis edytorski]

— I pomyśleć, że ja nie wiedziałem — ciągnął rozmarzony Ropuch monotonnym głosem. — Zmarnowałem całe dotychczasowe życie! Nie wiedziałem, ani mi się nawet śniło! Ale teraz, kiedy już wiem, kiedy sobie jasno zdaję sprawę, droga usiana kwiatami leży przede mną! Tumany kurzu wzniosą się za mną, gdy pomknę beztrąsco w dal! Ile ja wozów wpędzę od niechcenia do rowu na szlaku mego wspaniałego pędu! Wstrętne wózki, prymitywne wozy, wozy kanarkowego koloru!

— Co z nim zrobić? — spytał Kret Szczura.

— Nic — odparł Szczur stanowczym głosem. — Bo nie ma na to żadnej rady. Ja go znam od dawna: szal go opętał. Ma nowego bzika, a w pierwszym okresie nowego bzika jest zawsze taki. To potrwa dość długo, przez szereg dni będzie zupełnie niezdolny do jakichkolwiek praktycznych zajęć, niby zwierzę pogrążone w błogim śnie. Bóg z nim! Chodźmy zobaczyć, jak się przedstawia sprawa wozu.

Po starannym zbadaniu doszli do przekonania, że nawet gdyby im się udało we dwójkę podnieść wóz, nie byłby i tak zdolny do dalszego użytku. Osie były w beznadziejnym stanie, a koło, które odpadło, rozsypało się w kawałki.

Szczur rzucił lejce na grzbiet konia, związał je i ujął szkapę przy pysku. W drugiej ręce niósł klatkę z jej zdenerwowanym mieszkańcem.

— Chodź — rzekł ponuro do Kreta. — Do najbliższego miasteczka mamy pięć czy sześć mil, musimy przebyć je pieszo. Im prędzej puścimy się w drogę, tym lepiej.

— Ale co będzie z Ropuchem? — spytał niespokojnie Kret, gdy wyruszyli. — Nie możemy zostawić go samego na środku szosy w tym podnieceniu. A nuż nadjedzie jeszcze jeden Stwór?

— A, bierz licha Ropucha! — rzekł Szczur ze złością. — Mam go już dość!

Ale nie uszli daleko, kiedy posłyszeli tupot i zadyszany Ropuch, wciąż jeszcze wpatrzony w dal, ujął ich obu pod ramię.

— A teraz posłuchaj, Ropuchu — przemówił Szczur ostrym głosem. — Jak tylko dojdziemy do miasta, pójdziesz wprost na posterunek policji, dowiesz się, czy mają jakieś dane o tym samochodzie, może wiedzą do kogo należy, i złożysz skargę. Potem pójdziesz do kowala albo do kołodzieja i umówisz się z nim, aby przyciągnął i wyreperował wóz. Potrwa to jakiś czas, ale wóz nie jest całkowicie rozbity. Tymczasem my z Kretem wyszukamy w jakimś zajeździe wygodne pomieszczenie, gdzie będziemy mogli pozostać, dopóki wozu nie naprawią i twoje nerwy nie ochłoną po tym wstrząsie...

— Posterunek policji! Skarga! — szepnął rozmarzony Ropuch. — Ja miałbym oskarżyć tę cudowną, niebiańską wizję, która została mi łaskawie zesłana? Zreperować wóz! Skończyłem już na zawsze z wozami. Nie chcę nigdy widzieć tego wozu ani o nim słyszeć. O, Szczurku! Nie możesz sobie wyobrazić, jaki ci jestem wdzięczny za to, że zgodziłeś się pojechać na tę wycieczkę! Bez ciebie nie byłbym się wybrał i może nigdy nie ujrzalbym tego łabędzia, tego promienia słońca, tego piorunu! Mogłem nigdy nie posłyszeć tego uroczego dźwięku, nigdy nie powąchać tego czarownego zapachu! Wszystko zawdzięczam tobie, o najlepszy z przyjaciół!

Szczur z rozpaczą odwrócił się od Ropucha.

— Sam widzisz — rzekł do Kreta ponad głową Ropucha. — On jest beznadziejny. Odwołuję wszystko! Gdy dotrzemy do miasta, pójdziemy na dworzec. Przy odrobinie szczęścia możemy tam złapać pociąg, który dowiezie nas na wieczór do Wybrzeża. A jeśli kiedykolwiek przyłapiesz mnie na jakiejś wycieczce z tym irytującym zwierzątkiem!... — Tu parsknął i przez resztę męczącej wędrówki odzywał się tylko do Kreta.

Kiedy dotarli do miasta, poszli wprost na dworzec. Chwilowo Ropucha umieścili w poczekalni drugiej klasy, dając tragarzowi dwa pensy, aby go miał na oku. Potem zostawili konia w stajni przy zajeździe i wydali najwłaściwsze w swoim przekonaniu rozporządzenia dotyczące wozu i jego zawartości. Ponieważ zdarzyło się, iż wsiedli przypadkiem do pociągu, który zatrzymywał się na stacji w pobliżu Ropuszego Dworu, odstawili Ropucha, wciąż nieprzytomnego i, rzekłbyś, urzeczonego do drzwi jego domu, nakazując gospodyni, aby go nakarmiła, rozebrała i położyła do łóżka. Potem wyciągnęli z szopy swoją łódkę i popłynęli wzdłuż Rzeki do domu, a o bardzo późnej godzinie zasiedli do kolacji w przytulnym saloniku na Wybrzeżu, ku wielkiej radości i zadowoleniu Szczura.

Nazajutrz Kret spał długo i cały dzień wypoczywał. Wieczorem łapał ryby na brzegu Rzeki, kiedy nadszedł Szczur, który składał wizyty przyjaciołom i zbierał plotki.

— Słyszałeś, co za nowina? — spytał. — O niczym innym nie mówią na całym Wybrzeżu. Ropuch dziś od samego rana pojechał pociągiem do miasta i zamówił sobie wielki i bardzo kosztowny samochód.

ROZDZIAŁ III. PUSZCZA

Kret od dawna pragnął zawrzeć znajomość z Borsukiem. Borsuk był bardzo ważną osobistością i choć widywano go rzadko, odczuwało się jego niewidzialny wpływ na wszystkich. Ale ilekroć Kret wspominał o swoim życzeniu, Szczur zawsze znajdował wymówkę.

— Dobrze, dobrze — mówił. — Borsuk zjawi się tu któregoś dnia. Zawsze się od czasu do czasu pojawia, wówczas cię przedstawię. To byczy chłop. Tylko że należy brać go takim, jaki jest, a także widywać go wtedy, kiedy chce się ukazać.

— A nie mógłbyś zaprosić go na obiad czy coś takiego? — spytał Kret.

— Nie przyjdzie — odparł Szczur z prostotą. — Borsuk nienawidzi towarzyskiego życia, zaproszeń, obiadów i tego rodzaju rzeczy.

— W takim razie może poszlibyśmy go odwiedzić? — zaproponował Kret.

— O, to by mu się na pewno nie podobało! — wykrzyknął przerażony Szczur. — Jest bardzo dziki, obraziłby się z całą pewnością. Nawet ja, mimo że znam go tak dobrze, nie ośmieliłbym się nigdy złożyć mu wizyty w jego własnym domu. Przy tym to niemożliwe, przecież on mieszka w samym środku Puszczy.

— Więc cóż stąd, choćby tak było? — tłumaczył Kret. — Mówiłeś mi, jak sobie zapewne przypominasz, że Puszcza to nic strasznego.

— Ach, wiem, wiem, nic strasznego — odrzekł Szczur wymijająco. — Myślę jednak, że teraz tam nie pójdziemy, nie w tej chwili. To daleko i w każdym razie Borsuk nie przyjąłby nas o tej porze roku. Zjawi się na pewno któregoś dnia, poczekaj, bądź cierpliwy.

I Kret musiał się tym zadowolić. Ale Borsuk nie zjawiał się, a każdy dzień przynosił nowe rozrywki. Lato dawno minęło, zimno, mróz i błoto na drogach zmuszały do długiego przebywania w domu, a wezbrana Rzeka płynęła za oknami tak szybkim nurtem, że myśl o wyprawie jakąkolwiek łódką byłaby śmieszna. Dopiero wówczas Kret zaczął rozmyślać uparcie nad osamotnionym, starym Borsukiem, który żył po swojemu we własnej norze, w samym środku Puszczy.

Szczur dużo spał w zimie. Wcześniej udawał się na spoczynek i późno wstawał. Podczas krótkiego dnia gryzmołł czasem wiersze albo zajmował się drobnymi pracami domowymi. Często także wpadło jakieś zwierzątko na pogawędkę, a co za tym idzie, opowiadało się rozmaite historie i porównywało zapiski z ubiegłego lata i letnich przeżyć.

Jakież bogactwo mieścił w sobie ten rozdział życia, gdy się go wspominało! Składał się z licznych i niesłychanie kolorowych ilustracji. Na scenie Wybrzeża pojawiały się coraz to nowe obrazy, następowały po sobie w niezawodnej, spokojnej kolejności, tworząc wspaniałą pochód.

Liliowa smółka⁶ przybyła wcześniej. Potrząsała bujnie splątanymi kędziorami na skraju zwierciadła, w którym uśmiechało się odbicie jej własnej twarzyczki. Niebawem zjawiała się łagodna i smętna wierzbówka⁷, podobna do obłoku oświetlonego różowym blaskiem zachodu. Żywokost⁸ biały pełzał ręką w rękę z żywokostem fioletowym, by zająć swe miejsce w szeregu, wreszcie pewnego ranka głóg, nieufny i opieszaly, wystąpił ostrożnie na widownię i wówczas wiedziało się już, że nadszedł czerwiec. Rzekłbyś, ogłosiła to smyczkowa orkiestra, na której struny zabląkał się gawot⁹. Czekano tylko jeszcze na jednego członka towarzystwa: na pastuszkę, ulubieńca nimfy¹⁰, na rycerza, za którym wzdychają w oknach damy, na księcia, co pocałunkiem zbudzi słońce do życia i miłości. Lecz kiedy storczyk leśny, wonny i dobroduszny, w swym jasnym kaftanie zajął z wdziękiem miejsce pośród grupy, można było rozpocząć przedstawienie.

⁶smółka — roślina o czerwonych kwiatach, uprawiana jako ozdoba. [przypis edytorski]

⁷wierzbówka — wysoka roślina o wąskich liściach, podobnych do liści wierzy, i o purpurowych kwiatach z fioletowym odcieniem. [przypis edytorski]

⁸żywokost — roślina o kwiatach w kształcie zwisających dzwoneczków, koloru białego, jasnożółtego, różowego, czerwonego, fioletowego lub niebieskiego. [przypis edytorski]

⁹gawot — dawny francuski taniec salonowy albo muzyka do tego tańca. [przypis edytorski]

¹⁰nimfa (mit. gr.) — boginka mająca postać młodej, pięknej dziewczyny, uosabiała żywotne siły przyrody. [przypis edytorski]

A było to widowisko nie lada. Gdy do drzwi sennych zwierząt, bezpiecznie ukrytych w norach, dobijał się wicher i deszcz, wspominały cichy, chłodny świt na godzinę przed wschodem słońca, białą mgłą jeszcze nie rozproszoną, ścielącą się gęsto na powierzchni wody, ostry wstrząs wczesnej kąpieli, bieg wzdłuż wybrzeża i promienne przeobrażenie ziemi, powietrza i wody, kiedy nagle pojawiała się słońce. Szarość stawała się złotem, rozdziła się barwa i tryskała z ziemi. Zwierzęta wspominały leniwą drzemkę, gorące południe w gąszczu zielonych zarośli, kędy¹¹ słońce przenika małąkami i smugami, popołudniowe kąpiele i żeglarskie wyprawy, włócząc wzdłuż zapyłonych ścieżek, pośród żółtych zbożowych pól i wreszcie długie, chłodne wieczory, gdy zawierało się liczne przyjaźnie i obmyślało szereg wypraw na dzień następny.

Dużo było do obgadania podczas krótkich zimowych dni, kiedy zwierzęta zbierały się wkoło kominka. Kret miał sporo wolnego czasu i pewnego popołudnia, gdy Szczur, siedząc w fotelu przy ogniu, to drzemał, to biedził się nad rymami, które jakby na złość nie chciały do siebie pasować, Kret postanowił wybrać się samotnie na zwiedzenie Puszczy, a przy tej sposobności zawrzeć może znajomość z panem Borsukiem.

Popołudnie było chłodne i ciche, a niebo miało kolor stali, kiedy Kret wymknął się na dwór z ciepłego saloniku. Wokół niego ciągnął się nagi świat, ogołocony z liści. Kretowi przemknęła myśl, że nigdy jeszcze nie wejrzał tak głęboko i nie był tak blisko istoty rzeczy, jak w ten zimowy dzień, gdy natura, pogrążona w dorocznej drzemce, rzekłbyś, zrzuciła z siebie szaty. Zagajniki, jary, kamieniołomy, wszystkie tajemne miejsca, które podczas lata stanowiły istną kopalnię niezbadanych tajemnic, obnażyły siebie i swoje sekrety w sposób wzruszający. Zdawały się prosić Kreta, aby nie zważał na ich chwilową nędzę i ubóstwo. Wkrótce nałożą znowu bogate maski, będą mogły szaleć, kusić go i zwodzić dawnym omamieniem. Robiło to nieco żalosne wrażenie, ale zarazem napędzało otuchą, a nawet działało rozweselająco. Kret cieszył się, że mu się podoba świat bez dekoracji, zakrzepły, odarty z ozdób. Dotarł aż do nagich kości ziemi, a te były proste, silne i piękne. Nie tęsknił za ciepłą koniczyną ani za igraszkami dojrzałych traw; nie odczuwał braku zasłony żywopłotów ani potrzeby falistych draperii¹² brzoź i wiązków. Pełen otuchy dążył ku Puszczy, która rysowała się przed nim, cicha i groźna, niby czarna rafa na spokojnym, południowym morzu.

Gdy Kret wszedł do Puszczy, nie dostrzegł nic, co by go mogło zaniepokoić. Gałązki trzeszczały mu pod łapkami, potykał się o pnie, grzyby rosnące na pieńkach przypominały mu karykatury, zastanawiał się przez chwilę nad ich podobieństwem do czegoś dobrze znanego a dalekiego, ale to wszystko razem było raczej zabawne i podniecające. Mamiło go i wciągało coraz głębiej w las, aż wreszcie dotarł tam, dokąd dochodziło tylko mroczne światło, drzewa zbijały się w gąszcz, a przydrożne jamy wykrzywiały się do niego nieprzyjaźnie.

Zrobiło się bardzo cicho, mrok zapadał szybko i nieubłagane, gromadził się przed Kretem i za nim, a światło zdawało się opadać jak wezbrane wody.

A potem zaczęły ukazywać się twarze.

Pierwszy raz wydało się Kretowi, że widzi niewyraźnie zarysowaną twarz nad swym ramieniem. Była to mała, złośliwa twarzyczka w kształcie klina, wyglądała z nory, a gdy Kret odwrócił się, chcąc jej stawić czoło — znikła.

Przyśpieszył kroku, tłumacząc sobie wesoło, że to urojenie, które należy zwalczyć, inaczej nie będzie temu końca. Minął jedną wyrwę i drugą, i trzecią. A potem... tak... nie! Tak! Na pewno wąska twarzyczka o groźnych oczach zabłysła w norze i rozplynęła się. Kret zawahał się, lecz zapanował nad sobą i dążył dalej. Nagle — jakby to była zwykła rzecz — każda nora, czy to bliższa czy bardziej odległa — a tych nor były setki — zdawała się mieć własną twarz, która ukazywała się i nikła szybko, wszystkie zaś wpatrywały się w Kreta wzrokiem podstępny i pełnym nienawiści, wszystkie miały oczy nieubłagane, chytre i złośliwe.

Kret pomyślał, że gdyby mu się udało uciec od przydrożnych wyrw, twarze przestałyby istnieć. Zszedł więc ze ścieżki i zapuścił się w las.

Wówczas zaczęło się gwizdanie.

¹¹kędy (daw.) — gdzie; dokąd; którędy. [przypis edytorski]

¹²draperia — tkanina ułożona w dekoracyjne fałdy. [przypis edytorski]

Zima

Las
Strach

Kiedy Kret po raz pierwszy je posłyszał, był to odgłos słaby, choć przenikliwy, i rozlegał się gdzieś daleko za nim. Mimo to Kret przyśpieszył kroku. Potem zagwizdało coś daleko przed nim, wciąż bardzo cicho, a jednak przenikliwie. Kret zawahał się — miał ochotę zawrócić. Gdy przystanął niepewny, gwizdanie dało się słyszeć z obu stron. Rzekłbyś, podchwytywano gwizd i podawano go dalej przez całą Puszcę, aż do najdalszych jej krańców. Ci, co gwizdali, zdawali się z sobą zmówieni, czujni i na wszystko gotowi. A Kret — Kret był sam, bezbronny, pomoc znajdowała się daleko, a do tego zapadała noc.

Wówczas rozpoczął się tupot.

Kret usłyszał najpierw cichy, delikatny szmer i myślał, że to opadają liście. Lecz odgłos potęgował się, nabrał rytmu i Kret uświadomił sobie, że to nie może być nic innego, tylko bardzo jeszcze odległe tupotanie małych nóżek. Czy słyszał je przed sobą, czy za sobą? Początkowo zdawało się odzywać z przodu, a potem z tyłu, wreszcie i z przodu, i z tyłu. Tupot rósł i wzmagał się, a gdy Kret nasłuchiwał trwożnie, pochylając się to tu, to tam, otoczył go ze wszystkich stron. Zwierzątko przystało i w tej chwili ukazał się między drzewami królik, biegnący szybko w jego stronę. Kret czekał, spodziewając się, że królik zwolni kroku lub też, zobaczywszy go, zawróci. Tymczasem królik, przebiegając obok, otarł się prawie o Kreta. Oczy miał wpatrzone w dal, pyszczek surowy i zacięty, i mruczał: „Wymknijże się z tego, ty głupcze, uciekaj!” — po czym wyminął pieniek i znikł w gościnnej norze.

Tupot wzrastał, brzmiał już teraz jak nagły grad po rozpostartym wkoło dywanie z suchych liści. Cały las zdawał się biec, biec szybko, gnać, gonić, okrążyć coś czy też może — kogoś?

Przerażony Kret puścił się kłusem, bez celu, nie wiedząc, dokąd biegnie. Obijał się o coś, przewracał się przez coś, wpadał w coś, coś omijał. Wreszcie znalazł schronienie w głębokiej dziupli starej brzozy. Dziupla stanowiła kryjówkę, osłonę, może nawet — kto wie? — bezpieczeństwo. W każdym razie Kret był zanadto zmęczony, aby biec dalej, zaledwie zdołał zagrzebać się w suchych liściach nagromadzonych przez wiatr. Miał nadzieję, że chwilowo jest uratowany. Gdy tak leżał drżący, dysząc ciężko, i nasłuchiwał gwizdów i tupotania, poznał wreszcie w całej pełni owo straszliwe uczucie, nawiedzające w Puszczy małych mieszkańców pól i zarośli, uczucie, które zwierzątka te uważają za najokropniejsze przeżycie. To uczucie, przed którym Szczur starał się nadaremnie Kreta uchronić; był to Lęk czyhający w Puszczy.

Tymczasem Szczur drzemał wygodnie przy kominku. Zeszty z niedokończonymi wierszami ześlizgnął mu się z kolan, lebek opadł do tyłu, pyszczek się otworzył, a Szczur wędrował po zielonych brzegach wymarzonych rzek. Wtem osunął się węgiel, ogień zatrzeszczał, trysnął płomieniem i Szczur nagle się obudził. Przypomniał sobie swoją pracę, sięgnął na ziemię po zeszyt z wierszami, namyślał się przez chwilę, a potem obejrzał się za Kretem, chcąc spytać, czy nie zna czasem rymu do tego lub tamtego słowa.

Lecz Kreta nie było.

Nasłuchiwał jakiś czas. Dom wydał mu się niezwykle cichy. Zawołał parę razy: „Kre-ciku!”, a nie otrzymawszy odpowiedzi, wstał i wyszedł do holu.

Wieszadło, gdzie Kret wieszał zwykle czapkę, było puste. Znikły także kalosze, które stały zawsze przy koszu na parasole.

Szczur wyszedł z domu i obejrzał starannie błotnistą powierzchnię ziemi na zewnątrz nory, w nadziei, że natrafi na ślad Kreta. Rzeczywiście, ślady odznaczały się wyraźnie. Kret miał nowe kalosze, świeżo kupione przed zimą, podeszwy nie były schodzone i ich deseń odcisnął się w błocie. Tropy prowadziły prosto i zdecydowanie w kierunku Puszczy.

Szczur zafrasował się, stanął i chwilę rozmyślał. Potem zawrócił do domu, przywdział pas, za który zatknął parę pistoletów, ujął w łapkę grubą laskę stojącą w kącie holu i szybkim krokiem ruszył w stronę Puszczy.

Zmrok już zapadał, kiedy dotarł do pierwszych drzew, lecz zapuścił się w las bez wahania, rozglądając się niespokojnie na boki w poszukiwaniu śladów przyjaciela.

Tu i ówdzie wyglądały z nor złośliwe twarzyczki, lecz znikwały natychmiast na widok walecznego zwierzątka, jego pistoletów i grubej palki. Gwizdanie i tupot, które słyszał wyraźnie, wchodząc do Puszczy, przycichły, potem ustały, zapanowała wielka cisza. Szczur przeszedł las wzdłuż aż do najdalszego jego krańca, a następnie, porzuciwszy wszel-

Przyjaźń

kie ścieżki, postanowił zbadać Puszcę wszcz, przeszukując cały teren i nawołując wciąż krzepiąco:

— Kreciku! Kreciku! Kreciku! Gdzie jesteś? To ja, stary Szczur!

Biegał tak cierpliwie tu i tam po Puszczy godzinę, a może i dłużej, gdy wreszcie ku swojej radości dosłyszał cichy odzew. Kierując się nim, przedarł się wśród wzrastającej ciemności do stóp starej brzozy, w której pnii znajdowała się dziupla, i tam doszedł jego uszu słaby szept:

— Czy to naprawdę ty, Szczurku?

Szczur wdrapał się aż do dziupli i odnalazł Kreta, który dygotał, zupełnie już wyczerpany.

— O Szczurku! — wykrzyknął Kret. — Tak się bałem! Nie możesz sobie wyobrazić, jak straszliwie się bałem!

— Rozumiem to, dobrze rozumiem — uspokajał go Szczur. — Nie trzeba było tu przychodzić, Kreciku. Źle zrobili. Szczerze pragnąłem oszczędzić ci tego. My, mieszkańcy Wybrzeża, prawie nie zapuszczamy się samotnie w Puszcę. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, chodzimy co najmniej we dwójkę, wówczas zwykle wszystko układa się pomyślnie. A poza tym należy znać zaklęcia, których ty jeszcze nie znasz. Mam na myśli hasła, znaki i skuteczne powiedzonka, i zioła, które trzeba mieć w kieszeni, i wiersze, które trzeba powtarzać, i fortele, i sztuczki. Wszystko to są rzeczy względnie proste, ale musi się o nich wiedzieć, gdy się jest małym zwierzątkiem, inaczej wpada się w tarapaty. Oczywiście, gdybyś był Wydrą albo Borsukiem, sprawa przedstawiałaby się całkiem inaczej.

— Dzielny pan Ropuch nie miałby zapewne nic przeciwko temu, aby tu przyjść samotnie, prawda? — spytał Kret.

— Nasz zacny Ropuch? — Szczur zaśmiał się serdecznie. — Ropuch nie pokazałby tu swego pyszczka nawet za cenę czapki pełnej złotych monet.

Kret nabral otuchy, słysząc beztroski śmiech Szczura, widząc jego laskę i parę błyszczących pistoletów. Wstąpiła w niego odwaga, przestał dygotać, wracał do równowagi.

— A teraz — rzekł Szczur po chwili — musimy wziąć się w garść i ruszać do domu, póki jeszcze trochę widno. Rozumiesz, że nocowanie tutaj byłoby niepożądane, choćby z powodu zimna.

— Drogi Szczurku — powiedział biedny Kret — strasznie mi przykro, ale czuję się śmiertelnie wyczerpany, to fakt, który nie ulega najmniejszej wątpliwości. Musisz pozwolić mi jeszcze trochę wypocząć i odzyskać siły, jeżeli w ogóle mam dotrzeć do domu.

— Ależ zgoda! — oświadczył pocziwy Szczur. — Odpoczywaj! Teraz jest jeszcze ciemno, choć oko wykol. Później powinien pokazać się kawałek księżycy.

Wobec tego Kret rozłożył się wygodnie i zagrzebał głęboko w liście, a wkrótce zapadł w niespokojny, przerywany sen.

Szczur tymczasem okrył się, jak tylko mógł najlepiej, aby się rozgrzać, i czekał cierpliwie, leżąc z pistoletem w łapce. Gdy Kret zbudził się wreszcie, zupełnie wypoczęty i jak zwykle pogodny, Szczur rzekł:

— A teraz wyjrź i zobacz, czy wszystko w porządku, bo już naprawdę musimy wyruszać.

Podszedł do wejścia kryjówki i wysunął łebek. Kret posłyszał jak mruczy do siebie cicho:

— Ho! ho! ho! A to dopiero!

— Co się stało, Szczurku? — zapytał Kret.

— Śnieg — odrzekł Szczur krótko. — Sypie gęsty śnieg.

Kret przycupnął obok Szczura i wyjrzał. Puszcza, która go tak przerażała, przybrała zupełnie inną postać. Nory, jamy, kałuże, wilcze doły i inne rzeczy, ponure a groźne dla wędrowca, znikły. Na wszystkim rozpościerał się dywan z bajki, lśniący i delikatny, rzekłbyś, nie stworzony na to, aby go deptać szorstkimi łapkami. Drobny pył unosił się w powietrzu i laskotliwie pieścił policzki, a blask, który zdawał się jaśnieć z dołu, oświetlał czarne pnie drzew.

Zima

— Ha, cóż? Nie ma rady — powiedział Szczur po chwilowym namyśle. — Musimy ryzykować i ruszać w drogę. Gorzej, że nie wiem dokładnie, gdzie się znajdujemy, a ten śnieg jeszcze wszystko przeinaczył.

Krajobraz zmienił się rzeczywiście nie do poznania, Kret ledwie mógł uwierzyć, że to ta sama Puszcza. Wyruszyli jednak odważnie w kierunku, który był według nich najwłaściwszy. Trzymali się razem i z niezmienną otuchą twierdzili, że poznają starego przyjaciela w każdym drzewie pozdrawiającym ich w surowym milczeniu lub też że dostrzegają znajome rozpadliny, jamy czy ścieżki jednostajnie białej przestrzeni wśród czarnych pni, niczym się od siebie nie różniących.

Po godzinie czy dwóch — stracili bowiem miarę czasu — zatrzymali się zniechęceni, zmordowani, nie mając pojęcia, gdzie się znajdują, i usiedli na drzewie, aby trochę wytchnąć i obmyślić, co należy robić. Byli nieludzko zmęczeni, a przy tym pokryci sińcami, wpadli bowiem do kilku jam, i przemokli do nitki. Śnieg zdążył już pokryć ziemię grubą warstwą, tak że z trudem mogli z niego wyciągać małe łapki, drzewa zaś rosły coraz gęściej i robiły się coraz bardziej do siebie podobne. Las zdawał się nie mieć początku ni końca, najmniejszej różnicy w wyglądzie, a co gorsza, zdawał się nie mieć wyjścia.

— Nie możemy tu długo siedzieć — postanowił Szczur. — Musimy się zdobyć na wysiłek i coś zrobić. Jest straszliwie zimno, a śnieg będzie wkrótce tak głęboki, że nie zdolamy przebrnąć. — Rozejrzał się wkoło z głębokim namysłem. — Posłuchaj — ciągnął dalej — co mi przyszło na myśl. Widzę przed nami coś w rodzaju doliny, grunt wydaje mi się falisty, nierówny, pagórkowaty. Zejdźmy tam i postarajmy się znaleźć jakieś schronienie, jakąś suchą jamę lub norę, zabezpieczoną od śniegu i wiatru. Odpoczniemy tam sobie, nim jeszcze raz postaramy się stąd wydostać. Jesteśmy obydwaj prawie doszczętnie wyczerpani. A poza tym może śnieg ustanie albo coś innego się zdarzy.

Wstali więc, utorowali sobie drogę do doliny i zaczęli szukać jamy czy jakiegoś suchego kąta, osłoniętego od ostrego wiatru i wirującego śniegu. Badali właśnie jedną z pagórkowatych części doliny, o których wspominał Szczur, gdy nagle Kret potknął się i runął z krzykiem na pyszczek.

— Moja łapka! — wołał. — O, moja biedna nóżka! — i usiadł na śniegu, trzymając tylną łapkę w przednich.

— Biedaku! — rzekł Szczur ze współczuciem. — Nie masz jakoś dzisiaj szczęścia. Pokaż łapkę. Tak — ciągnął dalej, przyklękając, by lepiej się przyjrzeć — skaleczyłeś sobie stopę, to pewne. Poczekaj, wyciągnę chustkę i zrobię ci opatrunek.

— Musiałem nadepnąć na jakąś ukrytą gałąź czy korzeń — odezwał się Kret jękliwie. — Ojej! Ojej!

— Rana jest cięta — oświadczył Szczur, przyglądając się uważnie łapce. — To nie od korzenia ani gałęzi. To wygląda na ranę zadaną metalowym narzędziem. Dziwne! — Zastanowił się przez chwilę, rozglądając się po otaczających wzgórkach i pochyłościach.

— E, wszystko jedno, czym skaleczyło — powiedział Kret, zapominając pod wpływem bólu o zasadach gramatyki. — Wszystko jedno, co mnie skaleczyło, ale boli.

Lecz Szczur po opatrzeniu łapki Kreta wziął się do rozkopywania śniegu. Drapał, odrzucał go na boki i szperał, pracując pilnie wszystkimi czterema łapkami, a Kret czekał niecierpliwie, powtarzając od czasu do czasu:

— Chodźże już nareszcie, Szczurku!

Nagle Szczur krzyknął:

— Wiwat!

A potem jeszcze raz:

— Wiwaaaat!

I zaczął niezadarnie tańczyć po śniegu.

— Coś ty znalazł, Szczurku? — spytał Kret, trzymając się wciąż za łapkę.

— Zobacz! — zawołał uradowany Szczur, wciąż skacząc.

Kret podszedł, pociągając nóżką, i dokładnie obejrzał wskazane miejsce.

— Cóż stąd? — rzekł wreszcie po namyśle. — Widzę, więc co? To samo widziałem już wiele razy. Dobrze znam ten przedmiot. Skrobaczka do butów! Wielka mi rzecz! Jest czego tańczyć wkoło skrobaczki!

— Nie rozumiesz, co to znaczy? Ty, ty tępy zwierzaku! — wykrzyknął zirytowany Szczur.

— Wiem oczywiście, co to znaczy — odparł Kret. — To znaczy po prostu, że ktoś bardzo nieporządny, jakiś zapominalski, porzucił swoją skrobaczkę w samym środku Puszczy. Właśnie w takim miejscu, gdzie każdy, chcąc nie chcąc, musi na nią nastąpić. Uważam, że ten ktoś postąpił bardzo nieopatrnie. Gdy wrócę do domu, wniosę skargę do... do tego czy owego. Na pewno to zrobię i...

— Ach, miły Boże! — wykrzyknął Szczur, doprowadzony do rozpaczyny tępotą Kreta. — Przystań wreszcie rezonować¹³ i weź się do kopania!

Szczur nie przerywał pracy, podnosząc wokół tumany śniegu. Po pewnym czasie jego wysiłki zostały nagrodzone: odkrył bardzo zniszczoną słomiankę.

— Aha, co mówiłem? — zawołał z triumfem.

— Nic nie mówiłeś — odparł Kret szczerze. — Teraz — ciągnął dalej — kiedy odkryłeś jeszcze jeden przedmiot domowego użytku, zniszczony i porzucony, przypuszczam, że nic ci do szczęścia nie brakuje. Odańcz lepiej od razu swój taniec wokoło tej słomianki, a potem będziemy mogli wyruszyć w dalszą drogę, nie marnując czasu na śmietnikach. Czyż możemy zjeść słomiankę albo się pod nią przespać? Albo usiąść na słomiance jak na sankach i dojechać do domu, ty, ty irytujący gryzoniu!

— Czy chcesz powiedzieć — krzyknął podniecony Szczur — że ta słomianka nic ci nie mówi?

— Doprawdy, Szczurku — odparł Kret zniecierpliwionym głosem — zdaje mi się, że dość tego szaleństwa. Kto kiedy słyszał, aby słomianka coś komuś mówiła? To się nigdy nie zdarza. To zupełnie niepodobne do słomianki. Słomianki robią to, do czego są przeznaczone.

— Słuchaj no ty, ty zwierzaku o zakutym łbie! — zawołał Szczur ze złością. — Dość już tego! Ani słowa więcej! Bierz się do kopania, skrobania i drapania, i szukaj starannie, uważaj zwłaszcza na zbocza pagórków, jeśli chcesz dziś spać w suchym i ciepłym miejscu, bo to nasza ostatnia deska ratunku.

Szczur zabrał się z zapalem do najbliższej zasy. Najpierw zapuszczał wszędzie swoją łaskę, a potem kopał z furią. Kret także pilnie skrobał, raczej, aby się przypodobać Szczurowi niż z innego powodu, nabrał bowiem przekonania, że jego przyjaciel dostał bzika.

Po jakichś dziesięciu minutach ciężkiej pracy kij Szczura uderzył w coś, co wydało pusty dźwięk. Szczur zaczął odrzucać śnieg, aż wreszcie udało mu się zapuścić łapkę w jamę i to „coś” obmacać, po czym wezwał Kreta na pomoc. Obydwa zwierzątka wzięły się ostro do roboty i po chwili wynik ich pracy pojawił się przed oczami zdumionego Kreta, który zachowywał się dotąd sceptycznie¹⁴.

Na zboczach tego, co wydawało się zaspą, widniały masywne drzwi, pomalowane na kolor ciemnozielony. Z jednego boku wisiała rączka od dzwonka, a poniżej, na małej miedzianej tabliczce, zwierzątka odczytały przy świetle księżycy:

PAN BORSUK

porządnie wyryte dużymi literami.

Kret z radości i zdumienia wywrócił się w tył na śnieg.

— Szczurze! — krzyknął ze skruczą — ty jesteś nadzwyczajny! Naprawdę nadzwyczajny. Teraz widzę to jasno! Wszystko wyrozumowałeś w tej swojej mądrej głowie. Doszedłeś po nitce do kłębka. W chwili gdy przewróciłem się i skaleczyłem sobie łapkę, obejrzałeś ranę i od razu twój wspaniały umysł powiedział sobie: „Skrobaczka do butów!”. A potem zabrałeś się do roboty i odnalazłeś skrobaczkę, która mnie skaleczyła. Ale czy na tym poprzestałeś? Ktoś inny by się zadowolili takim rezultatem... ale ty!... Twój umysł pracował dalej! „Jeśli tylko znajdę słomiankę — powiedziałeś sobie — to będzie uzasadnienie mojej teorii”. I oczywiście znalazłeś słomiankę. Jesteś mądry! Myślę, że mógłbyś znaleźć wszystko, co zechcesz! „Muszą tu być drzwi — pomyślałeś — jest to dla mnie tak jasne, jak bym je oglądał na własne oczy. Trzeba je znaleźć, nie pozostaje

Rozum

¹³rezonować — wypowiadać się z dużą pewnością siebie; mądrzyć się. [przypis edytorski]

¹⁴sceptycznie — powątpiewająco, niedowierzająco. [przypis edytorski]

nam nic innego!”. O takich rzeczach czytałem w książkach, ale nigdy nie spotkałem się z nimi w życiu. Powinieneś udać się gdzieś, gdzie znajdziesz odpowiednie uznanie. Tu, wśród nas, po prostu marnujesz się. Gdybym miał twoją głowę, Szczurku...

— Ale ponieważ jej nie masz — przerwał Szczur niegrzecznie — zamierzasz pewno przesiedzieć na śniegu całą noc i gadać? Wstawaj natychmiast, uwieś się u dzwonka, który tu widzisz, i dzwoń mocno, jak tylko możesz najmocniej, a ja będę się dobijać do drzwi.

I zaatakował drzwi laską. Kret podskoczył do rączki od dzwonka, uczeplił się jej, podnosząc z ziemi obie tylne łapki, i tak wisiał, aż gdzieś hen, z daleka doszedł ich uszu słaby, lecz głęboki głos dzwonka.

ROZDZIAŁ IV. PAN BORSUK

Czekali cierpliwie i długo — tak im się przynajmniej zdawało — tupiąc po śniegu dla rozgrzewki. Wreszcie posłyszeli wolno sunące kroki, które zbliżały się ku drzwiom. Kret powiedział, że ten, co się zbliża, musi mieć na nogach pantofle za duże i przydeptane na piętach. Ta uwaga świadczyła o inteligencji Kreta, bo tak było rzeczywiście.

Rozległ się zgrzyt odsuwanej rygla i drzwi uchyliły się na parę cali¹⁵, tyle tylko, aby ukazać długi ryj i parę zaspanych, mrugających oczu.

— Jeśli się to jeszcze raz powtórzy — oświadczył szorstki i podejrzliwy głos — rozgniewam się na dobre. Któż to śmie niepokoić mnie w taką noc? Odezwać się!

— Borsuku! — wykrzyknął Szczur. — Wpuść nas, proszę! To ja, Szczur, i mój przyjaciel Kret. Zgubiliśmy drogę w śniegu!

— To ty Szczurku, kochany mój chłopcze! — zawołał Borsuk zupełnie już innym tonem. — Wchodźcie szybko obydwaj, musicie być nieżywi ze zmęczenia. Coś podobnego! Zgubili się wśród śniegu! I to nocą, o tej porze, w Puszczy! Ale wejdźcie, wejdźcie.

Zwierzętom było tak pilno znaleźć się w norze, że wchodząc z pośpiechem, wpadły na siebie i z radosną ulgą usłyszały zamykające się za nimi drzwi.

Borsuk miał na sobie długi szlafrok, a na nogach pantofle, rzeczywiście przydeptane, w łapie zaś trzymał płaski lichtarz. Zapewne kładł się już spać, gdy usłyszał stukanie. Spojrzał dobrotliwie na przyjaciół i poglądził obu po łebkach.

— To nie jest noc odpowiednia na spacer dla małych zwierzątek — rzekł po ojcowsku. — Pewno musiałeś znów płatać jakieś figle, Szczurku. Ale chodźcie dalej, do kuchni. Pali się tam pierwszorzędny ogień, jest kolacja i wszystko, czego potrzeba.

Ruszył naprzód, szurając nogami i świecąc im po drodze, a Kret i Szczur dążyli za nim — trącąc się wzajem znacząco w przewidywaniu wielu przyjemności — wzdłuż długiego, ponurego i, prawdę powiedziawszy, dość odrapanego korytarza. Dotarli wreszcie do czegoś w rodzaju wewnętrznego holu, skąd rozchodziły się w różne strony przejścia, podobne do tajemniczych tuneli, których końca nie można było dostrzec. Ale w holu znajdowały się także liczne drzwi, porządne dębowe drzwi, ciężkie i masywne. Borsuk otworzył jedno z nich i zwierzęta od razu znalazły się w blasku i ciepłe dużego kuchennego komina.

Podłoga w kuchni była z czerwonych cegieł mocno już podniszczonych, a na wielkim kominku — umieszczonym między dwiema rozkosznymi wnękami, dokąd żaden przeciąg nie dochodził — paliły się kłody drewna. Dwa fotele o wysokich oparciach stały naprzeciwko siebie po obu stronach kominka, stwarzając wygodne możliwości dla osób towarzysko usposobionych. Na środku izby stał długi stół z prostych desek na krzyżakach, a po obu jego stronach ławki. Przy końcu stołu, tam gdzie był odsunięty fotel, leżały resztki skromnej, lecz obfitej kolacji Borsuka. Szereg niepokalanie czystych talerzy mrugał znacząco z półek kredensu, umieszczonego w najdalszym krańcu pokoju. A od sufitu zwisały szeregiem szynki, wiązki ziół, siatki z cebulą i kosze z jajami. Izba była jakby stworzona dla uczyty bohaterkich rycerzy po odniesionym zwycięstwie lub dla biesiady strudzonych żniwiarzy podczas dożynek — zasiedliby licznie na ławkach wzdłuż stołu, śpiewając i weseląc się — ale była także schronieniem dla paru przyjaciół o skromnych wymaganiach, którzy mogliby przesiadywać w kuchni, ile by tylko chcieli, jedząc i rozmawiając przyjemnie i wygodnie. Rumiana podłoga uśmiechała się porozumiewawczo do zadymionego sufitu, dębowe stolki, wyświecone od długiego użycia, wymieniały mię-

Gospodarz

Kuchnia

¹⁵cal — jednostka miary długości równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

dzy sobą wesołe spojrzenia, talerze na bufecie szczyrzyły zęby do garnków na półkach, a radosne światło ognia pełgało wszędzie, dokazując ze wszystkimi bez wyjątku.

Zacny Borsuk posadził przyjaciół na krzeselkach przy ogniu, aby się mogli rozgrzać, i kazał im zdjąć mokre ubrania i buty. Potem przyniósł im szlafroki i pantofle, obmył własnoręcznie stopę Kreta ciepłą wodą i zalepił ranę plastrem. Łapka wyglądała teraz zupełnie jak nowa, może nawet jeszcze lepiej. Kiedy strudzone zwierzątka obeschły wreszcie i ogrzały się w bezpiecznej przystani wśród otaczającego je światła i ciepła, gdy wyciągnąwszy przed siebie zmęczone łapki, usłyszały za sobą obiecujący szczeł ustawianych na stole talerzy, wydało im się, że bezdroża Puszczy są odległe o tysiące mil, wszystko zaś, co tam przecierpiał, przedstawiało im się niby na wpół zapomniany sen.

Kiedy wreszcie dokładnie się wygrzali, Borsuk zaprosił ich do stołu, gdzie przygotował posiłek. Już od dawna byli bardzo głodni, lecz kiedy zobaczyli kolację, zdawało im się, że mają do rozstrzygnięcia trudny problem: do czego wziąć się najpierw? Wszystko bowiem było jednakowo nęcące, a przy tym obawiali się, czy inne potrawy zechcą łaskawie poczekać, aż przyjdzie na nie kolej. Rozmowa stała się na długi czas niemożliwa, a kiedy ją na nowo podjęto, toczyła się w sposób godny pożałowania — z pełnymi ustami. Borsukowi wcale to nie przeszkadzało, nie brał także za złe, gdy się kładło łokcie na stół ani gdy wszyscy na raz mówili. Ponieważ sam nigdzie nie był, nabrał przekonania, że są to rzeczy błahe (w czym oczywiście się mylił; miał ciasne poglądy, bo te sprawy wcale nie są błahe, tylko że wytłumaczenie, dlaczego tak jest, zabrałoby nam zbyt dużo czasu). Borsuk siedział na fotelu przy końcu stołu i z powagą kiwał łebkiem, gdy zwierzątka opowiadały swoje przygody. Nic nie zdawało się gorszyć go lub dziwić. Nie powiedział ani razu: „A mówiłem” lub: „Tak twierdziłem zawsze”. Nie wygłaszał zdania, że powinni byli postąpić tak a tak lub że nie powinni zrobić tego a tego. Kret nabrał do niego wielkiej sympatii.

Gdy nareszcie skończyli kolację, gdy każde ze zwierząt poczuło, że ma skórę naciągniętą do granic bezpieczeństwa i że nie obchodzi go nikt i nic, zgromadzili się wkoło żarzącego się kominka i zaczęli rozmyślać, jaka to wielka przyjemność czuć o tak późnej godzinie, być tak niezależnym i tak bardzo najedzonym. Po dłuższej rozmowie na tematy ogólne Borsuk spytał serdecznym tonem:

— A teraz opowiedzcie mi nowiny z waszej części świata. Co porabia stary Ropuch?

— Wpada wciąż z deszczu pod rynnę — odrzekł Szczur z powagą, podczas gdy Kret rozkoszował się ogniem, siedząc wygodnie rozparty na krześle, z łapkami umieszczonymi wyżej łebka, i usiłował przywołać na pyszczek odpowiednio smutny wyraz. — Rozbił się znowu w zeszłym tygodniu i to porządnie. Upiera się, aby sam prowadzić auto, a w żaden sposób nie może sobie z tym dać rady. Gdyby zatrudnił przyzwoite, rozważne, wykwalifikowane zwierzę, zapłacił mu porządną pensję i wszystko mu powierzył, dobrze by mu się działo. Ale gdzie tam! Ma przekonanie, że jest szoferem z bożej łaski i że nikt go nie może niczego nauczyć! Widzimy, jakie są tego skutki.

— Wiele ich już było? — spytał Borsuk z chmurną miną.

— Wypadków czy maszyn? Choć właściwie dla Ropucha to jednoznaczne — odparł Szczur. — Ma już siódmy samochód. Co zaś do tych poprzednich... Znasz jego wozownię? Pełno tam, dosłownie pełno aż po sam dach, szczątków samochodów, a żaden odłamek nie jest większy od twego kapelusza. To resztki sześciu aut Ropucha, jeśli ten szmelc można nazwać autami.

— Był już trzy razy w szpitalu — wtrącił Kret. — A przy tym strach bierze, gdy się pomyśli o karach, jakie musiał płacić.

— Tak, to mnie także niepokoi — ciągnął Szczur dalej. — Ropuch, jak wszyscy wiemy, jest bogaty, ale milionerem nie jest. Prowadzi samochód fatalnie, a poza tym zupełnie się nie stosuje do przepisów drogowych. Trup lub bankrut, oto co z niego będzie, wcześniej czy później. Jesteśmy przyjaciółmi Ropucha, Borsuku, czy nie powinniśmy jakoś temu zaradzić?

Borsuk zamyślił się poważnie, a po chwili powiedział surowym tonem:

— Wiesz chyba, że teraz nic nie mogę zrobić.

Obaj przyjaciele przytwierdzili, rozumiejąc dobrze, o co Borsukowi chodziło. Zgodnie z prawami zwierzęcej etykiety, nie ma stworzenia, które byłoby obowiązane dokonać w ciągu sezonu zimowego czynu wymagającego wysiłku czy bohaterstwa, czy nawet umiarkowanego ruchu. Wszystkie zwierzęta są w zimie sennie, niektóre nawet śpią. Wszyst-

Gospodarz

Zima, Zwierzęta

kie są mniej lub więcej zależne od pogody i wszystkie odpoczywają po trudach dni i nocy, podczas których każdy ich mięsień był wystawiony na ciężką próbę, a każda odrobina energii — wyczerpana do ostateczności.

— A więc zgadzamy się co do tego — podjął znów Borsuk. — Ale gdy już się pora odmieni, gdy nastaną krótsze noce, kiedy i tak nie możemy uleżeć, kiedy chcemy się zrywać do czynu już o wschodzie słońca, a nawet wcześniej, ach przecież wiecie...

Zwierzątka pokiwały łebkami z powagą. Dobrze wiedziały!

— Otóż wówczas — mówił Borsuk — my, to znaczy ty, i ja, i nasz wspólny przyjaciel Kret, weźmiemy się do Ropucha ostro. Nie dopuścimy do żadnych głupstw. Doprowadzimy go do rozumu siłą, jeśli się nie da inaczej. Zmusimy go do rozsądku. Zrobimy... Ale ty śpisz, Szczurku.

— Ja? Ależ nie — Szczur zbudził się nagle.

— Już kilka razy przysypiał po kolacji — rzekł Kret ze śmiechem, bo jemu wcale nie chciało się spać, opanowała go nawet wesołość, choć nie wiedział dlaczego. Przyczyna leżała niewątpliwie w tym, że Kret był z urodzenia i wychowania zwierzątkiem podziemnym, położenie domu Borsuka bardzo mu odpowiadało, czuł się jak u siebie. Szczur zaś sypiał zawsze w pokoju, gdzie świeże nadržeczne podmuchy wpadały przez okno, i odczuwał bez wątplenia wpływ nieprzewietrzanego, dusznego mieszkania.

— Czas już się udać na spoczynek — rzekł Borsuk, wstając i biorąc do łapki płaski lichtarz. — Chodźcie obydwa, pokażę wam waszą kwatere. A jutro rano nie śpieszcie się. Śniadanie możecie dostać, kiedy wam się spodoba.

Zaprowadził obydwa zwierzątka do izby, która wyglądała po części jak skład, a po części jak sypialnia. Zimowe zapasy Borsuka (wszędzie było ich pełno) zajmowały pół pokoju: stopy jabłek, rzepy, kartofli, kosze z orzechami i garnki z miodem. Lecz dwa białe łóżeczka na wolnej przestrzeni miały wygląd nęcący i wygodny, a bielizna z szorstkiego płótna była czysta i pachniała miło lawendą. Kret i Szczur rozebrali się w trzydzieści sekund i wślizgnęli pod kołdry z wielką radością i ukontentowaniem¹⁶.

Nazajutrz, korzystając z wczorajszej zachęty Borsuka, oba zmordowane zwierzątka zeszły bardzo późno na śniadanie. Zostały w kuchni ogień buzujący na kominku i dwa młode języki, które siedziały na ławce przy stole, zjadając owsianą kaszę z drewnianych misek. Gdy Kret i Szczur weszli, języki odłożyły łyżki, zerwały się i pochyliły łebki z uszanowaniem.

— Siadajcie, siadajcie — rzekł Szczur dobrotliwie. — Jedzcie swoją owsiankę. Skądżeż to kawalerowie przybyli? Zgubiliście pewnie drogę w śniegu?

— Tak, proszę pana — odpowiedział starszy z języków głosem pełnym szacunku. — Ja i mały Billy próbowaliśmy dostać się do szkoły. Mama kazała nam iść, choć droga była taka... i oczywiście zgubiliśmy się, proszę pana, a Billy bał się i zaczął płakać, bo on jeszcze mały i tchórz w dodatku. Natrafiliśmy wreszcie na kuchenne wejście pana Borsuka i ośmieliliśmy się zastukać, proszę pana, bo pan Borsuk, jak każdy wie, ma bardzo dobre serce...

— Rozumiem — przerwał Szczur, krając boczek, gdy tymczasem Kret smażył jajka na patelni. — Jak tam na dworze? Nie potrzebujesz wciąż powtarzać „proszę pana”, gdy do mnie mówisz — dodał.

— O, pogoda ohydna, proszę pana, strasznie głęboki śnieg — odparł jeź. — Nieodpowiednia pogoda dla takich panów, jak panowie.

— Gdzie pan Borsuk? — spytał Kret, grzejąc kawę przy ogniu.

— Pan Borsuk poszedł do swego gabinetu, proszę pana — odpowiedział jeź. — Mówił, że dziś rano będzie ogromnie zajęty i pod żadnym pozorem nie pozwolił sobie przeszkadzać.

Wszyscy obecni doskonale zrozumieli to wyjaśnienie. Ostatecznie, kiedy się żyje życiem gorączkowym i ruchliwym przez sześć miesięcy w roku, a względnie lub całkowicie sennym przez pozostałe miesiące, nie można ciągle wymawiać się snem czy to od jakiejś roboty, czy też od obowiązków towarzyskich. Taka wymówka stałaby się w końcu monotonna. Zwierzątka wiedziały dobrze, że Borsuk po zjedzeniu obfitego śniadania za-

¹⁶ukontentowanie (daw., z łac.) — zadowolenie. [przypis edytorski]

mknął się w swoim gabinecie, usadowił się w fotelu, wyciągnął nogi na drugi fotel, zakrył pyszczek czerwoną chustką i oddał się zwykłemu o tej porze „zajęciu”.

Dzwonek u drzwi frontowych głośno zadźwięczał, więc Szczur, który miał pyszczek zasmarowany masłem od grzanek, posłał Billy’ego, młodszego języka, zobaczyć, kto by to mógł być. W holu dało się słyszeć głośne tupanie, a po chwili Billy wrócił, poprzedzając Wydrę, która rzuciła się na Szczura i uściskała go z wyrazami gorącego powitania.

— Dajże spokój! — wyjąkał Szczur z pełnymi ustami.

— Tak też myślałam, że was tu zastanę w dobrym zdrowiu — rzekła Wydra wesoło. — Wszyscy byli strasznie zaniepokojeni, gdy przybyłam dziś rano na Wybrzeże. „Ani Szczur, ani Kret nie pokazali się w domu przez całą noc, musiało się stać coś strasznego”, mówili. A śnieg oczywiście pokrył wszystkie ślady. Ale ja wiem, że gdy kto wpadnie w tarapaty, udaje się zwykle do Borsuka, a w każdym razie Borsuk musi coś o nim wiedzieć. Przybiegłam więc prosto tutaj, brnąc po śniegu przez Puszcę. Ach! Jaki piękny był śnieg i to czerwone słońce, co błyszczało o wschodzie wśród czarnych pni drzew! Gdy szłam, otoczona ciszą, wielkie zwały śniegu ześlizgiwały się z gałęzi i spadały z głuchym odgłosem. Musiałam dawać susa w bok, szukając osłony. Podczas nocy wyrosły nagle śniegowe pałace, grotty ze śniegu, śniegowe mosty, tarasy, okopy. Byłabym z rozkoszą została tam i długo się bawiła. Tu i ówdzie leżały wielkie gałęzie, obłamane pod ciężarem śniegu, a zarozumiałe raszki¹⁷ siadały na nich i skakały, zadzierając nosa, jakby te złamane gałęzie były ich dziełem. Nad moją głową, wysoko na szarym niebie, przeleciał klucz dzikich gęsi, a kilka wron kołowało nad drzewami. Przyjrzały się wszystkiemu dokładnie i odleciały do domu z wyrazem obrzydzenia. Ale nie spotkałam żadnej rozsądnej istoty, od której mogłabym się czegoś dowiedzieć. Mniej więcej w pół drogi natknęłam się na królika: siedział na pniu i mył łapkami swój głupi pyszczek. Wystraszył się okropnie, gdy podkrađłam się od tyłu i położyłam mu przednią łapę na ramieniu. Musiałam mu dać parę szturchańców w łebek, aby go doprowadzić do przytomności. Udało mi się wreszcie wyciągnąć od niego wiadomość, że jeden z królików spotkał zeszłej nocy Kreta w Puszczy. Opowiadano podobno w norach, że pan Kret, przyjaciel od serca pana Szczura, miał jakąś nieprzyjemność, zgubił drogę, a „Oni” wyruszyli na polowanie i „pędzają go w kółko”. „Dlaczego żaden z was nic nie zrobił, aby mu pomóc?” — spytałam. — „Co prawda, nie macie rozumu na zbyciu, ale jest was tysiące tegich chłopów, z których tłuszcz aż kapie, a wasze podkopy prowadzą w rozmaite strony, mogliście przecież przygarnąć Kreta, zapewnić mu bezpieczeństwo i wygodę, a przynajmniej zrobić jakieś starania w tym kierunku”. „Co, my? My, króliki?” — odpowiedział po prostu. — „My, króliki, miałyśmy coś zrobić?”. Więc zdzierliłam go jeszcze raz po łebku i odeszłam. Nie pozostawało mi nic innego. W każdym razie czegoś się dowiedziałam. A gdyby mi się udało napotkać któregoś z „Nich”, byłabym zdobyła więcej wiadomości, no i bym „Ich” pouczyła.

Zima

— Czy nie czułaś... hm... ani trochę zdenerwowania? — spytał Kret, którego na wspomnienie Puszczy ponownie nawiedził wczorajszy lęk.

— Zdenerwowania? — Wydra pokazała w uśmiechu mocne, błyszczące, białe zęby. — Prędzej oni by się zdenerwowali, gdyby któryś spróbował na mnie swoich sztuczek! A teraz, Kreciku, bądź tak dobry i przysmaż mi parę kawałków szynki. Jestem straszliwie głodna, a mam moc do opowiedzenia Szczurowi, wieki już go nie widziałam!

Kret ukroił kilka płatów szynki i kazał językom przypilnować smażenia, a sam powrócił do przerwane go śniadania. Tymczasem Wydra ze Szczurem, stykając się niemal łebkami, omawiali zawzięcie wiadomości z Wybrzeża. Ich rozmowa toczyła się bez końca, płynęła niby szumiąca rzeka.

Talerz przysmażonej szynki szybko opustoszał i wrócił z prośbą o nową porcję, gdy wszedł Borsuk, ziewając i przecierając oczy. Przywitał wszystkich swoim zwyczajem, w sposób spokojny i pełen prostoty, wypytując dobrotliwie każdego z osobna.

— Zbliża się pora drugiego śniadania — zauważył, zwracając się do Wydry — zostań, zjesz je z nami, musisz być głodna w ten zimny ranek.

— Ja myślę! — odparła Wydra, mrugając porozumiewawczo do Kreta. — Po prostu umieram z głodu, gdy widzę, jak te młode jeże faszują się szynką.

¹⁷raszka — rudzik, mały, szarobrunatny ptak o rudawym podgardlu. [przypis edytorski]

Jeżyki, które zaczynały znowu czuć głód po zjedzeniu owsianki i po pracowitym smażeniu szynki, spojrzały nieśmiało na pana Borsuka, ale były zbyt zawstydzone, by się odezwać.

— Dalej, zuchy, marsz do domu, do mamy — rzekł dobrotliwie Borsuk. — Każę was odprowadzić. Na pewno nie będziecie w stanie zjeść dziś obiadu.

Dał każdemu z jeżyków sześć pensów, pogładził ich po łebkach i malcy odeszli, kłaniając się, machając czapkami i salutując.

Niebawem wszyscy zabrali się do drugiego śniadania. Kret siedział obok Borsuka, a ponieważ tamtych dwoje wciąż jeszcze omawiało nadrzeczne plotki i niepodobna było ich oderwać od tematu, Kret skorzystał ze sposobności, aby powiedzieć Borsukowi, jakie wygodne i swojskie wydaje mu się to mieszkanie.

— Gdy się znajdujemy głęboko pod ziemią — dowodził — wiemy, czego się możemy spodziewać. Nic nie może się nam stać, nikt nas nie może osiągnąć. Jesteśmy panami siebie w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie potrzebujemy nikogo pytać o zdanie ani dbać o to, co kto powie. Ponad naszymi głowami życie toczy się zwykłym trybem. Niech się dzieje, co chce! Co nam do tego! Gdy nam przyjdzie ochota, to jazda na górę! A tam wszystko gotowe, tylko na nas czeka.

Borsuk promieniał.

— To samo i ja twierdzę — odparł. — Tylko pod ziemią jest bezpiecznie, cicho i spokojnie. A jeśli ktoś ma bujną wyobraźnię i zapragnie przestrzeni, pokopie, podrapie i już ją ma! Jeśli zaś uważa, że jego dom jest zbyt obszerny, zalepi jedną czy dwie dziury i znów osiąga to, czego chciał. Nie potrzeba nam architektów ani handlarzy, nikt nie wydziwia nad nami, zaglądając przez płot, a przede wszystkim nie zależy od pogody. Weź na przykład Szczura. Woda przybierze o kilka stóp i już musi przenosić się do wynajętego lokalu w niemiłej dzielnicy, gdzie mu jest niewygodnie, a w dodatku kosztownie. Weź na przykład Ropucha. Nie mam nic przeciwko Ropuszemu Dworowi, jest to najlepszy z domów w okolicy, jeśli już mowa o domach. Ale niech wybuchnie pożar, co pocznie Ropuch? Jeśli wiatr zerwie dachówki lub ściana zarysuje się czy zawali, co pocznie Ropuch? Przypuśćmy, że w pokojach są przeciągi (nienawidzę przeciągów), co pocznie Ropuch? Tam na dworze, w górze, można trochę się powłóczyć i zdobyć żywność, lecz trzeba mieć podziemie, dokąd się wraca — oto moje pojęcie domu.

Kret potakiwał z przekonaniem i dlatego też Borsuk serdecznie się z nim pokumał.

— Gdy skończymy śniadanie — rzekł — oprowadzę cię po moim mieszkaniu. Ty potrafisz je ocenić. Znasz się na budownictwie mieszkaniowym, to widać.

Po śniadaniu, gdy tamtych dwoje usadowiło się przy kominku i rozpoczęło gorącą dyskusję na temat węgorzy, Borsuk zapalił latarkę i kazał Kretowi iść za sobą. Minęli hol i zagłębili się w jeden z głównych tuneli. Przy migotliwym świetle latarki ukazywały się z obu stron większe i mniejsze pokoje, niektóre miały rozmiary zwykłej szafy, inne obszarem i wspaniałością dorównywały staroświeckiej komnacie w Ropuszym Dworze. Wąskie przejście prowadziło pod prostym kątem do innego korytarza, lecz i tam zobaczyli to samo. Kret był oszołomiony wielkością i licznymi rozgałęzieniami podziemi, długością korytarza, masowością sklepień w składach, kolumnami, lukami, posadzkami.

— Na Boga, Borsuku! — rzekł wreszcie — skąd miałeś czas i skąd czerpałeś siłę, aby zrobić to wszystko. Przecież to zdumiewające!

— Byłoby niewątpliwie zdumiewające — odrzekł Borsuk z prostotą — gdybym to ja wykonał. Lecz w rzeczywistości nic nie budowałem, a tylko oczyszczałem w miarę potrzeby korytarze i pokoje. Wszędzie wokół jest tego o wiele więcej. Widzę, że nic nie rozumiesz, muszę to wyjaśnić. Otóż bardzo dawno temu, nim Puszcza zasiała się i wyrosła do obecnych rozmiarów, istniało miasto — miasto ludzi, rozumiesz? Tu, gdzie teraz stoimy, ludzie żyli, chodzili, i rozmawiali, i spali, i prowadzili swoje interesy. Tu stały ich konie, tu ucztowali, stąd wyruszali na wojenne i kupieckie wyprawy. Byli to ludzie potężni i bogaci. Wciąż budowali i budowali, bo im się zdawało, że ich miasto będzie trwało wiecznie.

— Ale co się z nimi stało? — spytał Kret.

— Któż to może wiedzieć? — powiedział Borsuk. — Ludzie przychodzą, mieszka ją jakiś czas, budują, gromadzą dostatki... i odchodzą. Taki już mają zwyczaj. Ale my pozostajemy. Borsuki były tu, jak słyszałem, na długo przed powstaniem miasta, teraz

Dom, Ziemia

Dom

Miasto, Upadek, Natura

znowu są borsuki. Wytrwale z nas stworzenia. Możemy się wyprowadzić na jakiś czas, ale czekamy, czekamy cierpliwie i znowu wracamy. I tak będzie zawsze.

— Ale co się stało, gdy ci ludzie wreszcie się wynieśli? — spytał Kret.

— Kiedy odeszli, silne wiatry i długotrwałe deszcze wzięły się do roboty. Pracowały pilnie, bez wytchnienia, rok po roku. Być może i my, borsuki, dopomogliśmy im trochę we własnym skromnym zakresie, któż to może wiedzieć? Wszystko rozpadało się, rozpadało coraz bardziej, aż stopniowo miasto zamieniło się w ruinę, zostało zrównane z ziemią i wreszcie znikło zupełnie. A potem na tym miejscu wszystko zaczęło rosnąć. Rosło coraz wyżej, nasiona stały się sadzonkami, a sadzonki drzewami w lesie, paproć i ciernie pośpieszyły z pomocą, nagromadziły się warstwy przegniłych liści; wezbrane zimną strumyki przynosiły ziemię i piasek, które pokrywały wszystko i równały. Z czasem nasze mieszkania były znów gotowe, więc się wprowadziliśmy. Tam, w górze nad nami, działo się to samo: przyszyły zwierzęta, miejsce im się spodobało, więc się wprowadziły, zakwaterowały, rozmnożyły i dobrze im się dzieje. O przeszłość się nie troszczą, przeszłość nigdy zwierząt nie obchodzi, nie mają czasu nią się zajmować. Było tu oczywiście sporo pagórków i nierówności, ale to właśnie było dla nas korzystne. Zwierzęta nie kłopotzą się także i przyszłością, przyszłością, w której ludzie może się znowu wprowadzą na pewien czas, nie ma w tym nic niemożliwego. Obecnie Puszcza jest dość gęsto zamieszкана przez istoty złe, dobre i obojętne, ot, zwykłe zbiorowisko, nie chcę nikogo wyszczególniać. Na świat składają się różne elementy. Coś mi się zdaje, że i ty się o tym osobiście przekonałeś.

— Oj tak! — odpowiedział Kret, a lekki dreszcz wstrząsnął nim.

— No, no! — rzekł Borsuk, klepiąc go po ramieniu. — To było twoje pierwsze zetknięcie się z „Nimi”. Nie są oni tacy straszni. Wszyscy musimy żyć i pozwolić żyć innym. Ale jutro uprzedzę ich i myślę, że odtąd już cię więcej nie będą dręczyć. Moi przyjaciele mogą sobie chodzić po tym kraju, gdzie im się żywnie podoba, już moja w tym głowa!

Gdy powrócili do kuchni, zastali Szczura, który krążył w podnieceniu po pokoju. Atmosfera podziemia przygnębiała go i działała mu na nerwy, zdawał się obawiać, że Rzeka mu ucieknie, jeśli jej nie dopilnuje. Włożył więc płaszcz i znów zatknął za pas pistolety.

— Chodź już, Krecie — rzekł niecierpliwie, kiedy tylko ich spostrzegł. — Musimy za dnia wyruszyć. Nie mam ochoty spędzać jeszcze jednej nocy w Puszczy.

— Wszystko pójdzie dobrze, kawalerze — odezwała się Wydra. — Idę przeciw z wami, znam na pamięć każdą ścieżkę. A jeśli trafi się jakaś głowa, której wypadnie dać szturchańca, możecie z całą ufnością polegać na mnie.

— Nie martw się, Szczurku — dodał spokojnie Borsuk. — Moje korytarze ciągną się dalej niż przypuszczasz, z kilku stron wychodzą na brzeg Puszczy, chociaż nie mam ochoty, aby wszyscy o tym wiedzieli. Kiedy już naprawdę będziecie musieli wyruszyć, poprowadzę was krótszą drogą, a tymczasem rozgoście się i siadajcie jeszcze.

Lecz Szczur był niespokojny, chciał wracać i pilnować swej Rzeki, więc Borsuk znów wziął latarkę i poprowadził ich krętym, wilgotnym, dusznym tunelem, częściowo wyrąbanym w skale, częściowo wykopanym w ziemi. Tunel to schodził w dół, to się podnosił i zdawał się ciągnąć przez szereg mil. Wreszcie zwierzęta ujrzały światło dzienne, przebijające przez splątaną roślinność, która zwisała nad wylotem tunelu. Borsuk pożegnał ich szybko, wypchnął ich z pośpiechem przez otwór, a potem zasłonił go starannie pnączami, suchymi liśćmi i gałęziami, by nadać wszystkiemu możliwie naturalny wygląd, i zawrócił do domu.

Przyjaciele znaleźli się na skraju Puszczy. Za sobą mieli skały, zarośla i piętrzące się splątane korzenie, przed sobą — bezmiar spokojnych pól, obramowanych linią płotów, które czerniały na śniegu. W oddali przeblyskiwała dobrze im znana stara Rzeka, a nisko na widnokręgu wisiało czerwone, zimowe słońce. Wydra, która znała wszystkie przejścia, podjęła się przewodnictwa, szli więc gęsiego, kierując się w stronę odległej kładki. Tam przystanęli na chwilę i obejrawszy się, objęli wzrokiem Puszcę, a potem szybko ruszyli ku domowi, ku ognisku na kominku i wszystkim dobrze znanym przedmiotom, na których igrał blask płomieni. Czekał na nich szmer Rzeki, szumiącej wesoło za okna-

mi, Rzeki, którą znali i której ufali, Rzeki, która mimo zmiennego usposobienia nie zaskoczyła ich nigdy przykrą niespodzianką.

Kret dążył naprzód, oczekując z niecierpliwością chwili, gdy znajdzie się znowu w domu, wśród dobrze znanych, ulubionych przedmiotów. Uświadomił sobie jasno, że jest zwierzątkiem związanym z uprawnymi polami i żywopłotami, z wyoraną brudą, z pastwiskiem, z dróżką wymarzoną na wieczorne spacerowanie, z wypieszczonym ogrodem. Nie dla niego szorstkość, uparta wytrzymałość lub zgiełk walki, towarzyszące życiu na łonie dzikiej przyrody. Kret musi być mądry, musi trzymać się przyjaznych miejsc, w których sądzono mu przepędzić życie, oczekują go tam swoiste przygody, zdolne wypełnić całe jego istnienie.

ROZDZIAŁ V. NARESZCIE W DOMU!

Owce zbiły się w gromadę i napierały na płot, dmuchały przez delikatne nozdrza, tupały cienkimi nóżkami, odrzucając w tył łebki, a lekka para unosiła się w mroźne powietrze z zatłoczonej zagrody. Kret i Szczur śpiesznie mijali owce, obaj byli w doskonałych humorach, śmiali się i rozprawiali z ożywieniem. Szli na przelaj przez pola, powracając z całodziennego wyprawy w towarzystwie Wydry: polowali i przeszukiwali wyżyny, skąd brały swój nikły początek niektóre dopływy ich własnej Rzeki. Unosiły się już nad nimi cienie krótkiego zimowego dnia, a mieli jeszcze przed sobą spory kawał drogi. Przeprawiali się właśnie z trudem przez podorywkę¹⁸, zdając się na los szczęścia, kiedy usłyszeli beczenie owiec. Pośpieszyli ku nim i po chwili odkryli wydeptany ślad prowadzący do zagrody owiec, co im ułatwiło zadanie, a przy tym zaspokoilo to „coś”, coś subtelniejszego i czujnego, co tkwi w każdym zwierzęciu. Ślad bowiem mówił nieomylnie: „Macie słuszność, ta droga prowadzi do domu”.

— Tak tu wygląda, jakbyśmy zblizali się do wioski — rzekł Kret z wahaniem, przyspieszając kroku, w miarę jak ślad zamieniał się w ścieżkę, a ta znów — w brukowany gościniec. Zwierzęta wolały trzymać się z dala od wioski, a własne gościńce, bardzo uczęszczane, wyznaczają samodzielnie, nie biorąc pod uwagę kościoła, poczty, czy karczmy.

— Ach, nic nie szkodzi! — powiedział Szczur. — Jest już późna godzina, o tej porze roku wszyscy siedzą w domu: mężczyźni, kobiety, dzieci, psy, koty. Wszystko gromadzi się przy ogniu. Przemknijmy spokojnie, bezpiecznie, bez kłopotów. Jeśli chcesz, możemy spojrzeć na ludzi przez okna i zobaczyć, co porabiają.

Szybko zapadająca grudniowa noc otuliła już całkiem wioskę, gdy Szczur i Kret podszli do niej, stąpając lekko po pierwszym, z rzadka prószącym śniegu. Niewiele mogli dostrzec: po obu stronach drogi widniały tylko mroczne kwadraty czerwono-pomarańczowego koloru, tam gdzie światło lampy czy ogniska sączyło się z okien domów w ciemną przestrzeń. Większość okratowanych okien nie miała zasłon, a dla tych, co patrzyli z zewnątrz, mieszkańcy zgromadzeni wokoło stołu z herbatą, zajęci ręczną pracą czy też rozmawiający i gestykujący wesoło, odznaczali się ową pełną wdzięku swobodą, którą najtrudniej przyswaja sobie rutynowany aktor — owym naturalnym urokiem właściwym tym, którzy nie mają pojęcia, że są obserwowani. Obaj widzowie przechodzili swobodnie od jednego teatru do drugiego i sami będąc daleko od własnego domu, patrzyli z niejakim smutkiem na kota, którego głaskano, na rozespiane dziecko, brane pieszczołtliwie w ramiona i niesione do łóżeczka, lub na zmęczonego mężczyznę, który przeciągał się, wytrząsając fajkę nad kłodą dymiącą w kominku.

Wrażenie domowego ogniska, małego bezpiecznego świata, zamkniętego w czterech ścianach, skąd wyklucza się — zapominając o nim — wielki i ważny świat zewnętrznej przyrody, promieniowało najsilniej z pewnego okienka o spuszczonej zasłonie. To okno wyglądało na tle nocy niby zwykła matowa szyba. Tuż przy białej zasłonie wisiała klatka, a każdy jej szczegół, każdy drut czy grzęda, nawet wczorajsza kostka cukru o zaokrąglonych brzegach, rysowały się bardzo wyraźnie. Puszysty mieszkaniec klatki, siedzący na środkowej grzędzie z łebkiem głęboko schowanym pod skrzydło, zdawał się tak bliski, iż Kret i Szczur mieli wrażenie, że mogliby go łatwo pogłaskać, gdyby tylko zechcieli. Nawet delikatne końce jego nastroszonych piórek odcinały się jasno na oświetlonym ekranie.

Ptak

¹⁸podorywka — pole płytko zaorane zaraz po zbiorach i w ten sposób przygotowane do późniejszych prac przy uprawie. [przypis edytorski]

Kiedy mu się przyglądali, śpiący ptaszek poruszył się niespokojnie, zbudził się, otrząsnął i podniósł łebek. Ujrzeni rozswarty dziób, jakby ziewający z nudów. Ptaszek rozejrzał się, znów wsadził łebek pod skrzydło, a nastroszone piórka stopniowo opadły. W tej chwili ostry wiatr uderzył z tyłu na zwierzątko, drobne ukłucia lodowatego deszczu zbudziły ich jakby ze snu. Kret i Szczur uświadomili sobie, że stopy mają przemarznęte, a łapki zmęczone, od domu zaś dzieli ich daleka i żmudna droga.

Kiedy znaleźli się już poza wsią, gdzie nagle kończyły się zabudowania, doleciał ich z mroków po obu stronach drogi zapach przyjaznych pól, dodając sił do przebycia długiej przestrzeni — przestrzeni, za którą leżał dom, przestrzeni, u której kresu — jak dobrze wiemy — czeka nas szcęk zasuw, nagły błysk ognia i widok znanych przedmiotów, co witają nas jak dawno niewidzianych wędrowców zza morza.

Kret i Szczur posuwali się naprzód ostrożnie, w milczeniu, pogrążeni w myślach. Kret rozmyślał przeważnie o kolacji. Ponieważ było ciemno, a okolicy nie znał — przynajmniej tak mu się wydawało — szedł więc posłusznie śladem Szczura, powierzając mu całkowicie kierownictwo. Co się zaś tyczy Szczura, wysunął się swoim zwyczajem nieco naprzód, wtulił łebek w ramiona, a oczy wlepił w ścielącą się przed nim prostą, szarą drogę. Nie zwracał więc uwagi na biednego Kreta, którego nagle dosięgło wezwanie podobne do elektrycznego wstrząsu.

Ludzie dawno już zatarcili ten najsubtelniejszy ze zmysłów i nie mają nawet odpowiedniej nazwy na wzajemne porozumiewanie się zwierzęcia z otoczeniem, żywym czy też martwym. Mają na przykład jedyne słowo „węch” dla wyrażenia szeregu subtelnych drgań, które dzień i noc przemawiają do nozdrzy zwierzęcia, szepcząc wezwania i ostrzeżenia, pociągając je i odstręczając. Taki właśnie tajemniczy, czarodziejski zew dosięgnął wśród ciemności Kreta. Ten zew przyszedł nagle, uderzył w dobrze znaną strunę, która odezwała się skwapliwie, mimo że Kret nie mógł sobie na razie przypomnieć, o co chodzi. Stanął jak wryty na tropie, węszył tu i tam, usiłując uchwycić ponownie ciekawą nić, telegraficzny prąd, który go tak poruszył. Chwila niepewności... i znów odnalazł nić, a z nią przypłynęła gwałtowna fala wspomnień.

Dom! Oto, co znaczyły te pięciwe wezwania, te łagodne podmuchy unoszące się w powietrzu, te niewidzialne rączki, które starały się pociągnąć Kreta w jednym kierunku! Dom musi być w tej chwili zupełnie blisko. Jego dawny dom, który opuścił w pośpiechu i nigdy nie odwiedził od dnia, kiedy po raz pierwszy odkrył Rzekę! Domowe ognisko słało dziś swych wywiadowców i posłów, aby go pochwycili i przywieśli. Od chwili ucieczki w ów pogodny ranek Kret nie poświęcił ani jednej myśli dawnemu domowi, pochłonęło go nowe życie, jego przyjemności, niespodzianki, wrażenia nieznanne i pociągające. Teraz, wraz z falą dawnych wspomnień, dom zarysował się przed nim w ciemności. Był mały i ciasny, i ubogo wyposażony, ale był jego własnością. To był dom, który Kret sam dla siebie zbudował, dom, do którego powracał radośnie po całodziennej pracy. A najwidoczniej i temu domowi było dobrze z Kretem, tęsknił za nim i pragnął jego powrotu, przemawiał do niego za pośrednictwem wężu, słał wezwanie smutne i pełne wyrzutu, ale pozbawione gniewu i goryczy. Przypominał żałośnie, że jest tuż, bliźniutko i że tęskni za Kretem.

Głos był wyraźny, wezwanie jasne, Kret musi mu być posłuszny, musi iść za nim natychmiast.

— Szczurku! — zawołał w radosnym podnieceniu. — Stój! Wracaj! Jesteś mi potrzebny! Wracaj natychmiast!

— Chodź, Kreciku, chodź, nie marudź! — odparł Szczur wesoło, sunąc dalej.

— Błagam cię, Szczurku, stój! — prosił biedny Kret z bólem serca. — Nie rozumiesz, o co chodzi. To mój dom, mój dawny dom! Doleciał mnie jego zapach, jest tu niedaleko, naprawdę, całkiem blisko! Muszę tam iść, muszę! Wróć, Szczurku, proszę cię, błagam, wracaj!

Tymczasem Szczur odszedł już daleko, za daleko, aby słyszeć wyraźnie, o co chodzi Kretowi, za daleko, aby uchwycić dojmujący ton bolesnej prośby w jego głosie. Był przy tym zaniepokojony pogodą, bowiem i on wywahał coś, co wyglądało bardzo podejrzanie, coś, co zapowiadało zbliżenie się śniegu.

— Nie możemy się teraz zatrzymywać! — odkrzyknął. — Przyjdziemy jutro poszukać tego, czego szukasz. Boję się zatrzymywać, już późno i zbliża się śnieg, i nie jestem pewien,

Dom

Dom, Tęsknota

czy dobrze idziemy. Potrzebny mi twój nos, Krecie, chodź prędko, chodź! — i Szczur podążył dalej, nie czekając na odpowiedź.

Biedny Kret z rozdartym sercem stał samotnie na drodze, a gdzieś głęboko w jego wnętrzu wzbierało gorzkie łkanie. Czuł, iż wkrótce wybuchnie niepohamowanym płaczem. Lecz jego wierność dla przyjaciela wytrzymała tę ciężką próbę. Ani mu przez myśl nie przeszło, że mógłby Szczura opuścić. A tymczasem fale płynące z dawno opuszczonego domu prosiły, szeptały, zaklinały, a wreszcie zaczęły żądać. W ich zaczarowanym kole Kret nie śmiał się dłużej ociągać. Z wysiłkiem, od którego niemal pękało mu serce, spuścił łebek i podążył posłusznie śladem Szczura. A tym czasem słabe, łagodne zapachy drażniły mu wytrwale nozdrza, wyrzucając mu nową przyjaźń i obojętną, zimną niepamięć.

Z trudem dogonił Szczura, który nic nie podejrzewając, zaczął paplać wesoło o tym, co zrobią po powrocie, o kłodach wesoło płonących na kominku w salonie, o kolacji, jaką ma zamiar przyrządzić. Nie zauważył milczenia towarzysza ani rozpaczliwego stanu jego ducha. Wreszcie, gdy już uszli spory kawał i mijali pnie na skraju zagajnika obok drogi, Szczur stanął i rzekł dobrotliwie:

— Mój stary Krecie, wyglądasz na śmiertelnie zmęczonego. Milczysz i powłóczysz łapkami, jakby były z ołowiu. Siądźmy tu i odpocznijmy chwilę. Śniegu dotąd nie ma, a odbyliśmy już lwią część drogi.

Kret opadł smętnie na pień, usiłując zapanować nad sobą, czuł bowiem, że łkanie, z którym walczył tak długo, nie da się przezwyciężyć. Podchodziło do gardła, torowało sobie drogę na świat, aż wreszcie biedny Kret dał za wygraną, rozplakał się otwarcie i bezradnie, teraz, kiedy wiedział, że utracił coś, czego właściwie nie odnalazł.

Szczur, zdumiony i przerażony tym gwałtownym wybuchem żalości, nie śmiał przez chwilę się odzywać, wreszcie powiedział spokojnie i ze współczuciem:

— Co ci jest, kochany? Co się stało? Powiedz mi, jakie masz zmartwienie, może będę mógł coś na nie poradzić.

Biedny Kret z trudem zdołał cośkolwiek wykrztusić wśród łkań, które raz po raz wzbierały w jego piersi, powstrzymując i dławiąc słowa.

— Ja wiem, że to... licha... mroczna chatka — wyjąkał wreszcie urywanym głosem — nie taka... jak twój wygodny domek... albo Ropuszy Dwór... lub obszerne mieszkanie Borsuka... Ale to był mój własny domek... przywiązałem się do niego... i rzuciłem go, i zupełnie o nim zapomniałem... i nagle go wywęszyłem... tam, na drodze, kiedy wołałem ciebie, a ty nie chciałeś się zatrzymać, Szczurku!... Wszystko nagle... w jednym mgnieniu... przypomniało mi się... i zatęskniłem do domu... O rety! Rety!... A kiedy ty, Szczurku, nie chciałeś zawrócić... kiedy musiałem opuścić swój dom, mimo że go wciąż jeszcze czułem... myślałem, że mi serce pęknie!... Mogliśmy przecie zająć i spojrzeć na niego, Szczurku!... rzucić jedno jedyne spojrzenie... byliśmy bliźniutko!... Ale ty nie chciałeś zawrócić, Szczurku, nie chciałeś! O mój Boże, mój Boże!

Wspomnienia wywołały nowe fale bólu i szlochanie wzmogło się, uniemożliwiając Kretowi dalsze słowa.

Szczur patrzył przed siebie i klepał Kreta łagodnie po ramieniu. Po pewnym czasie mruknął ponuro:

— Teraz rozumiem wszystko. Postąpiłem po świńsku! Jestem świnia, zwyczajna świnia!

Czekał, żeby łkanie Kreta nieco ucichło. A gdy wreszcie Kret częściej pociągał nosem, niż szlochał, Szczur wstał i rzekł obojętnie:

— No, a teraz, mój chłopcze, czas już doprawdy, abyśmy wyruszyli w drogę. — I zawrócił na dawny szlak, który z takim trudem sobie utorowali.

— Gdzież ty (hik!) idziesz (hik!), Szczurku? — wykrzyknął zapłakany Kret, podnosząc łebek z przestraszeniem.

— Idziemy odszukać twój dom, mój stary — odrzekł serdecznie Szczur. — Zbieraj się i chodź, bo to niełatwa sprawa. Przyda nam się twój nos.

— Wróć, Szczurku, wróć! — wołał Kret, wstając i biegnąc za przyjacielem. — To na nic, zapewniam cię! Nic z tego nie będzie! Jest za późno i za ciemno, i za daleko, i śnieżycy nadchodzi. I... i ja nie miałem zamiaru dać ci poznać, że tak to odczułem... to był wypadek... pomyłka. Pomyśl o Wybrzeżu, o twojej kolacji!

Dom, Tęsknota

— Pal licha Wybrzeże i kolację! — odrzekł Szczur z przekonaniem. — Mówię ci, że odnajdę twoją chatkę, choćbym miał na tym poszukiwaniu strawić całą noc. Pociesz się więc, stary, weź mnie pod łapkę, niedługo będziemy na miejscu.

Kret, pociągając nosem i protestując, dał się niechętnie prowadzić swemu despotycznemu towarzyszowi, który potokiem wesołej wymowy i zabawnymi dykteryjkami usiłował skrócić męczącą drogę i dodać Kretowi otuchy. A gdy wreszcie Szczur zorientował się, że zbliżają się do miejsca, gdzie Kret został „zatrzymany”, powiedział:

— A teraz cicho, sza! Bierzmy się do roboty. Pokaż, że masz nos. Uwaga!

Uszli jeszcze kawałek w milczeniu, wtem Szczur poczuł, że przez jego ramię, wsunięte pod ramię Kreta, przeszedł jakby słaby prąd elektryczny, promieniujący z ciała przyjaciela. Natychmiast oswoił łapkę, cofnął się o krok i czekał z naprężoną uwagą.

Sygnały płynęły.

Kret stał przez chwilę sztywno wyprostowany, wznosił w górę nos o lekko drgających nozdrzach i węszył w powietrzu.

Nagle skoczył szybko naprzód — lecz była to pomyłka — natrafił na jakąś przeszkodę — spróbował zawrócić, a potem powoli, pewnie, z ufnością podążył prosto przed siebie.

Szczur, niesłuchanie podniecony, następował mu na pięty, a Kret niby lunatyk przeszedł przez suchy rów, przeskoczył płot i węszył za śladem w otwartym, pustym polu, oświetlonym słabym blaskiem gwiazd.

Nagle bez uprzedzenia znikł, lecz Szczur miał się na bacności i śladem przyjaciela dał nurka w tunel, do którego wiernie prowadził Kreta jego niezawodny węch.

Korytarz był duszny i nieprzewietrzony, Szczurowi czas strasznie się dłużył, aż wreszcie skończyło się podziemne przejście i mógł stanąć na łapki, przeciągnąć się i otrząsnąć. Kret zaśwyczał zapalną, a w jej świetle Szczur spostrzegł otwartą przestrzeń, czysto wymiecioną i posypaną piaskiem. Wprost przed nimi było frontowe wejście do domu Kreta, a z boku, nad rączką od dzwonka, widniał napis: *Krecie Zacisze*, wymalowany gotyckimi literami.

Kret zdjął ze ściany latarkę zawieszoną na gwoździu i zapalił ją, a Szczur, rozejrzawszy się wkoło, zobaczył, że stoją na dziedzińcu. Po jednej stronie drzwi Kreta znajdowała się ogrodowa ławka, a po drugiej walec na kółkach, gdyż Kret bardzo dbał o porządek i nienawidził, gdy inne krety ryły w jego posiadłości płytkie korytarze zakończone kupką ziemi. Na murach wisały druciane koszyki z paprociami, a między nimi stały na półkach gipsowe odlewy. Była tam królowa Wiktoria i Garibaldi, i różni inni bohaterowie. Wzdłuż jednego boku dziedzińca ciągnął się tor kęglowy, obstawiony ławkami i stoliczkami, na których pozostały ślady jakby od kufli piwa. W środku podwórza znajdował się mały, okrągły basen, obramowany muszlami, w którym pływały złote rybki. Na środku basenu wznosił się ozdobny słupek, również udekorowany muszlami i zakończony dużą kulą ze srebrnego szkła, w której wszystko odbijało się do góry nogami. Wyglądało to bardzo śmiesznie.

Pyszczyk Kreta rozpromienił się na widok przedmiotów tak bardzo mu drogich. Wepchnął szybko Szczura przez drzwi, zapalił lampę w holu i jednym spojrzeniem objął swój dawny dom. Zobaczył, że wszystko pokryła gruba warstwa kurzu, zauważył smutny, opuszczony wygląd niezamieszkanego domu, jego ciasnotę, liche i zniszczone meble, i opadł na krzesło, kryjąc nos w łapkach.

— O Szczurku! — wykrzyknął z przerażeniem — co ja najlepszego zrobiłem! Po co ja cię sprowadziłem w taką noc do tego lichego, wyziębionego mieszkania, kiedy mogłeś już być o tej porze na Wybrzeżu, mogłeś wygrzewać swoje łapki przy buzującym ogniu, a wkoło siebie mieć wszystkie swoje śliczne sprzęty!

Szczur nie zważał na żałosne wyrzuty, jakie sobie robił Kret. Biegał tu i tam, otwierał drzwi, zaglądał do pokojów i szaf, zapalał lampy i świece i ustawiał je wszędzie.

— Cóż to za przyjemny domek! — zawołał wesoło. — Jaki dobry rozkład! Wszystko masz pod ręką. Niczego ci nie brakuje, każda rzecz na swoim miejscu! Musimy spędzić wesoło dzisiejszy wieczór. Przede wszystkim potrzebny nam dobry ogień na kominku, zaraz się tym zajmę, mam dar wynajdywania tego, czego mi potrzeba. Więc to jest twój salonik? Wspaniały! Czy te tapczaniki wpuszczane w ścianę to twój pomysł? Kapitalna rzecz! Idę teraz po węgiel i drewno, a ty tymczasem przyniesź ścierkę do kurzu, widziałem ją w jednej z szuflad kuchennego stołu, i postaraj się zaprowadzić trochę porządku. Rusz się, stary!

Dom

Kret pod wpływem dziarskiego towarzysza otrząsnął się z przygnębienia i zabrał się ochoczo i energicznie do odkurzania i froterowania. Tymczasem Szczur biegał tam i na powrót, znosząc opał, i niebawem wesoły ogień trząskał w kominie. Szczur zawołał na Kreta, aby przyszedł się ogrzać, lecz Kreta opanowała znów melancholia: w czarnej rozpaczy opadł na kanapę i ukrył pyszczek w ścierce od kurzu.

— Szczurku! — jęknął. — A co będzie z twoją kolacją? Moje ty biedne, przemarznięte, głodne, zmordowane zwierzę! Nie mam nic, aby cię poczęstować! Nic, ani okruszyny!

— Jak ty łatwo tracisz animusz, mój chłopcze — rzekł Szczur z wyrzutem. — Dopiero co widziałem na kuchennym bufecie klucz do otwierania puszek z sardynkami. A przecież każdy wie, że to oznacza bliskość sardynek. Zapanuj nad sobą, weź się w karby i chodź ze mną szukać!

Wyruszyli obaj na poszukiwanie, zajrzeli do wszystkich szaf, wywrócili do góry nogami zawartość wszystkich szuflad i ostateczny rezultat okazał się nie najgorszy, choć oczywiście mógł być lepszy: znaleźli puszkę sardynek, ledwie napoczęte pudełko słonych ciasteczek i niemiecką kielbasę, zawiniętą w cynfolię.

— Mamy królewską ucztę — zauważył Szczur, nakrywając do stołu. — Znam zwierzęta, które dałyby sobie chętnie obciąć uszy, aby zasiąść z nami do takiej kolacji!

— Nie ma chleba — jęknął Kret z boleścią — ani masła, ani...

— Ani pasztetu z gęsiich wątróbek, ani szampana — podchwycił Szczur, szczerząc zęby. — Ale, ale, co to za drzwiczki na końcu korytarza? Prowadzą pewnie do piwnicy. Niczego nie brak w tym domu! Zaczekaj no chwilę!

Podszedł do drzwi i wkrótce powrócił, nieco zakurzony, niosąc po butelce piwa w każdej łapce i dwie butelki pod pachami.

— Prawdziwy z ciebie sybaryta¹⁹, mój Krecie — zauważył. — Niczego sobie nie żałujesz. A twój domek jest doprawdy najmiłszy w świecie. Gdzieżeś ty wyszperał te sztychy²⁰? Dzięki nim pokój wygląda bardzo przytulnie. Wcale się nie dziwię, że jesteś tak przywiązany do swojej nory. Opowiedz mi jej historię i wyjaśnij, jakim sposobem doprowadziłeś ją do obecnego stanu.

Szczur zajął się przynoszeniem talerzy, noży, widelców i rozrabianiem musztardy w kieliszku od jaj, a wówczas Kret, z piersią wciąż jeszcze wezbraną niedawno przebytym wzruszeniem, opowiadał — z początku nieśmiało, a potem, w miarę jak się zapalał, z wzrastającą swobodą — jak sobie jedno uplanował, a inne obmyślił, a znów tamto spadło mu jak z nieba — od ciotki. Ten sprzęt udało mu się nabyć wyjątkowo tanio, inny kupił dzięki surowej oszczędności i odmawianiu sobie wielu rzeczy. Odzyskawszy humor, zapragnął nacieszyć się swoją własnością, wziął więc lampę i zaczął zwracać uwagę gościa na różne szczegóły. Rozwodził się nad nimi, zapominając o kolacji, której obaj tak bardzo potrzebowali. Szczur był rozpaczliwie głodny, lecz usiłował to ukryć, kiwał głową z powagą, przyglądał się, marszcząc brwi i powtarzając od czasu do czasu: „Nadzwyczajne! Godne podziwu!”, gdy tylko nadarzyła się sposobność, aby wtrącić słówko.

Wreszcie Szczurowi udało się przyciągnąć Kreta do stołu i zabierał się właśnie z namaszczeniem do otwierania pudełka z sardynkami, kiedy usłyszał hałas dochodzący z podwórza. Było to jakby szuranie małych łapek po żwirze, połączone z niewyraźnym gwarem cienkich głosów. Można było nawet rozróżnić urywane zdania:

— Wszyscy rzędem... Podnieś trochę latarkę, Tommy... Najpierw odchrząknąć... Nie kasłać, kiedy powiem: raz, dwa, trzy... Gdzie mały Bill?... Chodź prędko, wszyscy czekamy.

— Co to takiego? — spytał Szczur, przerywając swoje zajęcia.

— Zdaje mi się, że to polne myszy — odparł Kret z pewną dumą. — W okresie świąt obchodzą wszystkie domy i śpiewają kolędy. W tych okolicach jest to zwyczaj uświęcony tradycją. Mnie nigdy nie pomina, przychodzą do Kreciego Zacisza na samym końcu. Dawniej częstowałem je gorącymi napojami, a nawet czasem, jeśli mogłem sobie na to pozwolić, dostawały kolację. Przypomną mi się dawne czasy, kiedy ich posłucham.

— Popatrzmy na nie! — wykrzyknął Szczur, zrywając się i biegnąc do drzwi.

¹⁹sybaryta — człowiek rozmiłowany w zbytku, wygodach i przyjemnościach życia. [przypis edytorski]

²⁰sztych — rycina, rysunek otrzymany jako odbitka na papierze obrazu wrytego na płycie metalowej i pokrytego farbą. [przypis edytorski]

Jedzenie

Obyczaje, Święto, Śpiew

Gdy otworzyli drzwi, oczom ich ukazał się widok wdzięczny i harmonizujący ze świątecznym nastrojem. Na dziedzińcu oświetlonym mrocznym blaskiem latarki stało osiem czy dziesięć polnych myszek ustawionych w półkole. Miały na szyjkach czerwone szydełkowe szaliki, przednie łapki trzymały w kieszeniach, tylnymi zaś tupwały dla rozgrzewki. Spoglądały po sobie nieśmiało bystrymi ślepkami podobnymi do paciorków, chichotały przy tym z lekka, pociągały noskami i gorliwie je ocierały rękawami paltek. W chwili gdy Szczur otworzył drzwi, starsza mysz, która trzymała latarkę, mówiła właśnie:

— Raz, dwa, trzy, zaczynamy!

Przenikliwe głosiki wzbily się w powietrze. Myszki śpiewały starodawną kolędę, jedną z tych kantyczek, które komponowali ich praszczurowie²¹, siedząc na burchach, zakrzepłych od mrozu polach albo za węglami kominków, dokąd chronili się przed śniegiem. Dawne kolędy ojcowie przekazywali dzieciom. Śpiewano je w okresie świątecznym, stojąc na błotnistej drodze przed oświetlonymi oknami.

KOLEDA

(Na nutę: *Wśród nocnej ciszy...*)

Chociaż mróz dzierży dziś w nocy wartę,
Zostawcie wrota wasze rozwarte.
Wicher hula, niesie słoć...
Na kominku ognie złote...
Jutro wesele...

W palce chuchamy, przytupujemy,
I wieść radosną ludziom niesiemy,
W domek cichy — hen z ulicy,
Do kominka — ze śnieżycy:
Jutro wesele...

Nim upłynęła połowa nocy,
Gwiazda otwarła ślepe nam oczy,
Prawą drogę pokazała
I nadzieję w serce wlała
Jutro wesele...

Józef prowadził, bo było ślisko,
Zobaczył gwiazdę nad stajnią nisko,
Już nie może iść Panienka —
Będzie tu podściółka miękka
Jutro wesele...

Co mówił anioł, słyszy Maryja,
Kto pierwszy śpiewał Bogu „gloryja”^{22?}
Pierwsze wołały zwierzęta,
Bo i dla nich noc ta święta
Jutro wesele...²³

Głosy zamilkły, śpiewacy, zawstydzeni, lecz uśmiechnięci, wymieniali z ukosa spojrzenia. Nastąpiła cisza, ale trwała zaledwie chwilę. Gdzieś z daleka i z wysoka, tunelem, którym Kret i Szczur niedawno przywędrowali, spłynęła ku nim ledwie dosłyszalna, harmonijna i wesoła melodia odległych dzwonów.

— Zaśpiewaliście bardzo ładnie, chłopcy — zawołał Szczur serdecznie. — A teraz chodźcie wszyscy rozgrzać się przy ogniu i napić się czegoś ciepłego.

²¹ *praszczur* (daw.) — przodek. [przypis edytorski]

²² *gloryja* (z łac. *gloria*) — chwała. [przypis edytorski]

²³ *Chociaż mróz dzierży dziś w nocy wartę...* — przekład Zofii Baumanowej. [przypis redakcyjny]

— Tak, tak, chodźcie, myszy polne! — krzyknął skwapliwie Kret. — Przypomną mi się dawne czasy. Zamykajcie za sobą drzwi! Przysuńcie sobie ławkę do ognia i poczekajcie chwilę aż... O Szczurku! — zawołał płaczącym głosem, osuwając się z rozpaczą na krzesło. — Co my najlepszego robimy? Przecież nie mamy ich czym poczęstować!

— Zostaw to mnie — rzekł Szczur z powagą. — Hej tam, ty z latarką! Chodź no tu! Chcę z tobą pomówić. Powiedz mi, czy o tej godzinie są jeszcze u was otwarte sklepy?

— Oczywiście, proszę pana — odrzekła polna mysz z uszanowaniem. — Podczas świąt nasze sklepy bywają otwarte do późnych godzin.

— Posłuchaj więc — powiedział Szczur. — Pójdiesz natychmiast ze swą latarką i przyniesiesz mi...

Tu Szczur zniżył głos. Kreta dochodziły tylko strzępy długiego wywodu.

— Uważaj, aby były świeże... Nie, funt²⁴ wystarczy... Koniecznie „Bugginsa”... nie chcę innej marki... Nie, najlepsze. Jeśli tam nie będzie, pójdiesz do innego sklepu... Tak, oczywiście, domowej roboty, nie w puszkach... Postaraj się załatwić to jak najlepiej.

W końcu zadzwieczyły pieniądze podawane z łapki do łapki, polna mysz otrzymała wielki kosz na zakupy i oddaliła się śpiesznie ze swą latarką.

Polne myszy zasiadły rzędem na ławce, machając tylnymi łapkami, i dopóty przygrzewały sobie odmrożenia, aż łapki zaczęły je swędzić i szczypać. Kret nie potrafił wciągnąć myszy do rozmowy na ogólne tematy, przeszedł więc do spraw rodzinnych. Każda mysz musiała mu powiedzieć imiona licznych siostr i braci, którzy, jak się okazało, byli jeszcze mali i dlatego nie pozwolono im jeszcze chodzić z kolędą, mieli jednak nadzieję, że w następnym roku uzyskają na to zgodę rodziców.

Tymczasem Szczur oglądał etykietę na butelce piwa.

— Widzę, że to „Old Burton” — zauważył z uznaniem. — Jesteś mądry, Krecie. Tego nam właśnie było trzeba, możemy sobie zrobić polewkę z piwa. Przygotuj wszystko, a ja tymczasem odkorkuję butelki.

Przyrządzenie polewki zajęło im niewiele czasu, wsunęli żelazny saganek w rozżarzone serce ognia. Wkrótce każda mysz polna popijała gorący trunek, kaszląc, dławiąc się i śmiejąc, i ocierając oczy. Zapomniały zupełnie, że kiedyś było im zimno.

— Ci chłopcy dają przedstawienia teatralne — tłumaczył Kret Szczurowi. — Sami układają sztuki, a potem je wystawiają. Całkiem dobrze im to wychodzi. Zeszłego roku zagrali pyszną rzecz. Bohaterem sztuki była polna mysz wzięta do niewoli przez korsarzy. Musiała wioskować na galerze, a kiedy uciekła i powróciła do kraju, dowiedziała się, że jej ukochana wstąpiła do klasztoru. Hej ty, mały! Pamiętam, że występowałeś w tej sztuce. Wstań i zadeklamuj nam jakiś wyjątek.

Mysz polna, do której Kret się zwrócił, wstała, przestępując z łapki na łapkę, rozejrzała się po pokoju i... zapomniała języka w pyszczku. Towarzysze dodawali jej otuchy, Kret perswadował i zachęcał, Szczur uciekł się nawet do gwałtownego środka i trząś ję za ramiona, ale mysz nie mogła opanować tremy. Wszyscy kręcili się gorliwie wokół niej, niby przewoźnicy, co według przepisów Królewskiego Towarzystwa Humanitarnego ratują topielca, który długi czas przebywał pod wodą. Wtem zasuwa szczęknęła, drzwi się otworzyły i ukazała się polna mysz z latarką, zgięta pod ciężarem kosza.

Nie było już mowy o przedstawieniu, gdy wysypano na stół solidną zawartość kosza. Szczur objął komendę, a każdy musiał czymś się zająć. Przygotowano bardzo szybko kolację i Kret jak we śnie zasiadł na pierwszym miejscu. Miał przed sobą stół — niedawno pusty — zastawiony teraz znakomitymi przysmakami. Widział rozpromienione pyszczki swych małych przyjaciół, którzy nie tracąc czasu, rzucili się na jedzenie, a wreszcie sam, okropnie zgłodniały, zaczął wsuwać smakołyki, dostarczone jakimś cudownym sposobem, i myślał sobie, jak szczęśliwie mu się udał powrót do domu. Przy jedzeniu rozmawiali o dawnych czasach, myszy polne zdawały Kretowi sprawę z najnowszych miejscowych plotek i odpowiadały, jak umiały najlepiej, na setki zapytań, które im stawiał. Szczur mówił mało albo milczał, ale uważał, czy każdy gość ma wszystkiego pod dostatkiem i pilnował, aby Kret niczym się nie kłopotał i nie niepokoił.

Wreszcie polne myszy odeszły z tupotem, dziękując i życząc „wesołych świąt”. Zabrały pełne kieszenie upominków dla małych siostrzyczek i braciszków, którzy zostali w domu.

²⁴funt — dawna angielska jednostka wagi równa ok. 0,45 kg. [przypis edytorski]

Gdy drzwi zamknęły się za ostatnią myszą i ucichł szczeł zasuwki, Kret i Szczur podsykali ogień, przysunęli fotele do kominka, przyrządzili sobie jeszcze po jednej szklance piwnej polewki do poduszki i zaczęli omawiać wydarzenia dnia. Wreszcie Szczur, ziewając od ucha do ucha, oświadczył:

— Wiesz, stary Krecie, nie mogę powiedzieć, że mi się chce spać, gdyż to za mało. Po prostu padam ze zmęczenia. Ten tapczan na prawo pewno twój? W takim razie ja się kładę na tamtym. Cóż za rozkoszne mieszkanko! Wszystko pod ręką!

Wdrapał się na tapczan, owinał się szczelnie kołdrami i od razu zapadł w sen, który objął go niby żniwiarka biorąca w ramiona pokos jęczmienia.

Kret, radosny i zadowolony, złożył z rozkoszą łebek na poduszce. Lecz nim zamknął oczy, pozwolił im błędzić po swym dawnym pokoju i rozkoszować się blaskiem ognia, który igrał na dobrze znanych, miłych sprzętach lub oświetlał je łagodnie. Te sprzęty przez długi czas stanowiły nieświadomie jakby część Kreta, a teraz, nie żywiąc do niego urazy, przyjmowały jego powrót z uśmiechem. Radosny nastrój Kreta był zasługą taktownego postępowania Szczura. Kret zdawał sobie jasno sprawę, że jego mieszkanko jest proste i niewyszukane, nawet ciasne, ale równie jasno widział, jak silnie jest do niego przywiązany, i ocenił wartość takiej przystani dla zwierzęcia. Nie pragnął wcale porzucać nowego życia i jego wspaniałych przestrzeni, nie miał zamiaru odwracać się od słońca, powietrza i wszystkiego, co od nich brał, aby wślizgnąć się z powrotem do swojego domu i pozostać w nim. Życie tam w górze zbyt silnie do niego przemawiało. Nawet tu, w swojej norze, Kret czuł jego wezwanie, wiedział, iż musi wrócić na szerszy świat. Lecz z przyjemnością myślał, że ma dokąd się schronić, ma własny domek i te sprzęty, które go tak radośnie witają. Czuł, że zawsze może tu liczyć na serdeczne przyjęcie, pełne prostoty.

ROZDZIAŁ VI. PAN ROPUCH

Był pogodny ranek na początku lata. Rzeka wróciła do swego normalnego łożyska i zwykłej bystrości nurtu, a upalne słońce zdawało się wydobywać wszystką zieloność ukrytą w ziemi, podciągało wzwyż, rzekłbyś, sznurami, wszystkie krzaki, wszystkie sadzonki. Kret i Szczur wstali skoro świt i zajęli się pilnie sprawami związanymi z łodzią i otwarciem żeglarskiego sezonu: malowali i politurowali, naprawiali wiosła, zaszywali poduszki, szukali zaginionych haków i tak dalej. Kończyli właśnie śniadanie w małym saloniku, omawiając z przejściem plan dnia, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

— O, do licha! — rzekł Szczur, który miał pyszczek umorusany jajkami. — Mój Kreciku, skończyłeś już śniadanie, idź zobacz, kto to taki.

Kret poszedł otworzyć, Szczur usłyszał zdziwiony okrzyk, a po chwili drzwi od saloniku rozwarły się z impetem i Kret oznajmił głosem pełnym namaszczenia:

— Pan Borsuk!

Był to doprawdy zdumiewający wypadek, żeby Borsuk przyszedł do nich — czy w ogóle do kogokolwiek — z oficjalną wizytą. Zwykle, gdy zaszła taka potrzeba, czyhało się na niego przy żywopłocie, wzdłuż którego prześlizgiwał się wczesnym rankiem lub późnym wieczorem, albo też przyłapywano go w jego mieszkaniu w środku Puszczy, a było to trudne zadanie.

Borsuk wsunął się ociężale do pokoju i stanął, patrząc z powagą na przyjaciół. Szczur upuścił łyżeczkę i otworzył pyszczek ze zdumienia.

— Wybiła godzina! — oznajmił Borsuk uroczyście.

— Jaka godzina? — spytał Szczur, spoglądając z niepokojem na zegar.

— Spytaj raczej: czyja godzina? — odparł Borsuk. — Godzina Ropucha. Jego godzina. Obiecałem, że wezmę się za niego, jak tylko zima minie na dobre, i dziś zamierzam spełnić swoją obietnicę.

— Godzina Ropucha, no tak! — zawołał radośnie Kret. — Wiwa-a-at! Pamiętam! Nauczymy Ropucha rozumu!

— Dziś rano — ciągnął dalej Borsuk, zasiadając w fotelu — dowiedziałem się z pewnego źródła, że mają przysłać na próbę do Ropuszego Dworu nowy samochód o niezwykle potężnym silniku. Może w tej chwili właśnie Ropuch nakłada na siebie ten ohydny strój, tak przez niego lubiany, i z dość przystojnego Ropucha zmienia się w przedmiot,

Sen

Dom

Dom

Lato, Słońce

Samotnik

na którego widok każde rozsądne zwierzę dostaje nerwowego ataku. Trzeba działać, póki czas. Pójdziecie zaraz ze mną do Ropuszego Dworu, musimy dokonać dzieła ocalenia.

— Masz słuszność! — zawołał Szczur, zrywając się. — Ocalimy biedne, nieszczęsne stworzenie! Nawrócimy go! Będzie najzarliwszym z nawróconych Ropuchów.

Puścili się więc w drogę, aby spełnić miłosierne posłannictwo, a Borsuk kroczył na ich czele. Gdy zwierzęta wędrują w towarzystwie, zwykle idą gęsiego, tak każe rozsądek i przyzwoitość. Nie rozłączą się po całej drodze, gdyż to utrudnia wzajemną pomoc w razie nagłej potrzeby czy niebezpieczeństwa.

Kiedy dotarli do wjazdowej alei Ropuszego Dworu, zobaczyli stojący przed domem — według słusznych przewidywań Borsuka — nowiuteńki czerwony samochód olbrzymich rozmiarów (czerwień była ulubionym kolorem Ropucha). A kiedy podeszli do domu, drzwi wejściowe otworzyły się z trzaskiem i pan Ropuch, w samochodowych okularach, w czapce, kamazach i obszernym płaszczu, zaczął schodzić ze schodów z dumną miną, naciągając rękawiczki.

— Bywajcie, chłopcy! — wykrzyknął wesoło na widok przyjaciół. — Przychodzicie w porę, odbędziemy razem rozkoszną... odbędziemy rozkoszną... roz-kosz-ną...

Gdy Ropuch zauważył surową, nieugiętą postawę swych milczących przyjaciół, nie dokończył zaproszenia, jego serdeczny głos załamał się i ucichł.

Borsuk wszedł na schody posuwistym krokiem.

— Prowadźcie go z powrotem do domu! — rozkazał surowo swym towarzyszom. A gdy mimo oporu i protestów Ropucha wepchnęli go do sieni, Borsuk zwrócił się do szofera, który przyprowadził nowy samochód:

— Bardzo mi przykro, ale nie będzie pan dziś potrzebny. Pan Ropuch zmienił zdanie, nie kupi tego samochodu. Jest to postanowienie nieodwołalne, nie ma pan na co czekać! — Borsuk wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi.

— A teraz — zwrócił się do Ropucha, gdy we czterech znaleźli się w sieni — zdejmij przede wszystkim ten śmieszny ubiór.

— Nie zdejmę! — zaperzył się Ropuch. — Co znaczą te zniewagi? Żądam natychmiast wyjaśnienia!

— Rozebrać go! — nakazał krótko Borsuk.

Szczur i Kret musieli rozciągnąć Ropucha na ziemi, nie mogli sobie z nim inaczej poradzić: wymyślał i kopał ich. Wreszcie Szczur na nim usiadł, Kret zaś ściągał z niego kolejno różne części samochodowego rynsztunku, po czym postawili go na nogi. Sporo junackiego²⁵ animuszu wywierało mu z łebka wraz ze zwlaczonym ubraniem. Teraz, gdy był po prostu Ropuchem, a nie Postrachem Szos, przestępował z łapy na łapę i spoglądał błagalnie to na jedno zwierzę, to na drugie. Zdawało się, że zrozumiał swoje położenie.

— Wiedziałeś, że wcześniej czy później musiało do tego dojść, Ropuchu — tłumaczył Borsuk surowo. — Lekceważyłeś nasze ostrzeżenia, trwonileś pieniądze odziedziczone po ojcu. A przez ciebie, przez twoje wariackie jazdy, katastrofy, awantury z policją, dobre imię zwierząt w okolicy zostało narażone na szwank. Niezależność jest rzeczą cenną, lecz my, zwierzęta, nie możemy pozwolić, aby głupota naszych przyjaciół przekroczyła pewne granice. A ty granice te przekroczyłeś. Jesteś na ogół dobrym zwierzątkiem, nie chcę więc okazywać zbytnej surowości. Postaram się raz jeszcze przemówić ci do rozsądku. Chodź za mną, dowiesz się, co myślę o twoim postępowaniu. Zobaczymy, czy wyjdiesz z tego pokoju takim samym Ropuchem, jakim jesteś teraz.

Borsuk chwycił silną łapą ramię Ropucha, zaprowadził go do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

— To na nic — rzekł Szczur z pogardą. — Gadanie nigdy nie uleczy Ropucha. Wszystkiemu będzie potakiwał.

Przyjaciele usadowili się wygodnie w fotelach i czekali cierpliwie. Przez zamknięte drzwi dochodził ich nieprzerwany szmer głosu Borsuka. Głos ten pod wpływem krasomówczego zapału to wznosił się, to opadał. Po pewnym czasie zauważyli, że kazanie przerywa miarowy, głęboki szloch, szloch pochodzący najwidoczniej z piersi Ropucha. Ropuch był stworzeniem uczuciowym, obdarzonym miękkim sercem i dawał się łatwo przekonać — przynajmniej na chwilę — o słuszności każdego zapatrywania.

²⁵junacki — właściwy junakowi, dzielny, śmiały, zuchwały. [przypis edytorski]

Po upływie mniej więcej trzech kwadransów drzwi się otworzyły: ukazał się w nich Borsuk, prowadząc uroczyście za łapę zgnębnionego Ropucha; skóra wisiała na nim na kształt worka, łapki mu drżały, a policzki były mokre od obfitych łez wywołanych wzruszającą przemową Borsuka.

— Siadaj, Ropuchu — rzekł dobrotliwie Borsuk, wskazując krzesło. — Przyjaciele — ciągnął dalej — oznajmiam wam z przyjemnością, że Ropuch uznał wreszcie swoje błędy. Żałuje szczerze swych przewinień. Postanowił wyrzec się samochodów na zawsze, uroczyście mi to obiecał.

— To bardzo pomyślna wiadomość — powiedział Kret poważnie.

— Bardzo pomyślna — powtórzył za nim Szczur z powątpiewaniem — jeśli tylko... jeśli...

Mówiąc te słowa, wpatrywał się bacznie w Ropucha i zdawało mu się, że zauważył coś w rodzaju błysku w jego oku, wciąż jednak smutnym.

— Jeszcze jedno, Ropuchu — ciągnął dalej zadowolony Borsuk — chciałbym, abyś powtórzył tu uroczyście, wobec zgromadzonych przyjaciół, to, co przed chwilą przyznałeś mi w gabinecie. Po pierwsze: że żałujesz swego postępowania i zdajesz sobie sprawę, jakie było szalone.

Nastąpiła długotrwała cisza. Ropuch rozglądał się z rozpaczą na wszystkie strony, a zwierzęta czekały, milcząc z powagą. Wreszcie Ropuch wybuchnął:

— Nie! — rzekł pośpiesznie, lecz z dumą. — Wcale tego nie żałuję. To nie było żadne szaleństwo. To było po prostu cudowne.

— Co? — wykrzyknął Borsuk, wielce zgorzony. — Ty obłudny zwierzaku! Czy nie zapewniałeś mnie dopiero co, tam...

— O tak, tam! — rzucił niecierpliwie Ropuch. — Tam byłbym przyznał się do wszystkiego. Jesteś taki wymowny, kochany Borsuku, tak logicznie dowodzisz, że... Potrafisz wzruszać i przekonywać... Tam mogłeś zrobić ze mną, co tylko chciałeś, wiesz o tym dobrze. Ale zastanowiłem się, przetrzymałem wszystko i doszedłem do przekonania, że właściwie nie żałuję niczego i niczym się nie martwię. Więc po co, u licha, mam mówić to, czego nie myślę?

— A więc nie obiecujesz, że już nigdy nie dotkniesz samochodu? — spytał Borsuk.

— Ani myślę! — odparł Ropuch z naciskiem. — Przeciwnie, obiecuję solennie, że jak tylko zobaczę jakiś samochód, zatrąbię poop-poop i jazda!

— Dobrze więc — powiedział Borsuk stanowczo i wstał. — Skoro nie chcesz posłuchać perswazji, zobaczymy, jaki skutek odniesie siła. Wciąż się tego lękałem. Zapraszałeś nas nieraz, Ropuchu, abyśmy zabawili dłuższy czas w twoim pięknym dworze. Postanowiliśmy teraz to zrobić. Nie wyjdziemy, póki nie przekonamy cię o słuszności naszych poglądów. Szczurze! Krecie! Zaprowadźcie go na górę i zamknijcie w sypialni, a my omówimy tę sprawę.

— To przecież dla twego dobra, Ropuszku — rzekł dobrotliwie Szczur, gdy obaj werni przyjaciele taszczyli po schodach kopiającego i wrywającego się Ropucha. — Pomyśl, jak będzie nam wesoło razem, po dawnemu, kiedy minie ci ten... ten przykry atak...

— Zaopiekujemy się starannie wszystkimi twoimi interesami, póki nie wydobrzejesz, Ropuchu — wtrącił Kret. — Dołożymy starań, aby nie trwonić twoich pieniędzy, tak jak ty je trwoniłeś.

— Nie będziesz miał przykrych zająć z policją, Ropuchu — powiedział Szczur, wypychając przyjaciela do sypialni.

— I nie będziesz już musiał tułać się po szpitalach, gdzie pielęgniarki tobą rządzą, Ropuchu — dodał Kret, przekręcając klucz w zamku.

Zeszli ze schodów (Ropuch wymyślał im tymczasem przez dziurkę od klucza) i zaczęli we trzech radzić nad położeniem.

— To będzie trudna sprawa — rzekł Borsuk, wzdychając. — Nigdy nie widziałem u Ropucha takiego uporu. Trzeba to jednak przetrzymać. Nie możemy ani na chwilę zostawić go bez opieki. Musimy się przy nim zmieniać, póki jego organizm nie zwalczy tej trucizny.

Podzielili między siebie dyżury. Co noc jedno zwierzę spało z Ropuchem w jego pokoju, we dnie zaś się zmieniali. Z początku Ropuch był bardzo przykry dla swoich opiekunów. W czasie ostrych ataków ustawiał w sypialni krzesła, robiąc z nich coś na kształt

Pycha

Więzien

samochodu, siadał na wysuniętym do przodu krześle, pochylał się i wpatrzony przed siebie wydawał dziwne, niesamowite odgłosy, a gdy paroksyzm osiągał szczytu, wywracał koziółka i leżał rozciągnięty na ziemi pośród krzeseł, zupełnie na pozór spokojny.

Stopniowo jednak gwałtowne ataki stawały się coraz rzadsze, a przyjaciele dokładali starań, aby skierować myśli Ropucha na inne tory. On jednak nie okazywał żadnego zainteresowania, stawał się coraz bardziej obojętny i przygnębiony.

Pewnego pogodnego ranka Szczur, na którego wypadła kolejny dyżur, poszedł na górę zwolnić Borsuka. Biedny Borsuk wiercił się niespokojnie, nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie już mógł wyjść, aby rozprostować łapy na długim spacerze po Puszczy, po zaroślach i swoich podziemiach.

— Ropuch jeszcze w łóżku — powiedział do Szczura, gdy wyszli za drzwi. — Nie mogę nic z niego wydobyć, powtarza tylko: „O! zostawcie mnie w spokoju, nic mi nie potrzeba. Może później będę się czuł lepiej, może mi to z czasem minie. Nie macie się czym niepokoić”, i tak dalej. A teraz pamiętaj, Szczurze, gdy Ropuch jest cichy i pokorny i odgrywa rolę bohatera z książki odpowiedniej na nagrodę dla uczniów ze szkółki niedzielnej, wówczas bywa najbardziej przebiegły. Na pewno coś obmyśla, znam go! A teraz już idę.

— Jak się dziś czujesz, stary? — spytał wesoło Szczur, zbliżając się do łóża Ropucha.

Przez parę minut nie było odpowiedzi, aż wreszcie dał się słyszeć słaby głos:

— Dziękuję ci bardzo, kochany Szczurku. Jakiś ty dobry, że pytasz o moje zdrowie! Ale przede wszystkim powiedz, jak ty się miewasz i nasz kochany Kret?

— My miewamy się doskonale — odpowiedział Szczur i dodał niebacznie: — Kret idzie się przelecieć z Borsukiem, wrócą dopiero na drugie śniadanie. Spędzimy więc sobie przyjemnie rano we dwójkę, dołożę wszelkich starań, aby cię rozerwać. A teraz bądź dzielny i wyskocz z łóżka! Szkoda leżeć i gnuśnieć w taki piękny rano.

— Drogi, pocziwy Szczurze — szepnął Ropuch. — Nie zdajesz sobie sprawy z mojego stanu, nie wiesz jaki jestem daleki od „skoków”. Ale nie przejmuj się mną. Nie chcę być ciężarem dla moich przyjaciół; mam zresztą nadzieję, że to już nie potrwa długo.

— I ja mam tę nadzieję — zgodził się Szczur z przekonaniem. — Sprawiliście nam dużo kłopotu, cieszę się, gdy słyszę, że się to skończy. Taka cudna pogoda, właśnie zaczyna się sezon żeglarski! Naprawdę, Ropuchu, to nieładnie z twojej strony. Nie chodzi mi o kłopot, ale pomyśl tylko, co przez ciebie tracimy!

— Lękam się, że jednak wypominasz mi kłopot, jaki wam sprawiam — rzekł Ropuch słabym głosem. — Ale rozumiem cię. Zmęczyła was opieka nade mną, nic w tym dziwnego. Nie powinienem was o nic prosić. Jestem dla was zawadą, wiem o tym.

— Jesteś — potwierdził Szczur. — Ale mimo to zapewniam cię, że nie żałowałbym dla ciebie żadnego trudu, gdybyś tylko zechciał być rozsądnym zwierzęciem.

— Żebym był tego pewny — szepnął Ropuch jeszcze słabszym głosem — poprosiłbym cię... zapewne po raz ostatni... abyś jak najprędzej udał się do wioski, choć to już może za późno, i sprowadził mi doktora. Ale nie, nie trudź się! To przecież taki kłopot! Może lepiej pozostawić wszystko losowi.

— A po co ci lekarz? — zapytał Szczur, podchodząc bliżej i przyglądając się Ropuchowi. Był jakiś dziwnie wychudzony i leżał bardzo spokojnie, i głos miał słabszy, i w ogóle zachowywał się inaczej niż zwykle.

— Musiałeś chyba zauważyć ostatnio — szepnął Ropuch — ale nie... bo i po co? Gdy się coś zauważy, pojawia się konieczność poniesienia pewnych trudów. Jutro może powiesz sobie: „O, gdybym wcześniej zwrócił na to uwagę! Gdybym postarał się temu zaradzić”. Ale nie, to przecież może sprawić kłopot. Nie ma o czym mówić. Zapomnij o mojej prośbie.

— Słuchaj no, stary — powiedział Szczur, który nie na żarty zaczynał się niepokoić. — Wezwę do ciebie doktora, jeżeli uważasz, że naprawdę jest ci potrzebny. Ale nie zdaje mi się, aby było z tobą aż tak źle. Pomówmy o czym innym.

— Obawiam się, drogi przyjacielu — rzekł Ropuch ze smutnym uśmiechem — że „rozmowa” niewiele pomaga w podobnych wypadkach. Co prawda, jeśli o to chodzi, to i lekarz nie pomoże, lecz tonący brzytwy się chwyta. Ale, ale, jeśli już pójdziesz po doktora, czy nie zechciałbyś za jednym zamachem poprosić, aby wstąpił do mnie rejent? Strasznie mi przykro, że ci sprawiam jeszcze jeden kłopot, lecz o ile pamiętam, musisz

przejsz koło jego drzwi. Oddałbyś mi tym wielką przysługę. Bywają chwile — może powinienem raczej powiedzieć: bywa chwila — kiedy stajemy wobec przykrych obowiązków, a obowiązki te należy spełnić, nawet ze szkodą dla wyczerpanego organizmu.

„Rejent! O, musi być źle z nim naprawdę” — pomyślał wystraszony Szczur i opuścił śpiesznie pokój, nie zapominając jednak zamknąć drzwi na klucz.

Za drzwiami stanął i zaczął się zastanawiać. Obaj jego przyjaciele byli daleko, nie miał więc z kim się naradzić.

„Ostrożność nie zawadzi”, powiedział sobie po namyśle. „Zdarzało się już nieraz, że Ropuch zupełnie bezpodstawnie wmawiał sobie chorobę, ale nie słyszałem nigdy, aby żądał przybycia rejenta²⁶. Jeśli mu naprawdę nic nie jest, doktor mu wytłumaczy, że jest osłem i doda mu odwagi. W każdym razie coś się na tym zyska. Muszę go zadowolić, nie zabierze mi to wiele czasu”. I Szczur pobiegł do wsi, aby spełnić miłosierny czyn.

Ropuch, który wyskoczył lekko z łóżka, gdy tylko usłyszał przekręcanie klucza w zamku, wyglądał niecierpliwie oknem, póki Szczur nie znikł przy końcu alei wjazdowej. Potem, śmiejąc się do rozpuku, włożył, jak tylko mógł najprędzej, najelegantsze z ubrań znajdujących się pod ręką i wyładował kieszenie drobnymi pieniędzmi, które wyjął z szufladki w toalecie. Następnie powiązał prześcieradła zdjęte z łóżka i jeden koniec zaimprovizowanego sznura owinął naokoło środkowego słupa w pięknym oknie z epoki Tudorów²⁷, stanowiącym ozdobę sypialni. Wydostał się na parapet, ześlizgnął się zgrabnie po „sznurze” na ziemię i ruszył z lekkim sercem w przeciwnym kierunku niż Szczur, pogwizdując wesoło.

Drugie śniadanie nie było miłe dla biednego Szczura. Borsuk i Kret powrócili wreszcie i musiał świecić przed nimi oczami, opowiadając swoją żalną i nieprzekonywającą historię. Można sobie łatwo wyobrazić ironiczne, żeby nie powiedzieć: brutalne, komentarze Borsuka, toteż nie będziemy się nad nimi rozwodzili. Lecz Szczur stwierdził z bólem serca, że nawet Kret, choć w miarę możliwości trzymał jego stronę, nie szczędził mu uwag:

— Ależ się dałeś nabrać, Szczurku, i to komu? Ropuchowi!

— Tak to sprytnie zrobił — tłumaczył się zgnębiony Szczur.

— Za to ty nie okazałeś sprytu — przyciął mu ostro Borsuk. — Ale gadanina tu nie pomoże. Umknął nam na razie. A najgorzej, że to, co uważa za swoją mądrość, wbije go jeszcze bardziej w pychę i może go doprowadzić do popełnienia jakiegoś szaleństwa. Jedyną dobrą stroną tej historii jest to, że nie potrzebujemy marnować drogich chwil na stróżowanie. Przez jakiś czas będziemy jednak wracali na noc do Ropuszego Dworu. Możemy tu lada chwila ujrzyć Ropucha na noszach lub między dwoma policjantami.

Tak mówił Borsuk, nieświadomy, co przyszłość przyniesie ani ile upłynie wody — i to mętnej — nim Ropuch zasiądzie znowu w dziedzicznym Ropuszym Dworze.

*

Tymczasem Ropuch, wesoły i lekkomyślny, kroczył szybko wzdłuż gościńca w odległości kilku mil od domu. Z początku kluczył bocznymi drózkami przez pola i kilkakrotnie zmieniał kierunek dla zmylenia pościgu. Lecz teraz czuł, że go już nie złapią. Słońce uśmiechało się jasno do niego i cała przyroda wtórowała chórem samochwalczej pieśni, rozbrzmiewającej w sercu Ropucha. Niemal tańczył na drodze z radości i pychy.

— Udał mi się kawał! — mówił sobie, chichocząc. — Przeciwwstałem rozum brutalnej przemocy i rozum zwyciężył! Tak być powinno. Biedny stary Szczur! Oj, oberwie on, oberwie, gdy wróci Borsuk! Zaczny chłop z tego Szczura, ma wiele zalet, ale brak mu inteligencji i jest źle wychowany. Muszę go kiedy wziąć w obroty, zobaczę, czy nie da się coś z niego zrobić.

Ropuch, całkowicie pogrążony w chełpliwych rojeniach, posuwał się naprzód z podniesionym łebkiem, aż dotarł do miasteczka. Gdy zobaczył szyld „Pod Czerwonym Lwem” wiszący w poprzek głównej ulicy, przypomniał sobie, że jeszcze nie jadł śniadania i że jest okropnie głodny po długim spacerze. Wszedł do zajazdu, kazał sobie podać najlepsze śniadanie, jakie można było dostać bez zamówienia, i zasiadł przy stole.

²⁶rejent (daw.) — notariusz, urzędnik sporządzający akty prawne na żądanie zainteresowanych, np. testamenty. [przypis edytorski]

²⁷Tudorowie — dynastia władców Anglii rządząca w latach 1485–1603. [przypis edytorski]

Był już mniej więcej w połowie śniadania, kiedy nagle drgnął, a potem zaczął drzeć na całym ciele: od ulicy doszedł go dźwięk aż nadto dobrze mu znany. „Poop-poop” rozlegało się coraz bliżej, samochód skręcił na podwórze zajazdu i stanął. Ropuch uchwycił się nogi od stołu, aby opanować wzruszenie. Po chwili do kawiarni weszło liczne towarzystwo. Wszyscy byli zgłodniałymi, rozmownymi, weseli i rozprawiali o przygodach tego ranka oraz o zaletach samochodu, który dowiózł ich tu bez szwanku. Ropuch słuchał jakiś czas, pilnie nastawiając uszu. Wreszcie nie mógł już dłużej wytrzymać. Wyślizgnął się cicho z sali, zapłacił w barze rachunek, a gdy tylko znalazł się na dworze, udał się wolno okólną drogą na dziedziniec.

— Przecież nie ma w tym nic złego — powiedział sobie — jeśli rzucę tylko okiem na samochód.

Auto stało na środku podwórza, nikt go nie pilnował, ponieważ chłopcy stajenni i czeladź²⁸ byli na obiedzie. Ropuch okrążył wóz, oglądał, oceniał i rozmyślał głęboko.

„Ciekawa rzecz — powiedział sobie po chwili. — Ciekawa rzecz, czy ten motor da się szybko wprawić w ruch”.

Niebawem, sam nie wiedząc, jak się to stało, trzymał w ręku korbę i kręcił nią²⁹. Gdy usłyszał znany odgłos, dawna namiętność całkowicie opanowała jego ciało i duszę. Jak we śnie znalazł się na miejscu szofera, jak we śnie podniósł hamulce, okrążył podwórze i ruszył za bramę, jak we śnie stracił chwilowo wszelkie poczucie dobra i zła i wszelką obawę przed następstwami swojego kroku. Zwiększył szybkość, a gdy samochód w pędzie pośliznął ulicę i wyskoczył na otwartą przestrzeń szosy, Ropuch nie chciał nic wiedzieć poza tym, że jest Ropuchem, Ropuchem znajdującym się w najlepszej formie, w największym rozkwicie, Ropuchem — Postrachem Szos, Ropuchem, który zatrzymuje wszelki ruch, Ropuchem panem gościńca, przed którym wszystko musi ustąpić lub obrócić się w proch, zapaść w wiekuiącą nicość. Nucił w pędzie, a samochód odpowiadał mu potężnym warkotem. Pożerał kilometry, pędząc w niewiadomym kierunku, poddając się ślepemu instyngtowi. Przeżywał bez troski, najpiękniejszy dzień swego życia, nie myśląc, co go czeka.

*

— Według mnie — zauważył z humorem przewodniczący ławy sędziowskiej — cała trudność tej sprawy, skądinąd bardzo jasnej, leży w tym, abyśmy potrafili dać skuteczną naukę temu niepoprawnemu łotrowi i zatwardzialemu brutalowi, który kurczy się przed nami ze strachu na ławie oskarżonych. Zastanówmy się: oskarżono go — co stwierdzają zresztą najwiarygodniejsze świadectwa — po pierwsze, o kradzież wartościowego samochodu; po drugie, o prowadzenie go bez najmniejszego względu na bezpieczeństwo publiczne; i po trzecie, o ordynarne znieważenie wiejskiej policji. Panie sekretarzu, może pan nam powie, jaki najcięższy wymiar kary możemy zastosować do każdego z tych przewinień? Oczywiście, bez uwzględnienia okoliczności łagodzących, gdyż te nie istnieją.

Sekretarz podrapał się piórem w nos.

— Zdaniem niektórych ludzi kradzież samochodu stanowi tu największe przestępstwo — oświadczył — i tak jest w rzeczywistości. Lecz znieważenie policji pociąga za sobą bezsprzecznie najwyższy wymiar kary. I tak być powinno. Powiedzmy, że za kradzież oskarżony otrzyma rok więzienia, co jest karą umiarkowaną; i trzy lata za wariacką jazdę, co jest karą łagodną; i piętnaście lat za znieważenie policji — dość gwałtowne, jeśli sędzić z zeznań świadków, nawet jeśli uwierzmy tylko jednej dziesiątej części tego, co nam mówiono (taki jest system, którego ja się trzymam); po dodaniu tych cyfr³⁰ otrzymamy, jeśli się nie mylę, liczbę dziewiętnastu lat...

— Doskonale! — wtrącił przewodniczący.

— ...niech więc panowie zaokrąglą tę liczbę do dwudziestu lat i wszystko będzie w porządku — zakończył sekretarz.

²⁸czeladź — służba; ogół służby zatrudnionej we dworze albo w domu. [przypis edytorski]

²⁹trzymał w ręku korbę i kręcił nią — w dawnych samochodach silnik był uruchamiany za pomocą korby rozruchowej. [przypis edytorski]

³⁰cyfra (daw.) — daw.: liczba, ilość; dziś popr.: pojedynczy znak pisarski służący do zapisywania liczb. [przypis edytorski]

— Świetna myśl! — powiedział przewodniczący z uznaniem. — Oskarżony, proszę się opanować i stać prosto. Tym razem otrzymasz dwadzieścia lat. Pamiętaj jednak, jeśli znowu staniesz przed nami za jakiegokolwiek przewinienie, będziemy musieli odnieść się do ciebie z całą surowością!

Brutalni stróże prawa rzucili się na nieszczęsnego Ropucha, zakuli go w kajdany i wyprowadzili z gmachu sądowego, nie zważając na jego błagania, krzyki i protesty. Wlekli go przez rynek, gdzie swawolna gawiedź, zawsze surowa dla schwytanego zbrodniarza, a współczująca i życzliwa dla podejrzanego o zbrodnię, powitała Ropucha drwinami i wyzwiskami, obrzucając go marchwią. Dzieci gwizdały i krzyczały, a ich niewinne twarzyczki wyrażały radość, którą sprawia im zawsze widok dżentelmena w opałach. Minęli dudniący głucho most zwodzony; przeszli pod jeźzącymi się od gwoździ wrzeczadkami³¹, pod groźną bramą ponurego zamczyska, którego pradawne wieżycy strzelały wysoko nad głowę; minęli kordegardę³², pełną uśmiechniętych drwiąco żołdaków³³; minęli sztyldwachów³⁴ pokaszających sarkastycznie — kaszel bowiem jest najwyższą oznaką pogardy i nienawiści, na jaką może sobie pozwolić sztyldwach — wkroczyli na kręcone schody, zużyte przez wieki, przechodząc obok zbrojnych mężów w kaskach i stalowych pancerzach, mężów rzucających groźne spojrzenia spod przyłbicy; przemierzali podwórce, gdzie brytany na wyprężonych smyczach wyrwały się ku nim i przebiegały łapami w powietrzu, chcąc ich dosięgnąć; mijali wiekowych strażników, którzy oparli się halabardą³⁵ o mur, drzemali nad mięsiwem i dzbanami ciemnego piwa. Szli i szli przez izby tortur, przez korytarze prowadzące na szafot³⁶, aż doszli do drzwi najokropniejszego z podziemi, leżących w samym sercu najgłębszego lochu. Przystanęli wreszcie tam, gdzie siedział sędziwy dozorca więzienny, bawiąc się pękiem olbrzymich kluczy.

— Oddsbodikins! — rzekł sierżant policji, zdejmując hełm i ocierając pot z czoła. — Zbudź się, stary nicponiu, i przejmij od nas tego oto nędznika, Ropucha, straszliwego zbrodniarza, niezrównanego w wybiegach i sprycie. Czuwaj nad nim i strzeż go z całą swą umiejętnością. A zapamiętaj sobie dobrze, siwobrody, gdyby się zdarzyło coś nieprzewidzianego, odpowiesz nam za to starym łbem!

Dozorca skinął ponuro głową i położył pomarszczoną rękę na ramieniu nieszczęsnego Ropucha. Zardzewiały klucz zgrzytnął w zamku, wielkie drzwi zatrzasnęły się i Ropuch został więźniem najgłębszego lochu, najlepiej strzeżonej wieżycy, najwarowniejszego zamku, jak Anglia długa i szeroka.

ROZDZIAŁ VII. PIEŚŃ O ŚWICIE

Mysikrólik³⁷ ukryty na skraju ciemnego wybrzeża wyśpiewywał swą cichutką piosenkę. Choć było już po dziesiątej, na niebie widniało jeszcze zapóźnione światło minionego dnia. Posępny żar popołudniowych godzin załamał się i rozproszył pod dotknięciem chłodnych palców krótkiej letniej nocy.

Kret leżał na brzegu Rzeki. Nie ochłonął jeszcze po spiekocie, której od świtu aż do zachodu słońca nie łagodziła żadna chmurka, i oczekiwał powrotu przyjaciela. Pływał dziś po Rzece z kilkoma kolegami, bo nie chciał Szczurowi przeszkadzać w dawno umówionej wizycie u Wydry, a kiedy powrócił, zastał dom pusty, ciemny i ani śladu Szczura, który najwidoczniej zasiedział się u starej przyjaciółki. Rozłożył się więc Kret na chłodnych liściach szczawiu i rozpamiętywał miniony dzień i jego wydarzenia, a wydarzenia te były przyjemne.

Lato

³¹*wrzeczadz* (daw., zwykle w lm) — urządzenie służące do zamykania bramy lub drzwi od wewnątrz; zazwyczaj rodzaj żelaznej sztaby lub drąga obracającego się na sworzniu przymocowanym do ościeżnicy albo ściany, którego drugi koniec mógł być umocowywany na drzwiach. [przypis edytorski]

³²*kordegarda* — wartownia, pomieszczenie dla strażników wojskowych. [przypis edytorski]

³³*żoldak* — daw.: żołnierz najemny pobierający żołd, czyli zapłatę za służbę wojskową (określenie neutralne); dziś: pogardl. o żołnierzu. [przypis edytorski]

³⁴*sztyldwach* (daw., z niem.) — żołnierz na warcie, wartownik. [przypis edytorski]

³⁵*halabarda* — dwuręczna broń na długim drzewcu, zakończonym trzema rodzajami broni: siekierą, szpi-kulcem i hakiem. [przypis edytorski]

³⁶*szafot* — drewniane podwyższenie, na którym wykonywano publiczne egzekucje skazanych na śmierć przez ścięcie. [przypis edytorski]

³⁷*mysikrólik* — mały ptaszek z rzędu wróblowych, o stosunkowo dużej głowie i czarnych oczach, mający upierzenie barwy szaro-żółtej z odrobiną białego, z charakterystycznym żółtym „beregikiem”. [przypis edytorski]

Po chwili usłyszał szelest spalonej trawy pod lekkimi krokami Szczura.

— Aa, jaki miły chłodek! — rzekł Szczur i siadł, patrząc w zamyśleniu na Rzekę; był milczący i zafrasowany.

— Zostałeś oczywiście na kolacji? — spytał Kret po chwili.

— Musiałem zostać — odparł Szczur. — Nawet słyszeć nie chcieli, abym wyszedł przed kolacją, wiesz jacy są gościnni. Starali się zabawić mnie wesoło, póki nie odszedłem. Ale wciąż miałem wrażenie, że popełniam niedelikatność, bo widziałem, jacy są zatroskani, choć starali się to ukryć przede mną. Kreciku, lękam się, że ich spotkało nieszczęście. Mały Grubasek znowu zaginął, a wiesz, jak matka go kocha, choć o tym nie mówi.

— Co, ten dzieciak? — powiedział Kret swobodnie. — Nie ma się czym przejmować, trochę się zawieruszył. Wciąż gdzieś łązi i ginie, i znów się odnajduje. Pasjami lubi przygody, a nigdy nie spotkało go nic złego. Znają go i lubią w całej okolicy, jak zresztą i starą Wydrę, możesz być pewien, że odnajdzie go jakieś zwierzę i przyprowadzi z powrotem w dobrym zdrowiu. Przecież i myśmy znaleźli go kiedyś o kilka mil od domu, był wesolutki i wcale nie stracił animuszu.

— Tak, ale tym razem sprawa przedstawia się gorzej — rzekł Szczur z powagą. — Nie ma go już od kilku dni, wydry przeszukały całą okolicę wzdłuż i wszerz i nie znalazły po nim żadnego śladu. Rozpytywały się wszystkich zwierząt na kilka mil wokoło, a nikt nic o nim nie wie. Wydra jest widocznie ogromnie niespokojna, choć się do tego nie przyznaje. Powiedziała mi, że mały Grubasek nie umie jeszcze dobrze pływać i domyśliłem się, że ma na myśli służę. Bardzo dużo wody spływa tam jeszcze mimo późnej pory roku, a malec był zawsze służą oczarowany. Poza tym są jeszcze pułapki, wnyki, wiesz przecież. Wydra nie denerwowałaby się na próżno, a jest zdenerwowana. Kiedy odchodziłem, wyszła ze mną i powiedziała, że chce zaczerpnąć trochę powietrza, rozprostować łapy. Ale dobrze wiedziałem, że nie o to jej chodzi. Wypytałem ją i wreszcie udało mi się wydobyć tajemnicę. Chce spędzić noc na straży przy brodzie. Wiesz, tam gdzie dawniej, w zamierzchłych czasach, był bród, zanim zbudowano most.

— Znam, znam ten bród — odparł Kret. — Ale dlaczego Wydra postanowiła stróżować akurat w tym miejscu?

— Widzisz, podobno obok brodu, na płytkim żwirowym cyplu przy brzegu, udzieliła Grubaskowi pierwszej lekcji pływania — wyjaśniał Szczur. — Tam także uczyła go łowić ryby, tam mały Grubasek złapał pierwszą rybę w życiu i bardzo się tym pysznił! Malec pokochał ten bród. Wydra ma nadzieję, że jeśli będzie wracał do domu z miejsca, gdzie się obecnie znajduje (o ile w ogóle biedaczek jeszcze jest na świecie), przyjdzie może do brodu, który tak lubił. Albo może sobie o nim przypomni, jeśli tamtędy będzie przechodził, zatrzyma się i zacznie się bawić. Więc Wydra chodzi tam co noc i czuwa, na wszelki wypadek, rozumiesz, na los szczęścia.

Zamilkli obydwaj, myśląc o tym samym — o samotnym, zrozpaczonym zwierzątku, które zaczajone przy brodzie, czuwa i czeka przez całą długą noc — na wszelki wypadek.

— Cóż — odezwał się Szczur po chwili — czas chyba pomyśleć o powrocie do domu. — Ale się nie ruszał.

— Szczurze — rzekł Kret. — Nie mogę wrócić ot, tak sobie do domu, iść spać i nic nie zrobić. Wątpię, abyśmy mogli być użyteczni, ale wyciągnijmy łódkę i popłynijmy w górę Rzeki. Za jakąś godzinę wszędzie księżyc i wtedy zaczniemy szukać Grubaska według sił i możliwości. Bądź co bądź, lepsze to niż iść spać i nic nie robić.

— I mnie przyszło do głowy to samo — powiedział Szczur. — W każdym razie taka noc nie nadaje się do spania. Świt już niedaleko, a może o świcie uda nam się zebrać jakieś wiadomości o Grubasku od zwierząt, które wcześniej wstają.

Wyciągnęli więc czółno i Szczur zaczął wiosłować z wielką ostrożnością. Na środku Rzeki widniał wąski, jasny szlak, w którym niebo odbijało się niewyraźnie. Lecz wszędzie tam, gdzie padał na wodę cień brzegu, krzaków czy drzew, ów cień nie różnił się niczym od Wybrzeża i Kret musiał sterować bardzo uważnie. Noc była ciemna i jakby wyludniona, a mimo to słyszało się wciąż ciche odgłosy, śpiewy, pogwarki i szmery, świadczące o istnieniu pracowitych istot, które nie śpią i krzątają się przez całą noc, pracując według swego powołania, póki nie wystrzelą pierwsze promienie słońca, zwalniające ich na

Noc

dobrze zasłużony spoczynek. Odgłosy wody były także wyraźniejsze niż we dnie: bulgotanie i pluski wydawały się bliższe i bardziej niespodziane. Co chwila któreś ze zwierzątek drgało, myśląc, że słyszy głos wzywający pomocy.

Linia horyzontu, zarysowana ostro na tle nieba, odcinała się w jednym miejscu niby czarna kresa na srebrzystej poświacie, która promieniowała coraz to wyżej, aż wreszcie księżyc wzniósł się powoli i majestatycznie nad skrajem wyczekującej ziemi, odczepił się od horyzontu i popłynął, niczym niepowstrzymany. Zwierzątka mogły znowu rozróżnić płaszczyzny rozległych łąk i ciche ogrody, i samą Rzekę odsłoniętą ufnie od brzegu do brzegu, odartą z tajemnic i grozy, promienną jak za dnia, a jednak inną. Znane zakątki witały ich w nowym stroju, jakby skryły się w cieniu, aby przywdziać niewinną szatę, i powróciły cicho, uśmiechnięte, oczekując nieśmiało, czy pozna je kto w tym przebraniu. Kret ze Szczurem wylądowali w tym milczącym, srebrnym królestwie, przymocowali łódkę do pnia wierzby i przeszukali dokładnie płoty, dziuple w drzewach, tunele i kanały, rowy i wyschłe łożyska, po czym wsiedli znowu do czółna, przepłynęli na drugą stronę i posuwali się pod prąd. Jasny księżyc na bezchmurnym niebie robił, co mógł — choć taki daleki — aby im ułatwić poszukiwania. Wybiła wreszcie jego godzina, opuścił się niechętnie ku ziemi, porzucił ich, a nad polami i Rzeką zapanowała znów tajemniczość.

Powoli coś się zaczęło odmieniać: widnokragę pojaśniał, pola i drzewa stały się bardziej wyraźne, nabrały innego wyglądu — pozbyły się tajemniczości. Jakiś ptak ćwierknął i umilkł, a lekki wietrzyk zerwał się, szeleszcząc wśród trzciny i sitowia. Szczur siedział przy sterze. Wtem wyprostował się i zaczął nasłuchiwać z wytężoną uwagą. Kret, który łagodnymi uderzeniami wiosel ledwie poruszał łódź i rozglądał się pilnie po wybrzeżu, spojrzął z ciekawością na Szczura.

— Rozwiał się! — westchnął Szczur, opadając na siedzenie. — A takie było piękne, dziwne i niepowседневne! Bodajbym nigdy nie był tego posłyszał, jeśli miało tak prędko się skończyć, gdyż rozbudziło we mnie tęsknotę, która jest bólem. Wszystko wydaje mi się bez wartości, pragnę tylko raz jeszcze usłyszeć ten dźwięk i słuchać go, słuchać wiecznie. Jest! Jest znowu! — wykrzyknął, nasłuchując pilnie. Oczarowany, jakby pogrążony w zachwyceniu, milczał długo.

— Teraz rozplywa się. Znowu nie mogę nic pochwycić — rzekł po chwili. — O Krecie, jakież to piękne! Jak wesoło brzmi zew dalekiej puszczalki, ledwie uchwytny, a jasny i radosny! Nigdy mi się nawet nie śniło o takiej muzyce. Zew w niej zawarty nęci mnie silniej nawet niż piękno melodii. Wiosłuj Krecie, wiosłuj żywo! Ta melodia jest przeznaczona nam, a wezwanie odnosi się do nas.

Zdumiony Kret wiosłował posłusznie.

— Ja nic nie słyszę — rzekł. — To tylko wiatr szumi wśród szuwarów, trzciny i wikliny.

Szczur nic nie odrzekł. Może nawet nie słyszał słów Kreta, był oczarowany, drżący, trwał jakby w zachwyceniu. Wszystkimi jego zmysłami ośladnęła nieznaną dotąd, nadziemską siłą, która pochwyciła jego bezbronną duszę, podrzucając ją i kołysząc. Miał uczucie, że jest słabym, lecz szczęśliwym dzieckiem w mocy silnych ramion.

Kret milczał i wciąż wiosłował. Niebawem dopłynęli do miejsca, gdzie od Rzeki oddzielała się z jednej strony długa łacha. Szczur, który już dawno wypuścił ster, wskazał nieznacznym ruchem łebka kierunek łachy. Blask świtania wciąż się wzmagał i zwierzątka rozróżniały już teraz kolor kwiatów zdobiących brzeg wody niby drogie kamienie.

— Teraz słyszę głos wyraźnie i blisko! — wykrzyknął Szczur z radością. — Chyba i ty już słyszysz! Ach, nareszcie! Widzę, że słyszysz!

Kret, jakby nagle przeobrażony, bez tchu, przestał wiosłować. Spłynęła na niego fala melodii o radosnym brzmieniu, uniosła go i opanowała całkowicie. Zobaczył łzy na policzkach przyjaciela i spuścił łebek w pełnym zrozumieniu.

Jakiś czas stali na miejscu, muskani przez liliowe smółki rosnące na brzegu łachy. Potem wyraźne, nakazujące wezwanie idące w parze z upojną melodią narzuciło Kretowi swą wołę: pochylał się znów machinalnie nad wiosłami. Światło dnia wzbierało na sile, lecz ptaki nie śpiewały jak zwykle o wschodzie słońca. Poza niebiańską muzyką nic nie mąciło osobliwej ciszy.

Gdy sunęli naprzód, bujna trawa łąk po obu stronach Rzeki wydała się im dziwnie żywa i zielona. Zwierzątka nie widziały nigdy tak świeżych róż, tak bujnych wierzbowek

Księżyc

Księżyc

Świt

Muzyka

Rzeka

i spirei³⁸ o tak silnym, tak przenikliwym zapachu. A potem szum śluzy zagłuszył wszystko i poczuli, że zbliżają się nieuchronnie do tajemniczego kresu swej wędrówki.

Wielka śluza obejmowała łachę od brzegu do brzegu lśniącym ramieniem zielonej wody i spienionym półkolem iskrzących się błysków, mąciła spokojną powierzchnię łachy wirami odmetów i ruchomymi płatami piany, zagłuszając wszystkie inne dźwięki poważnym, kojącym dudnieniem. Pośrodku koryta, w migotliwym uścisku śluzy, spoczywała wysepka, gęsto zarośnięta wierzbiną, srebrną brzozą i olchą. Skryta, zatajona, lecz świadoma swego doniosłego znaczenia wysepka osłaniała powierzona sobie tajemnicę, strzegąc jej zazdrośnie, aż wybije godzina, kiedy zjawia się powołani i wybrani.

Zwierzątka minęły skłębione wody wolno, lecz bez wątpliwości i wahań, jakby w uroczystym oczekiwaniu, i przymocowały łódkę u brzegu wysepki. Milcząc, węszyły drogę i brnęły przez kwiaty, rozkwitłe trawy i zarośla prowadzące na polankę, aż stanęły wreszcie na cudownie zielonej łące okolonej sadem, gdzie rosły dzikie jabłonie, czereśnie i ciernie.

— O, tu jest to miejsce! Stąd płynęła moja wysniona pieśń! — szepnął Szczur, jakby w zachwyceniu. — Tu, na tej świętej polance, tu z pewnością znajdziemy Jego.

Raptem ogarnął Kreta ogromny lęk. Ów lęk sprawił, że Kret poczuł dziwną słabość, pochylił lebek, a łapki jakby wrosły mu w ziemię. Nie był to żaden paniczny strach — Kret czuł się nawet dziwnie szczęśliwy i spokojny — lecz ów lęk był druzgocący. Choć Kret nic nie dostrzegał, zdawał sobie sprawę, że takie uczucie oznacza bliskość jakiejś niezemskiej istoty. Odwrócił się z trudem, szukając przyjaciela, i ujrzał obok siebie Szczura rozplaszczanego na ziemi i drżącego gwałtownie. Na otaczających drzewach, gdzie siedziała chmara ptaków, panowała wciąż niczym niezmacona cisza, a światło stało się coraz jaśniejsze.

Kret nie ośmieliłby się może podnieść oczu, gdyby nie to, że dźwięk piszczałki, choć przytłumiony, wzywał wciąż nieodparcie i nakazująco. Nie miał siły oprzeć się temu dźwiękowi, gdyby nawet musiał przypłacić życiem spojrzenie doczesnymi oczyma na rzeczy nadprzyrodzone. Usłuchał więc, drżąc, i podniósł pokornie lebek. Wówczas w blasku zupełnie już wyraźnego świtania, gdy przyroda obsypana bogactwem fantastycznych barw zdawała się powstrzymywać dech w oczekiwaniu na to, co miało nastąpić, spojrzął w same oczy Przyjaciela i Dobroczyńcy. Zobaczył zagięte w tył różki, błyszczące przy coraz to wyraźniejszym świetle dnia; ujrzał zakrzywiony nos między dobrodusznymi oczyma, co spoglądały żartobliwie na zwierzątka, i podnoszące się w półuśmiechu kąciki ust wśród zarostu; widział ruchliwe mięśnie ramienia, które spoczywało na szerokiej piersi; długą giętką dłoń trzymającą jeszcze piszczałkę tylko co odjętą od półotwartych ust; zobaczył wspaniały zarys włochatej postaci rozłożonej z majestatyczną swobodą na murawie; zobaczył wreszcie małego, okrągłego tłuszciocha, malca-wydrę, wtulonego między kopyta półboga i śpiącego głęboko z zupełnym spokojem i zadowoleniem. Wszystko to Kret ogarnął wzrokiem na tle porannego nieba, przez krótką, niewymowną chwilę, która mu zaparła w piersiach dech; a patrząc, czuł, że żyje, a czując, że żyje, zdumiewał się.

— Szczurze! — wyjąkał wreszcie zdyszonym szeptem, drżąc cały. — Czy ty się boisz?

— Czy ja się boję? — mruknął Szczur, a oczy miał przepelnione bezbrzeżną miłością. — Bać się? Jego? Nigdy, przenigdy! A jednak, Krecie, boję się!

Po czym obydwie zwierzątka przypadły do ziemi i pochyliły łebki, oddając cześć bożkowi.

Wspaniała, kulista, złota tarcza słońca ukazała się nagle na nieboskłonie. Pierwsze słoneczne promienie strzeliły przez łąki zalane wodą i uderzyły wprost w oczy obu przyjaciół, oślepiając ich. Kiedy spojrzeli znów, wizja znikła, a powietrze wypełniał śpiew ptaków witających świt.

Zwierzątka rozglądały się nieprzytomnie w milczącej rozpaczy, która wzmagała się, w miarę jak sobie uświadamiały powoli wszystko, co było im dane ujrzeć i co już utraciły. Wtem kapryśny wietrzyk podniósł się lekko znad powierzchni wody, zakolysał osikami, otrząsnął rosę z róż i delikatnie, pieśczośliwie musnął pyszczki zwierzątek, a wraz z jego łagodnym dotknięciem przyszło natychmiastowe zapomnienie. Gdyż niepamięć to ostatni i najcenniejszy dar, jakim dobrotliwy półbóg obdarza tych, którym się objawił. On sobie

³⁸*spirea* — inaczej: tawuła; krzew ozdobny, należący do rodziny różowatych; drobne kwiaty kształtują duże grona; spirea może kwitnąć na czerwono, różowo, żółto i biało. [przypis edytorski]

nie życzy, aby wzrastająca groza wspomnień tłumila radość i wesele, aby te wspomnienia przesładowały małe zwierzątka, którym dopomógł w potrzebie, aby zaciążyły nad całym dalszym ich życiem. On pragnie zapewnić im szczęśliwą i beztruską przyszłość.

Kret przetarł oczy i spojrzął na Szczura, który rozglądał się wokoło ze zdumieniem.

— Przepraszam cię, coś mówiłeś, Szczurku? — spytał.

— Jak mi się zdaje — rzekł wolno Szczur — mówiłem tylko, iż to jest właśnie miejsce, gdzie moglibyśmy odnaleźć Grubaska. Ależ spójrz, spójrz tylko, Kreciku, to on, to mały Grubasek! — I z radosnym okrzykiem skoczył do wyderki.

Lecz Kret stał przez chwilę w miejscu, zatopiony w myślach, jak ktoś zbudzony nagle z pięknego snu, ktoś, kto męczy się, aby ów sen wskrziesić w pamięci i nie może sobie nic przypomnieć poza nieokreślonym wrażeniem niewymownego piękna! Wreszcie i to wrażenie niknie, a marzyciel przyjmuje z goryczą twardą, zimną rzeczywistość i wszystkie jej ciężary. Kret po krótkiej walce ze swą pamięcią potrząsnął smutnie łebkiem i podążył za Szczurem.

Grubasek zbudził się, piszcząc wesoło i łaszcząc się radośnie na widok przyjaciół matki, którzy dawniej często się z nim bawili. Wkrótce jednak wyraz zadowolenia znikł z pyszczka malca, zaczął on biegać w kółko, skomląc błagalnie. Dziecko, które zasnęło spokojnie w ramionach niani, a zbudziło się porzucone w obcym miejscu, szuka po wszystkich kątach i szafach, biega z pokoju do pokoju, a w jego sercu wzbiera cicha rozpacz. Tak samo Grubasek przeszukiwał całą wysepkę, węszył uparcie i niezmordowanie, aż wreszcie nadeszła okropna chwila, kiedy dał za wygraną — usiadł i gorzko zapłakał.

Kret podbiegł szybko, aby pocieszyć maleństwo, lecz Szczur ociągał się, patrzył długo z niepewnością na głębokie ślady kopyt widniejące na murawie.

— Tu... było... jakieś... wielkie... zwierzę — szepnął wolno i z rozwągą. Stał długo i myślał, myślał, dziwnie poruszony.

— Chodźże, Szczurku! — zawołał Kret. — Pamiętaj, że biedna Wydra czeka przy brodzie.

Grubasek pocieszył się szybko na myśl o milej przejażdżce po Rzece prawdziwym czółnem pana Szczura. Obaj przyjaciele zaprowadzili malca na brzeg, posadzili go między sobą w bezpiecznym miejscu na dnie łodzi i popłynęli w dół łachy.

Słońce było już teraz wysoko i mocno przygrzewało, ptaki śpiewały namiętnie i żywo, a kwiaty rosnące na obu brzegach uśmiechały się i kiwały do nich, ale barwy ich jakby przygasły — tak się przynajmniej zwierzątkom zdawało — nie jaśniały takim bogactwem kolorów jak kiedyś... niedawno... gdzieś... ale gdzie?

Gdy dotarli do głównego koryta Rzeki, skierowali łódź pod prąd, płynąc do miejsca, w którym, jak wiedzieli, ich przyjaciółka Wydra leżała samotnie na czatach. Kiedy podpływali ku dobrze sobie znanemu brodowi, Kret przybił do brzegu. Wysadzili na łódź małego Grubaska, postawili go obok ścieżki wydeptanej przez holowników, kazali mu iść wprost przed siebie, poklepowali go przyjaźnie po plecach, i odbili ku środkowi Rzeki. Śledzili zwierzątko, które toczyło się po ścieżce, dumne i zadowolone, czuwali nad nim aż do chwili, kiedy Grubasek podniósł nagle mordkę i zaczął niezgrabnie kłusować, łaszcząc się i przeraźliwym skomleniem dając znać, że kogoś poznaje. W górze Rzeki spostrzegli Wydrę, która wyglądała z trawy sprężona i czujna, warując w milczącej cierpliwości, i usłyszeli jej zdumione, radosne poszczekiwanie, gdy jednym susem skoczyła ponad wikliną na ścieżkę. Kret silnym pociągnięciem wiosła zawrócił łódź i nurt poniósł ich w dół Rzeki po szczęśliwie zakończonych poszukiwaniach.

— Czuję się dziwnie znużony, Szczurze — rzekł Kret, pochylając się nad wiosłami, gdy prąd unosił czółno. — Powiesz może, że to skutek nieprzespanej nocy, ale co to dla nas znaczy! O tej porze roku zdarza nam się nie spać przez trzy noce na tydzień. Nie, mam wrażenie, że przeżyłem coś bardzo ciekawego, a zarazem groźnego i to coś w jednej chwili minęło. Przecież nie stało się nic nadzwyczajnego.

— Może jednak zaszło coś, co było zdumiewające i piękne, i wspaniałe — szepnął Szczur, rozpierając się na siedzeniu i przymykając oczy. — Mam to samo uczucie co ty, Krecie: jestem śmiertelnie zmęczony, ale to nie jest zmęczenie fizyczne. Na szczęście płyniemy z prądem, który niesie nas do domu. Jak to przyjemnie czuć znowu słońce przenikające aż do kości i słyszeć jak wiatr gra na trzcinach.

— Wiatr przypomina muzykę brzmiącą gdzieś w oddali — powiedział Kret, kiwając sennie łebkiem.

Muzyka

— Ja to samo myślałem — szepnął Szczur, rozmarzony i wyczerpany. — Muzykę taneczną, pełną rytmu, która płynie nieprzerwanie, ale są tam i słowa. Te słowa pojawiają się i nikną, rozróżniam je czasami, a potem słyszę znów muzykę taneczną, a potem już nic, tylko cichy, łagodny szept trzciny.

— Słyszysz więcej ode mnie — powiedział Kret ze smutkiem. — Ja nie umiem pochwycić słów.

— Spróbuję ci je powtórzyć — rzekł cicho Szczur, który wciąż miał oczy zamknięte. — Słyszę słowa ciche, lecz wyraźne:

Śpiew

Niech was nie nęka strach,
Co zmienia radość w żal.
Błyszcz potęgą w potrzeby godzinie,
Lecz pamięć o niej przeminie!

Trzciny powtarzają z westchnieniem: „przeminie, przeminie”. Słowa giną w szumie i szepcie. A teraz słyszę głos:

By was omijał ból i rany
Odplątuję wnyki³⁹, rozluźniam kajdany.
Widzicie mnie przez okamgnienie
I dam wam znów zapomnienie!

— Bliżej ku trzcinom, Krecie! Kieruj łódkę bliżej! Trudno mi chwycić te słowa, coraz są cichsze.

Nakarmię, pragnienie ugaszę
Zbłąkanych dzieciątek waszych,
Wskażę wam w lesie drózkę
I złożę strzaskaną nóżkę.
Jak błyskawica minie objawienie
I przyjdzie znów zapomnienie!

— Bliżej, Krecie, bliżej! Nie, nic z tego. Gawędy trzciny zagłuszyły pieśń.

— Ale co znaczą te słowa? — spytał zdumiony Kret.

— A bo ja wiem? — odparł Szczur z prostotą. — Powtarzałem ci je, w miarę jak mnie dochodziły. O! Chwytam je znowu, tym razem jasno, wyraźnie! Nareszcie posłyszemy prawdę. Prawdę niezawodną, prostą, doskonałą!

— A więc wygłoś tę prawdę — rzekł Kret, przysypiając w gorącym słońcu po kilku minutach ciepłego oczekiwania.

Ale nie otrzymał odpowiedzi. Spojrzał i zrozumiał powód milczenia. Znużony Szczur spał mocno z uśmiechem szczęścia na pyszczku. Wyglądał, jakby wciąż jeszcze był zasłuchany.

ROZDZIAŁ VIII. PRZYGODY ROPUCHA

Gdy Ropuch znalazł się w wilgotnym, zatęchłym lochu i uświadomił sobie, że ponura ciemność średniowiecznej twierdzy oddziela go od zewnętrznego świata, od słońca i gładko asfaltowanych szos, gdzie ostatnimi czasy było mu tak dobrze i gdzie się tak zachowywał, jakby wszystkie drogi Anglii należały wyłącznie do niego, rzucił się na ziemię, roniąc gorzkie łzy, i pograżył się w czarnej rozpacz.

Więzi

„To koniec wszystkiego — mówił sobie — a w każdym razie koniec kariery Ropucha, co na jedno wychodzi. Koniec przystojnego Ropucha, tak ogólnie lubianego, bogatego, gościnnego Ropucha, lekkomyślnego, dobrodusznego Ropucha! Czyż jest nadzieja, że mnie stąd kiedykolwiek wypuszczą — mówił sobie — mnie, którego słusznie uwięziono

³⁹wyky — pułapka w formie pętli ze sznura lub drutu, zastawiana na zwierzęta w lasach. [przypis edytorski]

za bezczelną kradzież wartościowego samochodu i za dosadne, wymyślne obelgi ciskane na tłustych policjantów o rumianych policzkach! (tu zaniósł się łkaniem). Jaki ja byłem głupi — mówił sobie — muszę teraz gnść w tym więzieniu, aż wreszcie zwierzęta, co chlubiły się, że mnie znają, zapomną nawet imienia Ropucha! O, mądry, stary Borsuku! — mówił sobie. — O, rozumny, inteligentny Szczurze i rozsądny Krecie! Jakże słuszne są wasze zapatrywania, jaką głęboką macie znajomość ludzi i rzeczy! O nieszczęsny, opuszczony Ropuchu!”

Na podobnych narzekaniach spędzał przez kilka tygodni dnie i noce, odmawiał przyjmowania posiłków, nie chciał nawet nic przekąsić, chociaż sędziwy i ponury dozorca, wiedząc, że Ropuch ma dobrze wypchane kieszenie, napomykał często o wielu udogodnieniach, a nawet o luksusowych artykułach, które można kazać sobie przysłać spoza więzienia za dobre pieniądze.

Ów dozorca miał córkę, ładną dziewczynkę o miękkim sercu. Pomagała ona ojcu w wypełnianiu lżejszych obowiązków i ogromnie lubiła zwierzęta. Chowiała kilka srokatych myszy i ruchliwą wiewiórkę biegającą wciąż w kółko, a prócz tego kanarka, którego klatka wisiała w dzień na gwoździu wbitym w masywny więzienny mur — ku wielkiemu niezadowoleniu więźniów uprawiających poobiednią drzemkę — a w nocy, okryta zasłoną, stała na stole w saloniku. Dobra ta dziewczuszka, litując się nad nieszczęsnym Ropuchem, odezwała się pewnego dnia do ojca:

— Ojcze! Nie mogę znieść widoku tego biednego, nieszczęśliwego zwierzątka; chudnie zastrasza. Pozwól mi się nim zaopiekować, wiesz, jak lubię zwierzęta. Nauczę go jeść z ręki i służyć, i różnych innych rzeczy.

Dozorca powiedział córce, że może sobie robić z Ropuchem, co jej się tylko podoba. Znudził mu się ten więzień, dumny, skąpy i wiecznie nadąsany. Więc dziewczyna tego samego dnia postanowiła rozpocząć dzieło miłosierdzia i zastukała do celi Ropucha.

— Pociesz się, Ropuchu — rzekła pieszczotliwym tonem, wchodząc. — Siądź prosto, otrzyj oczy i bądź rozsądny, spróbuj zjeść cośkolwiek. Spójrz, przyniosłam ci część mojego własnego obiadu, prosto z kuchni!

Był to w samej rzeczy smakołyk nie lada: znakomity zapach z talerza przykrytego drugim rozchodził się po ciasnej celce. Ropuch pogrążony w smutku leżał rozciągnięty na podłodze. Przenikliwa woń kapusty doszła do jego nozdrzy i podsunęła mu przelotną myśl, że życie może nie jest tak rozpaczliwe i puste, jak mu się zdawało. Jednak w dalszym ciągu jęczał, kopał nogami i nie dawał się pocieszyć. Mądra dziewczyna wyszła, ale — jak to zwykle bywa — pozostał zapach kapusty i Ropuch w przerwach między łkaniami wdychał ten zapach i rozważał, i stopniowo przychodziły mu do łebka myśli nowe, natchnione: o rycerskości i poezji, i czynach, których można dokonać; o rozległych łąkach i pasących się w słońcu stadach krów smaganych wiatrem, o warzywnych ogrodach, o równych rabatkach porośniętych ziołami, o rozgrzanych nagietkach nawiedzanych przez liczne pszczoły i o miłym szczerku półmisków stawianych na stole w Ropuszym Dworze, i o szuraniu krzeselkami, gdy wszyscy goście zasiadali do stołu. Powietrze w małej celce nabrało różowego odcienia. Ropuch zaczął myśleć o swych przyjaciółach, którzy na pewno potrafią coś dla niego zrobić, o adwokatach, co niewątpliwie zapaliliby się do jego sprawy, i o tym co z niego za osioł, że nie wziął sobie choć paru obrońców, a wreszcie pomyślał o swej wielkiej mądrości i pomysłowości i o wszystkim, czego mógłby dokonać, gdyby tylko zechciał wysilić swój potężny umysł.

Gdy córka dozorczy wróciła po paru godzinach, niosła na tacy filiżankę aromatycznej herbaty, z której unosiła się para, i talerz gorących, grubo pokrajanych grzanek, ładnie z obu stron przyrumienionych. Masło kapało z nich wielkimi złotymi kroplami niby miód z plastra. Zapach tych grzanek przemówił do Ropucha i to gromkim głosem: opowiadał o ciepłych kuchniach, o śniadaniach w pogodne, mroźne ranki, o przytulnych kominkach w zimowe wieczory, gdy po skończonym spacerze opiera się o kratę nogi obute w pantofle, o mruczeniu sytych kotów i świergotcie sennych kanarków. Wreszcie Ropuch podniósł się, usiadł, otarł oczy, wypił herbatę i zjadł grzanki, a niebawem zaczął rozwodzić się szeroko nad sobą, swymi zajęciami i swym domem, nad tym, jaką był ważną osobistością i jak wysoko cenili go przyjaciele.

Jedzenie

Córka dozorczy zauważyła, że ów temat równie dobrze mu robi jak herbata i zachęcała go, aby mówił dalej.

— Opowiedz mi o Ropuszym Dworze — poprosiła. — Wydaje mi się, że musi być ładny.

— Ropuszy Dwór — powiedział dumnie Ropuch — jest to wspaniała pańska rezydencja, wprost nieporównana. Niektóre jej części pochodzą z czternastego wieku, lecz ma wszelkie nowoczesne urządzenia: wodociągi, kanalizację. Leży o pięć minut drogi od kościoła, poczty i pól golfowych i jest zupełnie odpowiednia...

— A niechże cię, Ropuchu! — roześmiała się dziewczynka. — Przecież ja nie chcę tego domu wynająć! Powiedz mi, jaki jest naprawdę. Ale poczekaj, przyniosę ci jeszcze trochę grzanek i herbaty.

Wyszła i po chwili wróciła z pełną tacą. Ropuch rzucił się łapczywie na grzanki, a odyskawszy swój zwykły humor, opowiedział dziewczynce o szopie na łódki, o stawie z rybami, o starym warzywnym ogrodzie otoczonym murem, o chlewach, stajniach, gołębniku i kurnikach; o mleczarni, pralni, prasowni (to się dziewczynce szczególnie spodobało), o komnacie jadalnej i o tym, jak się tam dobrze bawiono, gdy zwierzęta zasiadały wkoło stołu, a Ropuch w wesołym nastroju śpiewał piosenki, opowiadał anegdoty i wszystkim przewodził.

A potem dziewczynka wypytywała o przyjaciół Ropucha, słuchając z wielkim zainteresowaniem, o tym, jak żyją i czym się zajmują. Oczywiście, ani wspomniała o swym umiłowaniu zwierząt, była dość sprytna, aby rozumieć, że Ropuch czułby się tym bardzo dotknięty. Gdy mu życzyła dobrej nocy, napełniwszy przedtem dzbanek wodą i porządnie ułożywszy słomę, Ropuch był z siebie zadowolony prawie tak jak dawniej. Zanucił parę piosenek, które śpiewał u siebie na prozonych obiadach, skulił się na słomie i doskonale spędził noc, śniąc najprzyjemniejsze sny.

Ropuch i córka dozorczy prowadzili potem nieraz interesujące rozmowy i tak mijały ponure dni. Dziewczynka serdecznie współczuła Ropuchowi. Uważała, że to wstyd zamknąć biedne zwierzątko w więzieniu za drobne — jak jej się zdawało — przewinienie. Ropuch w swojej zarożumiałości wyobrażał sobie oczywiście, że troskliwość dziewczynki zawdzięcza jej wzrastającemu uczuciu do niego. Żałował nawet, że dzieli ich taka przepaść społeczna, gdyż dziewczynka była ładna i najwidoczniej bardzo go podziwiała.

Pewnego ranka córka dozorczy przyszła bardzo zamyślona. Odpowiadała na chybił trafił, a Ropuch zauważył, że nie zwraca należytej uwagi na jego dowcipy i błyskotliwe komentarze.

— Ropuchu — odezwała się po chwili — posłuchaj, proszę cię. Mam ciotkę, która jest praczką.

— No, no — odparł uprzejmie i laskawie Ropuch — nic sobie z tego nie rób. Nie martw się. Ja mam kilka ciotek, dla których najodpowiedniejszym zajęciem byłoby pranie.

— Zamilknij choć na chwilę, Ropuchu — powiedziało dziewczątko. — Za dużo mówisz, to twoja główna wada. Ja coś obmyślam, a ty zawracasz mi głowę. Powiedziałam ci już, że mam ciotkę praczkę. Pierze bieliznę wszystkich więźniów w tej twierdzy. Staramy się wszelkie tego rodzaju zarobki zatrzymać w rodzinie, rozumiesz przecież. Ciotka zabiera bieliznę w poniedziałki rano, a odnosi ją w piątki wieczorem. Dziś mamy czwartek. Otóż przyszła mi do głowy pewna myśl: jesteś bardzo bogaty, przynajmniej wciąż mnie o tym zapewniasz, a ona jest bardzo biedna. Kilka funtów⁴⁰ nie sprawi ci różnicy, a dla niej to bardzo wiele. Przypuszczam, że gdyby się do niej mądrze zabrać, o ile się nie mylę, to wy, zwierzęta, użyłybyście w tym wypadku słowa „osaczyć ją”, mógłbyś dojść z nią do porozumienia. Użyczyłaby ci swojej sukni, czepka i tak dalej, i mógłbyś wydostać się z tej twierdzy w charakterze urzędowej praczki. Jesteś do ciotki bardzo podobny, zwłaszcza z figury.

— To nieprawda! — rzekł popędliwie Ropuch. — Jestem niezmiernie wysmukły, jak na żabę!

Ucieczka, Przebranie

⁴⁰funt (szterling) — jednostka monetarna Wielkiej Brytanii; dawniej funt dzielił się na 20 szylingów po 12 pensów każdy. [przypis edytorski]

— I moja ciotka ma bardzo dobrą figurę, jak na praczkę — odrzekła dziewczynka. — Ale niech tam! Rób sobie, co chcesz, ty wstrętne, pyszne, niewdzięczne zwierzę! Litowałam się nad tobą, chciałam ci dopomóc...

— Dobrze już, dobrze. Bardzo ci dziękuję — powiedział spiesźnie Ropuch. — Ale nie przypuszczasz chyba, aby pan Ropuch z Ropuszego Dworu mógł chodzić po świecie w przebraniu praczki!

— Niech więc pan Ropuch zostanie w więzieniu! — zawołała energicznie dziewczynka. — Chciałbyś pewnie wyjechać stąd karetą w czwórkę koni!

Zacny Ropuch był zawsze gotów uznać swoją winę.

— Jesteś dobrą i mądrą dziewczyną — przyznał — a ja jestem nadętą i głupią żabą. Przedstaw mnie łaskawie swojej szanownej ciotce, a nie wątpię, iż ta poczciwa dama dojdzie ze mną do porozumienia ku obopólnemu zadowoleniu.

Następnego wieczoru córka dozorczy wprowadziła do celi Ropucha swoją ciotkę, która odniosła jego czystą bieliznę zawiniętą w ręcznik. Staruszka została już zawczasu przygotowana do tego spotkania, a widok kilku sztuk złota wyłożonych przez Ropucha na stół, uzupełnił przygotowanie, tak że niewiele pozostało do omówienia. Ropuch otrzymał w zamian za swoje pieniądze perkalową⁴¹ suknię w rzucik, fartuch, chustkę i czarny, mocno wyrudziały czepek. Staruszka postawiła tylko warunek, aby ją związano i rzucono w kąt z zakneblowanymi ustami. Za pomocą tego niezbyt przekonywującego wybiegu, popartego barwną opowieścią, o którą już się sama miała postarać, spodziewała się utrzymać się na posadzie mimo podejrzanych okoliczności.

Pomysł jej zachwycił Ropucha: dzięki niemu będzie mógł opuścić więzienie w sposób niepozobawiony godności, zachowa opinię zwierzęcia niebezpiecznego, które się przed niczym nie cofa. Z całą więc gotowością pomógł córce dozorczy doprowadzić ciotkę do stanu, w którym wyglądała na bezsilną ofiarę przemocy.

— A teraz twoja kolej, Ropuchu — odezwała się dziewczynka. — Zdejmij marynarkę i kamizelkę, i bez tego dostateczny z ciebie grubas.

Trzęsąc się ze śmiechu, zapięła na nim suknię, ułożyła chustkę w odpowiednie fałdy i zawiązała mu pod brodą wstążki wyrudziałego czepek.

— Wypisz wymaluj, moja ciotka! — zachichotała. — Jestem przekonana, że nigdy w życiu nie wyglądałaś tak zacnie i dostojnie. A teraz żegnaj, Ropuchu, szczęśliwej drogi! Idź prosto tym samym szlakiem, którym tu przyszedłeś, a jeśli kto do ciebie zagada, co jest prawdopodobne, bo przecież spotkasz samych mężczyzn — zbywaj wszystkich żartami, ale pamiętaj, że jesteś kobietą, i to wdową, samotną na świecie, i że możesz narazić na szwank swoją opinię.

Ropuch — z bijącym sercem, lecz krokiem tak pewnym, na jaki go tylko było stać — wyruszył ostrożnie na ową ryzykowną wyprawę. Przekonał się jednak niebawem z ulgą, że wszystko idzie jak z płatka. Czuł się tylko nieco upokorzony myślą, iż popularność, jaką się najwidoczniej cieszył, i pleć, która się do tej popularności przyczyniała, były własnością innej osoby. Przysadkowata postać praczki, odziana w dobrze znaną suknię w rzucik, służyła za paszport przy wszystkich zaryglowanych drzwiach, u każdej z ponurych bram, a nawet jeśli Ropuch wahał się, niepewny, w którą stronę zawrócić, wyjście z owej trudnej sytuacji wskazywał mu strażnik przy następnej bramie, wzywając go, aby szedł śpiesznie i nie przetrzymywał dozorców przez całą noc na warcie. Największe niebezpieczeństwo tkwiło w przekomarzaniu się i wesołych żartach, na które musiał znajdować szybką i ciętą odpowiedź. Ropuch miał wysokie poczucie własnej godności, a przekomarzanie się było przeważnie (tak przynajmniej uważał) ordynarne i w lichym gatunku, żartom zaś brakło dowcipu. Potrafił jednak, choć z trudem, opanować się, a odpowiedzi stosował do poziomu swych rozmówców i postaci, pod jaką występował, robił przy tym, co mógł, aby nie przekraczać granicy dobrego smaku.

Czas dłużył mu się niesłychanie, lecz wreszcie minął ostatni podwórzec, odrzuciwszy natarczywe zaprosiny do ostatniej strażnicy, i umknął przed wyciągniętymi ramionami ostatniego wartownika, który błagał go z żartobliwą namiętnością o pożegnalny uścisk. Usłyszał wreszcie szcęk zamkniętych za sobą wrzeczadźców przy wielkiej zewnętrznej bra-

⁴¹perkalową — wykonany z perkalu, cienkiego bawełnianego płótna. [przypis edytorski]

mie, poczuł na swym skołatanym czole świeży powiew zewnętrznego świata i uświadomił sobie, że jest wolny!

Olśniony łatwością, z jaką udało mu się dokonać śmiałego czynu, dążył szybko ku oświetlonemu miastu, nie mając pojęcia, co dalej począć, wiedział jedynie z całą pewnością, że musi jak najprędzej ulotnić się z okolicy, gdzie dama, którą musiał uosabiać, była postacią tak znaną i popularną.

Gdy dążył naprzód, namyślając się, co robić, uwagę jego zwróciły czerwone i zielone światła, błyszczące w pobliżu, nieco w bok od miasta, a uszu jego doszło dyszenie i sapanie lokomotywy oraz łoskot wagonów.

„Ach! — pomyślał sobie — mam szczęście! Dworzec kolejowy to dla mnie w tej chwili rzecz najkorzystniejsza z wszystkich, a co ważniejsze — nie potrzebuję przechodzić przez miasto, aby do niego dojść, nie potrzebuję odgrywać dalej tej upokarzającej roli i odpowiadać na zaczepki dowcipami, które choć bardzo udatne, nie licują z moim poczuciem godności osobistej!”

Udał się więc na dworzec, przejrzał rozkład jazdy i dowiedział się, iż za pół godziny wyrusza pociąg idący mniej więcej w kierunku jego domu.

„Mam szczęście” — powtórzył Ropuch w coraz lepszym humorze i poszedł do kasy kupić bilet.

Wymienił nazwę stacji położonej najbliższej wsi, nad którą królował Ropuszy Dwór, i w poszukiwaniu pieniędzy sięgnął machinalnie łapką do miejsca, gdzie powinna znajdować się kieszonka od kamizelki. Lecz tu wmieszała się perkalowa suknia, która dotychczas dzielnie go broniła, a o której nikczemnie zapomniał, i udaremniła jego wysiłki. Jak w koszmarze, walczył z dziwnym, niesamowitym strojem, który zdawał się trzymać go za łapki, obracał wniwecz wszystkie usiłowania i, rzekłbyś, kpil z niego. Podróżni stojący w ogonku za Ropuchem czekali niecierpliwie, udzielając mu rad mniej lub bardziej skutecznych albo robiąc uwagi bardziej lub mniej uszczypliwe i stosowne. Wreszcie, jakimś sposobem — Ropuch nigdy nie zrozumiał dobrze jakim — przedarł się do miejsca gdzie od wieków znajdują się wszelkie kieszonki od kamizelek i... nie znalazł nie tylko pieniędzy, ale ani kieszeni, ani kamizelki, w której mogłaby się kieszeń znajdować!

Przypomniał sobie z przerażeniem, że zostawił w celi marynarkę i kamizelkę, a wraz z nimi notes, pieniądze, klucze, zegarek, zapalki, ołówek, jednym słowem wszystko, co sprawia, że warto żyć na świecie, wszystko, czym różni się zwierzę o licznych kieszeniach, pan stworzenia, od niższych, bezkieszeniowych lub jednokieszeniowych istot, które skaczą czy spacerują lekkim krokiem, niewyposażone właściwie do prawdziwej walki.

W tym nieszczęściu, chcąc zapanować nad położeniem i znaleźć wyjście z sytuacji, zdobył się na rozpaczliwy wysiłek; przybrał dawny wielkopański ton i powiedział:

— Mój panie, widzę, że zapomniałem portmonetki Proszę mi wydać bilet, a jutro odeślę panu pieniądze. Wszyscy mnie tu znają.

Urzędnik spojrział ze zdumieniem na Ropucha, na jego wyrudziały czepek i roześmiał się.

— Spodziewam się, że muszą panią dobrze znać — odparł — jeśli pani często próbuje podobnych sztuczek. Proszę odejść od okienka, zajmuje pani miejsce innym.

Starszy jegomość, który już jakiś czas szturchał Ropucha w plecy, odsunął go, a co gorsza, nazwał go „moją dobrą kobietą”. Rozzłościło to Ropucha najbardziej ze wszystkiego, co zdarzyło się tego wieczoru.

Rozgoryczony i zrozpaczony, szedł wzdłuż toru, na którym stał pociąg, a lzy spływały mu po obu stronach nosa. Myślał sobie, jak to ciężko widzieć przed sobą bezpieczeństwo, widzieć niemal dom, i być tego pozbawionym z powodu braku kilku marnych szylingów⁴² i drobnostkowej podejrzliwości płatnego urzędnika. Wkrótce wykryją jego ucieczkę, rozpoczną się pogoń, pochwycają go, zelżą, okują w łańcuchy, zawleką z powrotem do więzienia, gdzie czeka go chleb, woda i słoma; podwoją strażę, zwiększą mu karę; a jakie ironiczne uwagi będzie robiła córka dozorca! Co począć? Nie był szybki w łapkach, przy tym można go było łatwo poznać po figurze. Czy nie udałoby mu się wcisnąć pod ławkę w wagonie? Widział uczniów, którzy używali tego sposobu, obróciwszy uprzednio

⁴²szyling — dawna angielska jednostka monetarna. Szyling był równy 1/20 funta i dzielił się na 12 pensów. [przypis edytorski]

na inne, wyższe cele pieniądze dane im na drogę przez troskliwych rodziców. Tak rozmyślając, stanął przed parowozem. Oliwił go właśnie, wycierał i pieścił maszynista, krzepki mężczyzna, trzymający w jednym ręku oliwiarkę, a w drugim pęk pakul.

— Co wam się stało, matko? — spytał maszynista. — Jakie was spotkało nieszczęście? Niezbyt wesoło wyglądacie.

— O panie! — rzekł Ropuch, wybuchając znów płaczem. — Jestem biedną, nieszczęśliwą praczką, zgubiłam pieniądze i nie mogę zapłacić za bilet, a muszę znaleźć sposób, aby wrócić na noc do domu. Nie wiem, co mam począć. O Boże, mój Boże!

— To rzeczywiście niemiła historia — powiedział maszynista i zamyślił się. — Zgubiliście pieniądze i nie możecie dostać się do domu, a pewnie macie dzieci, co na was czekają?

— Mam całe mnóstwo dzieci — zaszlochał Ropuch. — Są głodne... i bawią się zapalkami... i wywracają lampy... i kłócą się, i lichy wie, co wyrabiają. O, mój Boże! mój Boże!

— Więc powiem wam, co zrobimy — rzekł zacny maszynista. — Mówicie, że jesteście praczką z zawodu; to doskonale. A ja, jak widzicie, jestem maszynistą; jasne jak słońce, że mam okropnie brudną robotę, człowiek nie może nastarczyć koszul. Oj tak! Moja żona rąk nie czuje od ciągłego prania. Jeśli po powrocie do domu wypierzecie kilka moich koszul i odeślcie mi je, zabiorę was do parowozu. Właściwie nie wolno nam robić takich rzeczy, ale nie bardzo na to zważają w naszym zapadłym kącie.

Rozpacz Ropucha zmieniła się w zachwyt, gdy wdrapywał się skwapliwie do budki maszynisty. Oczywiście, nigdy w życiu nie wyprał żadnej koszuli i nie potrafiłby tego zrobić, choćby nawet chciał, a w każdym razie nie miał zamiaru niczego prac, ale pomyślał sobie:

— Kiedy już dostanę się do Ropuszego Dworu i będę miał znów pieniądze i kieszenie, w których je można chować, pošlę maszyniście sporo grosza, aby mógł zapłacić za wielkie pranie. To przecież wszystko jedno, a może nawet lepiej na tym wyjdzie.

Konduktor machnął chorągiewką, maszynista zagwizdał wesoło w odpowiedzi i pociąg wyruszył ze stacji. W miarę jak wzrastała szybkość, i Ropuch widział z obu stron prawdziwe pola i drzewa, i płoty, i krowy, i konie, które przesuwały się przed oczami, i kiedy sobie pomyślał, że z każdą minutą zbliża się do Ropuszego Dworu i miłych przyjaciół, do brzęczącej monety w kieszeniach, do miękkiego łóżka, dobrego jedzenia i pochwał, i podziwu dla jego niezwyklej mądrości i jego przygód, zaczął skakać z radości i krzyczeć, i śpiewać urywki piosenek, ku wielkiemu zdumieniu maszynisty. Zacny ten człowiek od czasu do czasu — co prawda rzadko — widywał praczkę, ale nigdy nie spotkał praczkę choć trochę podobnej do babiny, którą wiozł.

Ujechali wiele mil i Ropuch zaczął się zastanawiać, co będzie jadł na kolację po powrocie do domu, gdy zauważył, że maszynista ze zdziwionym wyrazem twarzy wychyla się przez okno i nasłuchuje, a potem wchodzi na stos węgla i patrzy w tył za pociąg.

— To ciekawe — odezwał się wreszcie pocziwiec — nasz pociąg jest ostatnim wieczornym pociągiem idącym w tym kierunku, a przysiągłbym, że słyszę za nami jeszcze jakąś maszynę!

Ropuch w jednej chwili zaprzestał swych błazeństw. Spoważniał i posmutniał, poczuł tępy ból w okolicach krzyża, promieniujący aż do łapek, a pod wpływem tego bólu zapragnął usiąść i nie myśleć o tym, co mogło się stać.

Księżyc świecił już jasno, a maszynista, stanąwszy mocno na kupie węgla, mógł ogarnąć wzrokiem duży odcinek toru.

Po chwili wykrzyknął:

— Teraz widzę wyraźnie! To parowóz, który jedzie z dużą szybkością po naszych szynach! Tak to wygląda, jakby gonił nas.

Nieszczęsny Ropuch, rozpląszczony na ziemi w miale węglowym, starał się usilnie wynaleźć jakiś sposób ratunku.

— Doganiają nas szybko! — krzyknął maszynista. — A na lokomotywie siedzi mnóstwo ludzi o przedziwnym wyglądzie: jacyś jakby starodawni strażnicy wymachują halabardami; policja w hełmach kiwa palcami, są też nędznie ubrani ludzie w melonikach. Od razu widać, nawet z tej odległości, że są to niezawodnie tajniacy, co dla odmiany wywijają laskami i rewolwerami, a wszyscy razem krzyczą: „Stój! stój! stój!”

Ropuch padł na kolana i podnosząc złożone błagalnie łapki, zawołał:

— Ratuj mnie, ratuj, drogi, zacny panie maszynisto, wszystko panu wyznam! Nie jestem prostą praczką, na jaką wyglądam! Nie mam niewinnych ani w ogóle żadnych dziattek, czekających na mnie! Jestem żabą — dobrze znanym i ogólnie lubianym panem Ropuchem, właścicielem ziemskim. Dzięki wielkiej odwadze i mądrości udało mi się dopiero co umknąć z obmierzonego lochu, do którego wtrącili mnie nieprzyjaciele. Ale jeśli pochwyć mnie ludzie z tego parowozu, zaczną się znów dla biednego, nieszczęśliwego, niewinnego Ropucha kajdany, chleb i woda, i słoma!

Maszynista spojrział surowo na Ropucha i rzekł:

— Przyznaj się, za co wsadzili cię do więzienia?

— Za nic wielkiego — odrzekł biedny Ropuch, czerwieniąc się mocno. — Pożyłem sobie tylko samochód, w czasie gdy właściciele jedli drugie śniadanie, nie był im przecież wówczas potrzebny. Nie miałem zamiaru ukraść go, naprawdę. Ale ludzie, a szczególnie urzędnicy, zapatrują się surowo na lekkomyślne, nierozważne postęпки.

Maszynista rzekł z powagą:

— Źle postąpiłeś i właściwie powinienem oddać cię w ręce sprawiedliwości, ale widzę, że jesteś nieszczęśliwy i w wielkich opałach, więc cię nie opuszczę. Po pierwsze, nie lubię samochodów, a po drugie, nie znoszę, jak mną komenderuje policja, zwłaszcza wówczas, gdy siedzę na swojej lokomotywie; w dodatku doznaję dziwnego uczucia na widok zwierzęcia tonącego we łzach — wzrusza mnie to. Pociesz się więc, Ropuchu! Zrobię, co będę mógł. Może uda się nam umknąć.

Zaczęli gorączkowo dorzucać łopatami węgiel, piec huczał, iskry pryskały, parowóz drgał i zataczał się w pędzie, lecz pościg zbliżał się coraz bardziej. Maszynista westchnął, otarł czoło pięścią i rzekł:

— Obawiam się, że nic z tego, Ropuchu. Widzisz, oni jadą bez obciążenia i mają lepszy parowóz. Jedno tylko nam pozostaje i to ostatnia twoja nadzieja, więc słuchaj z wielką uwagą tego, co ci powiem. Niedaleko przed nami jest długi tunel, a po drugiej jego stronie tor biegnie przez gęsty las. Jadąc przez tunel, wyciągnę największą szybkość, a tamci oczywiście trochę zwolnią w obawie przed katastrofą. Kiedy przedostaniemy się na drugą stronę, zamknę parę i puszcę w ruch hamulce, a jak tylko uznasz, że to możliwe, musisz wyskoczyć i schronić się w lesie, żeby cię tamci nie zobaczyli, kiedy wyjadą z tunelu. Wtedy ja jak najszybciej ruszę w dalszą drogę. Niech gonią mnie długo, jak im się spodoba i tak daleko, jak im się spodoba. A teraz uważaj i skacz, kiedy ci powiem!

Dorzucili znów węgla i pociąg wpadł pędem do tunelu, parowóz hałasował i grzechotał, aż wreszcie wypadli z tunelu. Owiało ich świeże powietrze, ujrzeli spokojny blask księżycy i ciemny, bezpieczny las, który ciągnął się po obu stronach toru. Maszynista zamknął parę i zahamował. Ropuch zszedł na stopień, a gdy pociąg nieledwie przystawał, usłyszał okrzyk:

— Teraz, skacz!

Skoczył, ześlizgnął się z niskiego nasypu, wstał zdrów i cały, wgramolił się do lasu i tam się ukrył. Wyjrząwszy, zobaczył że jego pociąg rozpędził się znowu i szybko znikł. A tymczasem, rycząc i gwizdząc, wypadł z tunelu parowóz ze swą mieszaną załogą, która wymachiwała rozmaitą bronią, krzycząc:

— Stój! Stój! Stój!

Gdy go minęli, Ropuch uśmieł się serdecznie, po raz pierwszy od czasu, jak wtrącono go do więzienia.

Ale wkrótce przestał się śmiać. Pomyślał, że jest późno, ciemno i zimno, że znalazł się w nieznanym lesie, bez pieniędzy i bez nadziei na kolację, że wciąż jeszcze jest daleko od domu i przyjaciół. Martwa cisza po turkocie i dudnieniu pociągu działała na niego przygnębiająco. Nie śmiał wyjść spod osłony drzew, zapuścił się więc w las, chcąc zostawić tor kolejowy jak najdalej za sobą.

Po tylu tygodniach spędzonych wśród murów las wydał mu się obcy, nieprzyjazny i jakby drwiąco względem niego usposobiony. Gdy słyszał jakby mechaniczne pohukiwanie puhacza, zdawało mu się, że las się roi od strażników, którzy go okrążają. Sowa w przelocie dotknęła skrzydłem jego ramienia, uskokzył w bok, straszliwie przerażony, był przekonany, że chwyta go jakaś ręka. Sowa, podobna do ćmy, odlatując, zaśmiała się

Ucieczka

gardłowo: „ho! ho! ho!”. Ropuch uznał to za marny dowcip. Natknął się raz na lisa, który stanął, zmierzył go ironicznym spojrzeniem i rzekł:

— Hej tam! Praczka! Brakuje mi w tym tygodniu jednej skarpetki i jednej powłoczki. Pamiętajcie, żeby to się nie powtórzyło.

Zachichotał i odszedł z dumną miną. Ropuch obejrzał się, szukając kamienia, którym mógłby rzucić za lisem, ale nic nie znalazł, co go bardzo rozżłościło. Wreszcie głodny, zziębnięty, zmordowany, znalazł schronienie w spróchniałym drzewie, gdzie usłał sobie możliwie wygodne posłanie z gałęzi i suchych liści i gdzie spał mocno aż do rana.

ROZDZIAŁ IX. WIELKA WĘDRÓWKA

Szczur nie mógł sobie znaleźć miejsca, sam nie wiedział dobrze dlaczego. Wspaniałe lato było jeszcze na pozór w pełnym rozkwicie i choć na uprawnych polach złoto zastąpiło zielen, choć ścierniska czerwieniły się, a w lesie widniały tu i ówdzie jaskrawe, rude plamy — światło, ciepło i barwa trwały wciąż niezmienione. Żadne zwiastuny mrozu nie zapowiadały kończącego się roku. Lecz chór, który wyśpiewywał bezustannie w sadach i żywopłotach, wykruszył się i zaledwie kilku niez mordowanych wykonawców nuciło pieśń wieczorną. Wróble rozpanoszyły się znowu, a w powietrzu czuć było zmianę i wyjazd. Kukulka, ma się rozumieć, dawno już zamilkła. Brakowało również wielu innych pierzastych przyjaciół, stanowiących przez szereg miesięcy część znanego krajobrazu i jego małego społeczeństwa. Szeregi kurczyły się z każdym dniem. Szczur, który zawsze śledził ruch skrzydlatych istot, zauważył, iż kierunek tego ruchu prawie codziennie skłania się bardziej ku południowi. A nawet gdy nocą leżał w łóżku, zdawało mu się, że słyszy w ciemności nad głową szelest i drganie niecierpliwych skrzydeł posłusznych niezłomnemu nakazowi.

Wielki Hotel Przyrody, tak jak i każdy inny, ma swoje sezony. Gdy goście pakują się kolejno, placą i odjeżdżają, a liczba osób przy stole zmniejsza się z posiłku na posiłek; gdy się zamyka pokoje; gdy się zdejmują dywany i zwalniają kelnerów, stali goście hotelowi, którzy pozostają aż do pełnego rozkwitu przyszłorocznego sezonu, nie pozostają obojętni na te odjazdy i pożegnania, te namiętne dyskusje o projektach, o drogach do przebycia i nowych kwaterach, i to codzienne ubywanie miłych kompanów. Stałych gości opanowuje niepokój, przygnębienie, stają się zgryźliwi. Po co ta chęć odmiany? Dlaczego nie pozostać tutaj spokojnie, razem z nami i bawić się wesoło? Nie wiecie, jak wygląda ten hotel po sezonie, nie wyobrażacie sobie, jak się dobrze bawimy w naszym kółku, my, co pozostajemy przez cały okrągły, interesujący rok. To wszystko prawda, niewątpliwie, odpowiadają podróżnicy; zazdrościmy wam — może zostaniemy innego roku — ale teraz mamy zobowiązania, omnibus⁴³ czeka przed drzwiami, już czas na nas. Wyjeżdżają, uśmiechając się i kiwając głowami, a stali goście odczuwają ich brak i do nich żal.

Szczur należał do zwierząt, które potrafią same sobie wystarczyć, był przywiązany do ziemi, i choć inni odchodzili — zostawał na miejscu, a jednak to, co się działo w powietrzu, nie uchodziło jego uwagi i nie pozostawało bez wpływu na niego. Trudno było wziąć się poważnie do jakiejś roboty wobec tego skrzydlatego ruchu.

Szczur opuścił brzeg Rzeki, gdzie gęste szuwały wznosiły się wysoko nad opadającą już wodą o leniwo toczącym się nurcie i poszedł w głąb łądu; minął parę pastwisk, wyschniętych i pokrytych pyłem, i zapuścił się w królestwo żółtej, sfalowanej, szemrzającej pszenicy, której ruch był spokojny, a szepc cichy. Lubił częste wędrówki wśród lasu sztywnych, silnych łodyg, co podtrzymywały nad jego łebkiem swe własne złociste niebo, tańczące, rozmigotane i łagodnie rozgwarzone, lub pochylały się gwałtownie pod przelotnym wiatrem i prostowały nagle z wesołym śmiechem. Szczur miał tu także licznych małych przyjaciół, tworzących odrębne społeczeństwo, którego członkowie wiedli bujne, czynne życie, a mimo to znajdowali zawsze wolną chwilę, aby poplotkować z gościem i podzielić się z nim nowinami. Lecz dziś zdawało się, że myszy polne są czymś zaprzątnięte, choć przyjęły Szczura grzecznie. Jedne pilnie kopały tunele, inne, zbite w gromadki, oglądały plany i rysunki niewielkich mieszkań, wygodnych, przyjemnie rozplanowanych

Lato, Jesień

Natura

⁴³*omnibus* (łac. dosł.: dla wszystkich) — duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, pod koniec XIX w. powszechny jako środek regularnej komunikacji w dużych miastach Europy; poprzednik autobusów. [przypis edytorski]

i położonych w pobliżu składów. Jeszcze inne wyciągały zakurzone kufry i kosze lub pogrążone były po uszy w pakowaniu dobytku. Wszędzie wokoło pszenica, owies, jęczmień i orzechy leżały w stosach lub snopach, gotowe do transportu.

— Przyszedł nasz stary Szczur — zawołały myszy na jego widok. — Chodź nam pomóc, Szczurze, nie stój bezczynnie!

— Cóż to za zabawa? — spytał Szczur surowo. — Wiecie przecież, że nie pora teraz myśleć o zimowych kwaterach, jeszcze czas.

— Wiemy, wiemy — odrzekła dość bezczelnie jedna z polnych myszy. — Ale zawsze lepiej o wszystkim pomyśleć zawczasu, prawda? Musimy koniecznie zabrać stąd meble i rzeczy, i zapasy, nim te ohydne maszyny zaczną szczękać na polach. A przy tym, jak wiesz, bardzo szybko rozchwytyją obecnie co lepsze mieszkania i jeśli się spóźnimy, będziemy musiały zadowolić się byle czym. A poza tym trzeba zwykle przeprowadzać gruntowny remont przed wprowadzeniem się. Wiemy naturalnie, że jest jeszcze dużo czasu, to tylko taki sobie początek.

— Et, co tam! — rzekł Szczur. — Cudowny dziś dzień, chodźcie, przejedziemy się łodzią albo pójdziemy na spacer wzdłuż pól czy na piknik do lasu, albo coś w tym rodzaju.

— Chyba nie dziś, dziękuję ci — odrzekła śpiesznie polna mysz. — Może kiedy indziej, jak będziemy miały więcej czasu.

Szczur parsknął pogardliwie, zawrócił, chcąc odejść, potknął się o pudełko od kape-luszy i upadł, mrużąc pod nosem dosadne wyrazy.

— Gdy ktoś uważa i patrzy, gdzie stawia łapki — rzekła oschłym tonem jedna z polnych myszy — nie ma obawy, aby się potknął i w dodatku tak się wyrażał. Ostrożnie, Szczurze, tu stoi kosz. Najlepiej sobie usiądź. Może za parę godzin będziemy miały czas tobą się zająć.

— Nie zdaje mi się, abyście miały „czas”, jak to nazywasz, przed Bożym Narodzeniem — odparł Szczur zgrzyliwie, torując sobie drogę przez pole.

Powrócił dość chmurny do swojej Rzeki, która nie pakowała się nigdy i nie odlatywała na zimowe leże.

Wśród wikliny okalającej brzeg spostrzegł siedzącą jaskółkę, niebawem przyłączyła się do niej druga, a po chwili trzecia. Ptaszki rozmawiały cicho i z przejęciem, przeskakując wciąż niespokojnie z gałęzi na gałąź.

— Co, już? — spytał Szczur, podchodząc ku nim. — Co za gwałt? Przecież to wprost śmieszne!

— O, jeszcze nie wyruszamy, jeśli o to ci chodzi — odparła pierwsza jaskółka — robimy tylko plany i projekty. Omawiamy naszą wędrowkę, rozumiesz, zastanawiamy się, jaką drogę wybrać w tym roku, gdzie się zatrzymać i tak dalej. To jest połowa przyjemności.

— Przyjemności? — zdumiał się Szczur. — Otóż tego zupełnie nie rozumiem. Jeśli już musicie opuścić to miłe miejsce i przyjaciół, którzy będą za wami tęsknili, i wasze wygodne domki, gdzieście się dopiero co wprowadziły, nie wątpię, że gdy wybije godzina, stawicie czoło kłopotom, niewygodom, zmianom i nowym warunkom i będziecie usiłowały ukryć, jaką wam to sprawia przykrość. Ale omawiać to, a nawet o tym myśleć, póki nie zajdzie istotna potrzeba...

— Ty tego nie rozumiesz, to rzecz naturalna — powiedziała druga jaskółka. — Najpierw zaczynamy odczuwać jakby słodki niepokój; potem jedno po drugim wracają wspomnienia, niby gołębie do gołębnika, trzepocą nocą w naszych snach, a we dnie fruwią z nami, gdy zataczamy kręgi. Mamy ochotę rozpytywać się siebie nawzajem, porównywać nasze wspomnienia i upewnić się, że to wszystko zdarzyło się naprawdę, gdy po trochu przypominają się nam i wzywają nas zapachy i dźwięki, i nazwy dawno zapomnianych miejsc.

— Czy nie mogłybyście zostać w tym roku? — proponował smętnie Szczur Wodny. — Będziemy się wszyscy usilnie starali, aby wam było dobrze. Nie macie pojęcia, jak przyjemnie spędzamy czas, gdy jesteście daleko.

— Spróbowałam „zostać” jednego roku — odpowiedziała trzecia jaskółka. — Przywiązałam się tak serdecznie do tego miejsca, że kiedy nadeszła pora, ociągałam się i pozwoliłam innym odlecieć beze mnie. Przez kilka tygodni było mi jako tako, ale później!

Te męczące, długie noce i zimne, bezsłoneczne dni! To powietrze chłodne, przenikliwe, całkowicie pozbawione owadów! Nie, okazało się, że to na nic. Opuściła mnie odwaga i pewnej zimnej, burzliwej nocy odfrunęłam, starając się lecieć środkiem ładu ze względu na wschodnie wiatry. Gęsty śnieg sypał, gdy znalazłam się nad przełęczami wysokich gór, i musiałam ogromnie się namęczyć, nim zdołałam przedostać się na drugą stronę. Ale nie zapomnę nigdy rozkosznego uczucia, kiedy gorące słońce grzało mi plecy, a ja zlatywałam ku jeziorom, które spoczywały pode mną niebieskie i spokojne. A jak mi smakował pierwszy tłusty owad! Przeszłość wydała mi się złym snem. Przyszłość wyglądała jak szczęśliwe wakacje. Leciłam na południe przez długie, długie dni, leniwie ociągając się, jak najdłużej, lecz zawsze miałam na myśli zew! Nie, po tym ostrzeżeniu nieposłuszeństwo nie przyszło mi już więcej do głowy.

— Ach, zew Południa, zew Południa! — zaświergotały marząco dwie inne jaskółki. — Te śpiewy, te barwy i blask powietrza! Czy pamiętacie...

Zapominając o Szczurze, zaczęły namiętne zagłębiać się we wspomnieniach, a Szczur oczarowany słuchał z bijącym sercem. Uświadomił sobie, że i w nim zadźwięczała wreszcie struna drżmiąca dotychczas, której istnienia nie podejrzewał. Zwykły szczebiot ptaków, kierujących się na południe, ich bezładne opowiadania zdołały jednak obudzić nieznanne, gwałtowne uczucie, które na wskroś go przeniknęło. Cóż by to było, gdyby choć przez chwilę poznał tamten świat, gdyby poczuł namiętne dotknięcie prawdziwego słońca Południa, tchnienie prawdziwego południowego zapachu? Zamknął oczy i przez chwilę ośmielił się oddać całkowicie marzeniom, a kiedy znów otworzył oczy, Rzeka wydała mu się chłodna, jakby ze stali, a pola szare i smutne. Lecz zaraz wierne serce Szczura zaczęło wyrzucać zdradę jego słabszemu drugiemu „ja”.

— W takim razie — zapytał zazdrośnie — po co w ogóle wracacie? Co was przyciąga do tej ubogiej, szarej krainy?

— Czy myślisz — powiedziała pierwsza jaskółka — że w odpowiedniej porze nie dochodzi do nas zew z tego kraju? Wzywa nas soczysta trawa na łąkach, wilgotne sady, nagrzane stawy pełne owadów, pasące się krowy, sianokosy i wszystkie budynki folwarczne skupione wkoło „Domu o idealnym okapie”.

— Czy myślisz — spytała druga jaskółka — że jesteś jedynym żywym stworzeniem, które tęskni namiętne za głosem kukułki?

— W swoim czasie — wtrąciła trzecia jaskółka — będziemy znowu marzyły o cichych grązelach unoszących się na powierzchni angielskich wód. Ale dziś wszystko to wydaje się nam blade, niewyraźne i bardzo dalekie. Teraz krew krąży w nas żywo w takt innej muzyki.

Jaskółki zaczęły znowu świergotać między sobą, a tym razem szczebiotały upajająco o fioletowych rzekach, rudych piaskach i murach, po których pełzają jaszczurki.

Szczur nie mógł znaleźć sobie miejsca. Wdrapał się po pochyłości, która się wznosiła łagodnie na północnym brzegu Rzeki. Położył się i patrzył w stronę wzgórz, które zamykały widok na południe. Te wzgórza stanowiły dotychczas kres jego widnokregu, tworzyły granicę, poza którą nie było nic, co by chciał widzieć lub poznać. Dziś, gdy spoglądał na południe z nowym pragnieniem w sercu, jasne niebo nad niskim, długim zarysem wzgórz zdawało się drgać od obietnic. Dziś to, co niewidoczne, stało się wszystkim, to, co nieznanne, było jedyną rzeczywistością. Nicość przeniosła się teraz na tę stronę wzgórz, a po drugiej stronie rozłożyła się barwna, urozmaicona panorama, którą widział jasno wewnętrznym wzrokiem. Jakie tam morza szmaragdowe, rozkołysane, spienione! Jakie wybrzeża, gdzie jaśnieją białe wille na tle oliwnych lasów! Jakie ciche przystanie, zatłoczone pięknymi statkami, które płyną do fioletowych wysp, porośniętych winem i egzotycznymi krzewami, wysp osadzonych nisko na sennych wodach!

Szczur wstał i zszedł znowu nad Rzekę, a potem zmienił zdanie, udał się na skraj zakurzonej drogi i usiadł w chłodzie, w cieniu okalającego ją gęstego, splątanego żywopłotu. Zatopił się w rozmyśleniach nad brukowanym gościńcem i cudownym światem, do którego wiódł, a także nad wszystkimi wędrowcami, którzy po niej kroczyli, nad wypadkami i przygodami, których poszukiwali lub które im się zdarzyły nieoczekiwanie tam, za wzgórzami, daleko!

Wtem posłyszał kroki. Na drodze ukazała się postać znużonego wędrowca — był to szczur i to szczur okropnie zakurzony. Gdy zbliżył się do Szczura Wodnego, sklonił się

Marzenie

uprzejmie w sposób nieco cudzoziemski, zawahał się chwilę, a potem z miłym uśmiechem zszedł z gościńca i usiadł na chłodnej murawie obok Szczura Wodnego. Wydawał się zmęczony, więc Szczur Wodny pozwolił mu odpocząć, nie rozpytując go o nic, rozumiał bowiem coś niecoś z tego, co się działo w sercu przybysza. Wiedział także, jaką wagę przywiązują często zwierzęta do towarzystwa milczącego kolegi, mogą wówczas rozprężyć znużone mięśnie, a pracuje tylko ich umysł.

Wędrowiec był szczupły, o ramionach nieco przygarbionych, o długich, chudych łapkach i ostrych rysach, znaczonych licznymi zmarszczkami w kącikach oczu. W kształtnych, dobrze osadzonych uszach widniały złote kolczyki. Miał na sobie spłowiały granatowy trykot ręcznej roboty, wysmolone i połatane spodnie, także granatowe, a na plecach niósł tobolek związany niebieską perkalową chustką.

Przybysz po chwilowym odpoczynku westchnął i rozejrzał się, węsząc.

— Ten zapach, który nam przyniosła ciepła bryza, to była koniczyna — zauważył — a z tyłu za nami słyszę krowy pasące się na trawie. Dmuchają łagodnie między jedną zerwaną wiązką a drugą. Z daleka słychać żniwiarzy, a tam hen, na tle lasu, wznosi się niebieski dym z wioskowego komina. Gdzieś w pobliżu musi przepływać rzeka, słyszę krzyk wodnego ptactwa i odgaduję z twoich kształtów, że jesteś marynarzem słodkich wód. Wszystko wydaje się uśpione, a jednak ruch nie ustaje. Prowadzisz stateczne życie, przyjacielu, bez wątpienia najlepsze w świecie, jeśli komu starczy na nie sił.

— Tak, to jedyne w świecie życie — odparł Szczur sennie, bez zwykłego przekonania płynącego z serca.

— Ja niezupełnie tak powiedziałem — odparł ostrożnie obcy — lecz to jest niewątpliwie najlepsze życie. Próbowałem nim żyć, więc wiem, co mówię. A ponieważ dopiero co zakosztowałem tego życia, przez całych sześć miesięcy, i wiem, że jest najlepsze, siedzę tu, zgłodniały, z obolałymi łapkami, i porzucam je, wędruję na południe, posłuszny staremu wezwaniu, wracam do dawnego życia, do życia, które jest moje i nie chce mnie oddać.

„Czyżby to był znowu jeden z tych wędrowców?” — zastanowił się Szczur.

— Skąd tak idziesz? — spytał. Nie śmiał zapytać, dokąd wędrowiec dąży, zdawało mu się, że aż nadto dobrze wie, jaką dostanie odpowiedź.

— Z niewielkiej a przyjemnej zagrody — odparł krótko wędrowiec — położonej w tamtej stronie. — Łebkiem wskazał północ. — Ach, to nie ma znaczenia. Oplywałem tam we wszystko, czego mi było trzeba, we wszystko, czego mogłem od życia wymagać, a nawet więcej, i jestem tutaj i cieszy mnie to, cieszy że tu siedzę! Te mile drogi, które uszedłem, zbliżyły mnie do celu moich marzeń.

Utkwił błyszczące ślepki w horyzoncie i zdawał się nasłuchiwać, czy nie pochwyci głosu, którego brakowało w tych śródłądowych polach, mimo iż rozbrzmiewały wesołą melodią pastwisk i zagród gospodarskich.

— Nie jesteś jednym z nas — rzekł Szczur Wodny — a także nie jesteś rolnikiem, ani nawet, o ile mogę sądzić, nie pochodzisz z tego kraju.

— Słusznie — odrzekł obcy. — Jestem marynarzem, a port, z którego pochodzę, zwie się Konstantynopol, choć i tam uważam się poniekąd za cudzoziemca, jeśli się tak można wyrazić. Musiałeś słyszeć o Konstantynopolu? Piękne to miasto, sławne, starożytne. Może słyszałeś także o Sigurdzie⁴⁴, królu Norwegów, który tam zawinął z sześćdziesięcioma okrętami i wraz ze swymi ludźmi jechał przez ulice przybrane na jego cześć w złoto i purpurę. A cesarz i cesarzowa ucztowali na jego statku. Sigurd wrócił do domu, ale wielu z jego ludzi zostało w Konstantynopolu i wstąpiło do przybocznej gwardii cesarza. Mój pradziad, Norweg z urodzenia, został tam także na statku, który Sigurd ofiarował cesarzowi. Nic w tym dziwnego, pochodzimy z rodu marynarzy. Co do mnie, nie uważam za swoją ojczyznę miasta, gdzie się urodziłem, równie dobry jest mi każdy

⁴⁴*Sigurd I Krzyżowiec* (ok. 1090–1130) — król Norwegii (od 1103), pierwszy z królów europejskich, który osobiście wziął udział w wyprawie krzyżowej. W 1107 poprowadził krucjatę norweską, liczącą ok. 5000 wojowników na 60 okrętach, w celu wsparcia nowo powstałego Królestwa Jerozolimskiego, założonego po I krucjacie. Po zwycięskich walkach opuścił Jerozolimę i popłynął do Konstantynopola, gdzie podarował swoje okręty cesarzowi, w zamian za co otrzymał konie. Powrócił lądem, ale część jego ludzi pozostała w Konstantynopolu. [przypis edytorski]

inny port między Konstantynopolem a rzeką londyńską. Znam je wszystkie i one mnie znają. Czuję się jak u siebie w domu na bulwarze czy nabrzeżu, gdzie mnie wysadzą.

— Odbywatel prawdopodobnie długie podróże — rzekł Szczur Wodny ze wzrastającym zainteresowaniem. — Spędzasz całe miesiące, nie widząc lądu... zapasy kończą się... wodę wydziela się porcjami... twój duch obcuje z potężnym oceanem i tak dalej?

— Ale gdzie tam! — odparł Szczur Morski szczerze. — Życie, które opisujesz, nie podobałoby mi się wcale. Zajmuję się handlem przybrzeżnym. Rzadko kiedy tracę ziemię z oczu. Wesołe chwile spędzane na łodzi podobają mi się nie mniej niż morskie podróże. Ach, te południowe porty! Ich zapach, światła, czar!

— Wybrałeś, być może, najlepszą drogę — rzekł Szczur Wodny z lekkim powątpiewaniem. — Opowiedz mi coś niecoś o owym handlu nadbrzeżnym, jeśli cię to nie nudzi. Jakże żniwo może tam zebrać dzielne zwierzę, aby w starszym wieku, siedząc przy kominku, mogło ogrzewać się pięknymi wspomnieniami? Moje życie bowiem, muszę ci to wyznać, wydaje mi się dziś nieco ciasne i ograniczone.

— Ostatnia moja podróż — zaczął Szczur Morski — która zakończyła się przypadkowo w tym kraju, w związku z wielkimi nadziejami, jakie pokładałem w śródlądowym folwarku, może służyć za przykład innych wypraw, a także za skrót mego niezmiernie barwnego żywota. Zaczęła się, jak zwykle, od kłopotów rodzinnych. Zaciągnąłem się z powodu rodzinnych niesnasek na mały handlowy statek, jadący z Konstantynopola przez antyczne morza, których każda fala drga nieśmiertelnym wspomnieniem, do wysp greckich i na Wschód. Były to złote dni i wonne noce. Zawijaliśmy wciąż do nowych portów, a wszędzie spotykałem starych przyjaciół. Przesypiałem upalne dni w chłodnej świątyni lub w ruinach cysterny, a po zachodzie słońca śpiewaliśmy i ucztowaliśmy pod wielkimi gwiazdami rozszanymi na aksamitnym niebie. Potem płynęliśmy brzegiem Adriatyku, gdzie ziemia nurza się w powietrzu z bursztynu, róży i akwamaryny. Zawijaliśmy do obszernych portów otoczonych lądem, włóczyliśmy się po starodawnych sławnych miastach, aż wreszcie pewnego ranka, gdy słońce wschodziło za nami isticie po królewsku, wpłynęliśmy szlakiem ze złota do Wenecji. O, Wenecja to piękne miasto, szczur może tam wygodnie spacerować i zabawiać się. A znużony wędrówką, może nocą zasiąść do uczty z przyjaciółmi na brzegu Canale Grande⁴⁵. Pełno tam pieśni w powietrzu, a na niebie pełno gwiazd. Światła błyszczą i migocą, odbijając się w gładkich stalowych dziobach rozkołysanych gondoli, a tych gondoli takie mnóstwo, że można by po nich przejść z końca w koniec kanału. I co za jedzenie! Czy lubisz skorupiaki? Ale nie będziemy się teraz nad tym zastanawiali.

Podróż

Umilkł na chwilę, a Szczur Wodny, oczarowany i także milczący, pływał w marzeniach po kanałach i słyszał pieśni rozbrzmiewające dźwięcznie wśród szarych, mglistych murów omywanych chlupotaniem fal.

— Pożeglowaliśmy wreszcie na południe — podjął Szczur Morski — wzdłuż włoskich wybrzeży aż do Palermo. Tam porzuciłem statek i puściłem się na daleką, rozkoszną wycieczkę lądową. Nie trzymam się nigdy długo jednego statku, to powoduje ciasnotę pojęć i stronniczość. Przy tym Sycylia jest jednym z moich ulubionych terenów myśliwskich. Znam wszystkich na tej wyspie, a tamtejsze obyczaje mi odpowiadają. Spędziłem długie i wesołe tygodnie na wsi u przyjaciół, a gdy znów mnie nawiedził niepokój, skorzystałem ze statku, który płynął z towarem na Sycylię i Korsykę, i z radością poczułem na pyszczku powiew morski i bryzgi fal.

— A czy tam na dole, w ładowni, bo tak to zwiecie, o ile się nie myślę, nie jest bardzo gorąco i duszno? — spytał Szczur Wodny.

Marynarz spojrział na niego i jakby mrugnął porozumiewawczo.

— Jestem starym wilkiem morskim — powiedział z prostotą — wystarcza mi kabina kapitana.

— W każdym razie to ciężkie życie — mruknął Szczur Wodny, głęboko pogrążony w myślach.

⁴⁵ Wielki Kanał (wł. *Canal Grande*) — jeden z głównych kanałów Wenecji, o dł. ok. 4 km i szer. 30–60 m, przepływając przez środek Wenecji dzieli ją na dwie części; wzdłuż jego brzegów powstały w XIII–XVIII w. liczne, znane budowle. [przypis edytorski]

— Dla załogi jest niewątpliwie ciężkie — odparł marynarz z powagą i znów jakby mrugnął.

— Na Korsyce — ciągnął dalej — wsiadłem na statek, który wiozł wino na kontynent. Wieczorem zawinęliśmy do Alassio, wyciągnęliśmy beczki z winem i spuściliśmy je na wodę, powiązane długą liną. Potem załoga wsiadła do łodzi i śpiewając, wiosłowała w stronę brzegu. Ciągnęła za sobą długi sznur beczek, uderzających o siebie; były podobne do stada delfinów. Na piasku czekały konie. Porozwoziły beczki, wspinając się dzielnie pod górę z tupotem i hałasem po stromych uliczkach małego miasta. Gdy już odstawiliśmy ostatnią beczkę, poszliśmy odpocząć, orzeźwić się i siedzieliśmy długo w nocy, pijąc z przyjaciółmi. Następnego ranka wyruszyłem na krótki wypoczynek do rozległych oliwnych lasów. Na razie miałem dość wysp, a że nieźle zarobiłem w portach i na statkach, pędziłem leniwe życie wśród wieśniaków. Leżąc, przyglądałem się, jak pracują, lub wyciągnąwszy się gdzieś na wyżynie, patrzyłem w dół na niebieskie Morze Śródziemne. I ostatecznie krótkimi etapami, po części piechotą, a po części morzem, dotarłem do Marsylii. Spotkałem się z dawnymi kolegami marynarzami, zwiedziłem wielkie, dalekobieżne statki i znowu ucztowałem. Wspomniałem ci już o skorupiakach. Czasami śnię o marsylskich skorupiakach i budzę się z płaczem!

— Przypomina mi to — odezwał się uprzejmie Szczur Wodny — że napomykałeś coś o głodzie. Należało już wcześniej tę sprawę poruszyć. Zostaniesz oczywiście i zjesz ze mną drugie śniadanie, prawda? Moja nora jest bardzo blisko, a tu już minęła dwunasta. Czym chata bogata, tym rada!

— Bardzo to uprzejmie z twojej strony, całkiem po bratersku — odpowiedział Szczur Morski. — Byłem już głodny, gdy tu usiadłem, a od chwili kiedy niebacznie wspomniałem skorupiak, głód szarpie mi wnętrzności. Czy nie mógłbyś przynieść tutaj śniadania? Niezbyt lubię wchodzić pod strzechę, chyba w razie koniecznej potrzeby. Podczas jedzenia mógłbym opowiedzieć ci jeszcze coś niecoś o moich podróżach i o miłym życiu, jakie pędzę — dla mnie to życie jest w każdym razie bardzo miłe, a sądząc po uwadze, z jaką mnie słuchasz, tobie także wydaje się godne pochwały. Jeśli zaś wejdziemy pod dach, jest dziewięćdziesiąt szans na sto, że zasnę.

— To doskonały pomysł — zgodził się Szczur Wodny i pośpieszył do swojej nory. Wydostał koszyk i zapakował weń skromne śniadanie. Pomny⁴⁶ na pochodzenie i gust cudzoziemca, pamiętał, aby wziąć długą bułkę francuską, kielbasę czosnkową, ser, który niemal już chodził, i oplataną butelkę o długiej szyjce, zawierającą słońce złane w butelkę i przechowane na dalekim Południu. Tak obładowany, wrócił jak tylko mógł najprędzej i zarumienił się z radości, słysząc słowa uznania, jakich stary wilk morski nie szczędził jego smakowi i znanstwu, gdy razem rozpakowali kosz i rozłożyli jego zawartość na przydrożnej trawie.

Szczur Morski, zaspokoiwszy pierwszy głód, podjął dalej historię swej ostatniej podróży. Prowadził prostodusznego słuchacza od portu do portu Hiszpanii, lądował z nim razem w Lizbonie, Porto i Bordeaux, zawijał do rozkosznych przystani Kornwalii i hrabstwa Devon i wreszcie przepłynął przez kanał do ostatniego nabrzeża, gdzie dotarł skołatany przez burzę, po walce z długotrwałym przeciwnym wiatrem. Pochwyił pierwsze czarowne zapowiedzi wiosny i podniecony nimi, pośpieszył w głąb lądu na długą wędrówkę, łaknąc życia na spokojnym podwórzu folwarcznym, z dala od męczącego kołysania morskich fal.

Oczarowany Szczur Wodny, drżąc z podniecenia, dążył krok w krok za podróżnikiem przez burzliwe zatoki i zapełnione tłumem ulice, wchodził za nim do portowych barów, płynąc w górę krętych rzek, ukazujących ruchliwe miasteczka za nagłym zakrętem, i opuścił go z westchnieniem żalu, w nudnym śródlądowym folwarku, o którym nie chciał słyszeć.

Tymczasem skończyli śniadanie. Marynarz pokrzepił się i orzeźwił, głos jego stał się dźwięczniejszy, oczy rozblęsy światłem, które wydawało się odbłyskiem jakiejś odległej morskiej latarni; napełnił szklankę czerwonym, migocącym winem Południa. Pochylony ku Szczurowi Wodnemu, przykuł do siebie jego wzrok i całkowicie opętał towarzysza wymową. Szarzielone czy wędrówka były koloru zmiennych, burzliwych, pianą po-

⁴⁶pomny czegoś (daw.) — pamiętający o czymś, mający na uwadze coś. [przypis edytorski]

Wino

Jedzenie

Podróż

Wino

rysowanych północnych mórz, w szklance błyszczał gorący rubin, który zdawał się być samym sercem Południa, bijącym dla tego, który ma odwagę odpowiedzieć na jego bicie. Oba te światła — zmienne szare i stałe czerwone — oładnęły Szczurem Wodnym, był w ich mocy — oczarowany, bezsilny. Spokojny świat zewnętrzny, którego nie ogarniały ich promienie, cofnął się w dal i zniknął. Opowieść, cudowna opowieść płynęła. Czy była to tylko mowa, czy też chwilami przeradzała się w pieśń — w śpiewkę marynarzy podnoszącą ociekającą wodą kotwicę, w dźwięczny łopot żagli przy gwałtownym północno-wschodnim wicherze, w balladę rybaka ciągnącego o świcie swą sieć na tle morelowego nieba, w dźwięk strun gitary i mandoliny, dochodzący z gondoli lub barki? A może słowa zmieniały się w jęk wichru, żalony z początku, gniewnie ostry, w miarę jak się wzmagał i wznosił, aż do rozdzierającego gwizdu, który przycichał i spływał melodyjnie po krawędzi wzdętego żagla? Oczarowany Szczur Wodny zdawał się słyszeć wszystkie te dźwięki, a wraz z nimi dochodziła go głodna skarga mew, łagodny grzmot rozbijających się fal, szelest opornego żwiru i... znów wracały słowa. Z bijącym sercem słuchał o przygodach w licznych portach, o walkach, ucieczkach, zbiórkach, o koleżeństwie i odważnych przedsięwzięciach. Albo też szukał wysp, gdzie leżą skarby, łowił ryby w spokojnych lagunach i całe dni spędzał, drzemiąc na białym piasku. Słuchał opowiadania o połowie ryb na pełnym morzu, o ściąganiu potężnych, srebrzystych sieci milowej długości; słuchał o nagłych niebezpieczeństwach, o szumie grzywiastych fal w bezksiężycową noc lub o wyniosłych masztach wielkiego statku, rysujących się nagle we mgle nad głową; słuchał o wesołych powrotach do domu, gdy zatoczy się szeroki krąg wokół przylądka i zabłyszczą światła przystani; gdy się spostrzeże na lądzie niewyraźne grupki ludzi, gdy dochodzą radosne okrzyki i plusk liny holowniczej; słuchał o wędrowce po stromych uliczkach ku krzepięcemu światłu okien z czerwonymi zasłonami.

Wreszcie w tym śnie na jawie zdawało mu się, że wędrowiec wstał, lecz nie przestał mówić, trzymał go wciąż w mocy swych oczu, szarych jak morze.

— A teraz — powiedział łagodnie podróżnik — puszczam się znowu w drogę. Będę szedł wśród kurzu przez wiele dni, kierując się na południowy wschód, aż dojdę do znanej mi dobrze, szarej nadmorskiej miejsciny, która czepia się jednej ze stromych ścian portu. Tam poprzez ciemne bramy widać schody idące w dół, a nad nimi zwisają wielkie różowe pęki waleriany. Schody kończą się niebieską plamą migocącego morza. Łódeczki, przytwierdzone do kółek i pali na starym bulwarze, pomalowane są na wesołe barwy i przypominają czółna, do których wchodziłem w dzieciństwie. Łososie wyskakują z wody podczas przypływu, makrele płyną ławicą, bawią się i igrają wzdłuż nabrzeża, a pod oknami dzień i noc suną wielkie statki, kierując się ku portowi czy też na pełne morze. Tam, wcześniej czy później, przybývają statki wszystkich narodów, które prowadzą handel morski, więc przybędzie tam również o właściwej porze i zapuści kotwicę statek, który wybiorę. Nie śpiesząc się, ociągając i zwlekając, znajdę wreszcie statek odpowiedni dla siebie. Będzie czekał w środku portu, obciążony ładunkiem i zwrócony bukszprytem⁴⁷ ku morzu. Wślizgnę się do niego po linie czy też z pomocą łodzi, a potem pewnego ranka zbudzi mnie pieśń i tupot nóg marynarzy, zgrzyt windy kotwicznej i szczeł okręcane go łańcucha. Rozwinie przedni żagiel, białe domy portu przesuną się z wolna obok nas i rozpoczniemy podróż! Dążąc ku przylądkowi, statek przystroi się w płótno. A potem, gdy wypłynie z portu, odezwą się grzmiące uderzenia ogromnego, zielonego morza i statek podda się wiatrom, żeglując na południe! Ty, młody bracie, pojedziesz także z nami, gdyż dni mijają i nigdy nie wrócą, a Południe czeka na ciebie. Zakosztuj przygody, bądź posłuszny wezwaniu, teraz, nim minie ta jedyna chwila. To nic wielkiego. Usłyszysz za sobą trzaśnięcie drzwi, zrobisz jeden odważny krok i porzucisz dawne życie, a wkroczysz w nowe. Potem, pewnego dnia dalekiej, dalekiej przyszłości, możesz się tu przywlec znów, jeśli zechcesz, gdy wysączysz kielich do dna. Zasiądziesz wówczas nad swoją spokojną rzeką w towarzystwie licznych i pięknych wspomnień. Łatwo dogonisz mnie w drodze, jesteś młody, a ja się starzę — idę wolno. Będę się ociągał i oglądał, aż wreszcie zobaczę cię, kroczącego niecierpliwie z lekkim sercem, a na twoim pyszczku ujrzę odbłask Południa!

Podróż

⁴⁷ *bukszpryt* — rodzaj pochyłego masztu wystającego przed dziób statku. [przypis edytorski]

Głos zanikał i w końcu ustał, niby brzmienie małej trąbki owada, które rozwiewa się szybko w ciszy. A Szczur Wodny, nieruchomy i wpatrzony w dal, widział już tylko plamkę na białej powierzchni drogi.

Wstał machinalnie i zapakował koszyk od śniadania; robił to starannie, nie śpiesząc się. Machinalnie wrócił do domu, zebrał trochę niezbędnych rzeczy i skarbów, do których był szczególnie przywiązany i wsadził je do torby. Działał z rozmysłem, chodząc po pokoju niby lunatyk i nasłuchując wciąż z otwartymi pyszczkiem. Zarzucił torbę na ramię, wybrał starannie gruby kij podróżny i wolno, lecz bez wahania ruszył do wyjścia. W tej samej chwili w drzwiach ukazał się Kret.

— Co to takiego? Dokąd idziesz, Szczurku? — spytał z wielkim zdumieniem, chwytając Szczura za ramię.

— Idę na Południe razem ze wszystkimi — szepnął Szczur sennym i monotonnym głosem, nie patrząc na Kreta. — Najpierw w stronę morza, a potem na statek i do wybrzeży, które mnie wzywają.

Parł zdecydowanie naprzód, nie śpieszył się, lecz trzymał się z uporem swego zamierzenia. Kret, przestraszony nie na żarty, stanął przed nim, a zajrzawszy mu w oczy zobaczył, że były szkliste, zacięte, a przy tym zmieniły barwę: stały się szare i prążkowane. Nie były to ślepki jego przyjaciela, tylko jakiegoś innego zwierzęcia! Siłą wciągnął Szczura do nory, powalił go i przytrzymał.

Szczur walczył rozpaczliwie jakiś czas, a potem jakby go siły opuściły, leżał cicho, wyczerpany i drżący, z zamkniętymi oczami. Po chwili Kret pomógł mu wstać i usiąść na krześle, na które Szczur opadł skulony. Jego ciałem wstrząsały silne dreszcze, które z czasem przeszły w histeryczne, suche łkanie. Kret zarygłował drzwi, torbę wrzucił do szuflady, a szufladę zamknął i usiadł na stole obok przyjaciela, czekając, aż minie ten niezwykle atak. Stopniowo Szczur pogrążył się w niespokojną drzemkę, przerywaną drgawkami i bezładnym szeptem o rzeczach dziwnych, niepojętych i obcych dla niewtajemniczonego Kreta. Wreszcie zapadł w głęboki sen.

Kret, bardzo niespokojny, opuścił Szczura na jakiś czas, aby zająć się swymi domowymi sprawami. Był już mrok, kiedy wrócił do salonu. Przyjaciela zastał tam, gdzie go zostawił. Szczur nie spał już, lecz był milczący, obojętny i przygnębiony. Kret rzucił szybkie spojrzenie na jego oczy, zobaczył z radością, że patrzą znów jasno i są jak dawniej ciemnobrazowe. Usiadł więc obok niego, usiłując go pocieszyć i dopomóc w wyjaśnieniu, co mu się przydarzyło.

Biedny Szczur starał się najlepiej, jak potrafił, opowiedzieć wszystko, lecz czyż słowa zdolają wyrazić coś, co było nieuchwytnym wrażeniem? Jak wywołać niesamowity głos morza, który mu śpiewał? Jak odtworzyć magię wspomnień o przeżyciach marynarzy? Nawet on sam, teraz gdy czar prysł i znikła uluda, znajdował z trudem wytłumaczenie dla tego, co zdawało mu się przed kilku godzinami rzeczą jedyłą i konieczną. Nic więc dziwnego, że nie potrafił przedstawić Kretowi jasno, co tego dnia przeżył.

Kret widział tylko jedno: atak minął i Szczur wyzdrowiał, choć był wstrząśnięty i zmęczony. Zdawało się, że stracił chwilowo wszelkie zainteresowanie sprawami, z których składało się jego codzienne życie, przestały go także zajmować miłe przewidywania tego, co przyniosą nadchodzące dni, nie obchodziły go czynności, które pociąga za sobą odmienna pora roku.

Kret z udaną obojętnością, jakby od niechcienia, skierował rozmowę na żniwa będące w toku, na wysoko naładowane wozy i pracujące z natężeniem zaprzęgi, na coraz to liczniejsze sterty i na wielki księżyc, który wstaje nad pustymi polami, gdzie pozostały okrągłe ślady zwiezionych kopek. Mówił o czerwieniejących wszędzie wokoło jabłkach, o brązowiejących orzechach, o powidłach i konserwach, o przygotowywaniu krzepiących napojów i w ten sposób doszedł do środka zimy, do jej serdecznej wesołości i zacisznego życia domowego, a wówczas wpadł po prostu w ton liryczny.

Szczur wyprostował się pomału i zaczął brać udział w rozmowie. Jego tępe oczy rozjaśniły się i straciły wyraz obojętności.

Po chwili taktowny Kret znikł niepostrzeżenie i wrócił z ołówkiem i kilkoma arkusikami papieru, które położył na stole pod łapką przyjaciela.

— Już bardzo dawno nie pisałeś wierszy — zauważył. — Mógłbyś spróbować dziś wieczorem zamiast... no... zamiast wciąż medytować nad tym wszystkim. Zdaje mi się, że ci ulży, gdy coś naszkicujesz, znajdź choćby tylko rymy.

Szczur niecierpliwie odsunął papier, lecz Kret skorzystał z pierwszej okazji, aby dyskretnie wyjść z pokoju, a gdy zajął po jakimś czasie, Szczur był pochłonięty pracą — zginał dla świata. Na przemian to pisał, to obgryzał koniec ołówka. Co prawda, o wiele częściej obgryzał ołówek, niż gryzmołił, lecz Kret stwierdził z radością, iż kuracja poskutkowała.

ROZDZIAŁ X. DALsze PRZYGOdy ROPUCHA

Drzwi wejściowe do spróchniałego drzewa zwrócone były na wschód, toteż Ropuch obudził się wcześniej. Zbudziły go jasne promienie słońca, a także uczucie dojmującego zimna w nogach, wskutek czego śniło mu się, że był w domu, leżał w łóżku w chłodną zimową noc, we własnej pięknej sypialni z epoki Tudorów, a kołdry wstały, sarkając, i oświadczyły, że już dłużej nie zniosą tego zimna. Potem zbiegły po schodach do kuchni, aby się ogrzać przy kominie, a Ropuch gonił za nimi boso przez nieskończenie długie, lodowate zimne korytarze, wyłożone kamiennymi flizami i błagał, aby były rozsądne. Ropuch zbudziłby się prawdopodobnie o wiele wcześniej, gdyby nie to, że od kilku tygodni sypiał na słomie rozłożonej na kamiennej podłodze i zapomniał prawie o miłym uczuciu, jakie wywołują ciepłe kołdry podciągnięte pod brodę.

Usiadł, przetarł najpierw oczy, a następnie roztarł nieszczęsne łapki i przez chwilę nie mógł sobie uprzytomnić, gdzie się znajduje. Rozglądał się za dobrze znanym kamiennym murem i okratowanym oknem. Potem serce skoczyło mu w piersi i przypomniał sobie wszystko — ucieczkę, pogoń, przypomniał sobie przede wszystkim, że jest wolny!

Wolny! Samo to słowo, sama myśl o wolności warta była pięćdziesięciu kołder. Zrobiło mu się ciepło od głowy aż po czubki palców, gdy pomyślał o rozkosznym świecie, który oczekuje niecierpliwie jego triumfalnego powrotu, gotów służyć mu i pochlebiać, zabiegać o jego względy i dotrzymywać mu towarzystwa, jak bywało dawniej, nim spadło na niego nieszczęście. Otrząsnął się, wycesał palcami suche liście z włosów i zakończywszy w ten sposób toaletę, wyszedł na miłe poranne słońce, skostniały, lecz pewny siebie, głodny, lecz pełen nadziei. Wypoczynek, sen i blask słońca rozproszyły nerwowy strach poprzedniego wieczoru.

W ten letni poranek cały świat należał do Ropucha. Las pokryty rosą był cichy i pusty, gdy się przez niego przedzierał. Zielone pola, które ciągnęły się poza drzewami, czekały na jego rozkazy. Nawet droga, kiedy do niej doszedł, zdawała się jak zbłąkany pies wyglądać niespokojnie towarzystwa w tej ogólnej pustce. Lecz Ropuch ze swej strony szukał kogoś, kto by umiał mówić i powiedział mu wyraźnie, w którą stronę ma się skierować. Dobrze jest iść drogą, tam dokąd ona prowadzi i zaprasza, nie dbając, gdzie się zajdzie, lecz tylko wówczas, jeśli się ma lekkie serce i czyste sumienie, i pieniądze w kieszeni, jeśli się wie, że nikt nas nie szuka, aby wtrącić nas ponownie do więzienia. Ale praktyczny Ropuch, dla którego każda minuta była droga, miał ochotę kopnąć gościniec za jego bezradne milczenie.

Do wiejskiej drożyny przyplątał się wkrótce nieśmiały braciszek pod postacią kanału. Wziął ją za rękę i kłusował przy niej z całym zaufaniem, lecz tak samo jak dróżka zachowywał się względem obcych milcząco i powściągliwie.

— Niech ich licho weźmie! — rzekł do siebie Ropuch. — W każdym razie jestem pewien jednego: oboje skądś przychodzą i dokądś dążą. Nie ma rady, mój chłopcze! — I szedł dalej cierpliwie brzegiem wody.

Spoza zakrętu ukazał się samotny koń, stąpając z wysiłkiem. Pochylał się jakby pod wpływem ciężkich myśli. Od parcianego chomąta⁴⁸ ciągnęła się długa, wyprężona lina, koniec jej nurzał się od czasu do czasu w wodzie lub ociekał perlistymi kroplami, zależnie od ruchów konia. Ropuch pozwolił koniowi przejść, a sam stanął, oczekując, co mu los przyniesie.

⁴⁸chomąto — część uprzęży konia pociągowego, rodzaj wyściełanej drewnianej ramy zakładanej na szyję zwierzęcia. [przypis edytorski]

Obok niego prześlizgnęła się barka. Pruła tępym dziobem cichą wodę, a woda wirowała wkoło niej. Jaskrawo pomalowana górna krawędź barki sunęła na poziomie ścieżki holowniczej, a jedyną osobą na barce była wysoka i tęga kobieta w płóciennym kapeluszu. Jej opalone ramię spoczywało na drążku steru.

— Ładny mamy dziś ranek, proszę pani! — odezwała się kobieta, mijając Ropucha.

— O tak, moja pani! — odpowiedział Ropuch grzecznie, idąc ścieżką równoległą do barki. — Ładny ranek dla tych, co nie znajdują się w tak okropnym położeniu jak ja. Mam córkę zamężną, napisała do mnie list ekspresem, abym natychmiast przyjeżdżała. Więc wyjechałam, nie wiedząc, co się tam stało czy też ma się stać, ale jestem przygotowana na najgorsze. Pani mnie zrozumie, jeśli pani jest matką! Porzuciłam swoje przedsiębiorstwo — bo trzeba pani wiedzieć, że mam pralnię i prasownię — i zostawiłam moje drobne dziatki na łasce losu, a nie ma na świecie bandy łobuzów bardziej psotnej i swawolnej i, moja pani, zgubiłam wszystkie pieniądze, a w dodatku zablądziłam. A o tym, co się dzieje z moją zamężną córką, wolę nawet nie myśleć, moja pani!

— A gdzie mieszka pani córka? — spytała kobieta.

— Mieszka niedaleko stąd, moja pani — odparł Ropuch — w bliskości pięknego domu zwanego Ropuszym Dworem. To gdzieś w tej okolicy. Może pani słyszała o tym dworze?

— Ropuszy Dwór? Ależ ja sama jadę w tamtą stronę — odrzekła kobieta. — Ten kanał łączy się z rzeką nieco ponad Ropuszym Dworem. Stamtąd nietrudno już trafić. Niech pani jedzie ze mną, odwiozę panią.

Skierowała barkę jak najbliżej brzegu, a Ropuch dziękując stokrotnie i pokornie, wstąpił lekko na pokład i usiadł z rozkoszą.

— To pani ma pralnię — zaczęła uprzejmie kobieta, gdy barka popłynęła dalej. — I zapewne dobrą pralnię, jeśli się tak ośmielę wyrazić.

— Najlepszą pralnię w całym hrabstwie — rzekł Ropuch niedbale. — Wszyscy ziemianie przychodzą do mnie, nie poszliby gdzie indziej, choćby im płacono, znają mnie dobrze. Bo widzi pani, ja jestem wykwalifikowana w swoim fachu i sama wszystkiego doglądam. Pranie, prasowanie, krochmalenie, wykańczanie frakowych koszul dla panów — to wszystko robi się pod moim okiem!

— Ale chyba pani sama tego wszystkiego nie robi, moja pani?

— O, mam od tego dziewczęta — powiedział swobodnie Ropuch. — Dwadzieścia dziewcząt mniej więcej i żadnej nie brak roboty. Ale pani wie, co to są dziewczęta! Nieznośne popychadła, takie jest moje zdanie.

— I ja podzielałam to zdanie — zapewniła kobieta z przekonaniem. — Jestem jednak pewna, że pani potrafi trzymać ostro swoje leniuchy. Czy pani bardzo lubi pracować?

— Kocham pranie — powiedział Ropuch. — Po prostu przepadam za nim! Jestem najszczęśliwsza, kiedy zanurzę w balii obie ręce. Co prawda, pranie idzie mi tak łatwo! Nie przedstawia dla mnie żadnego trudu. Czysta przyjemność, moja pani!

— Co to za szczęście, że panią spotkałam! — odezwała się kobieta po namyśle. — To wielkie szczęście dla nas obu!

— Dlaczego? Co pani chce przez to powiedzieć? — spytał zaniepokojony Ropuch.

— Niech pani popatrzy na mnie — odrzekła właścicielka barki. — I ja również lubię pranie, moja pani, zupełnie tak jak i pani. Zresztą wszystko jedno, lubię czy nie lubię, muszę sama pracować swoją bielizną, przy takim koczowniczym życiu. A mój mąż to jest mądrała, wykręca się ciągle od roboty i zostawia mi barkę. Nigdy nie mam wolnej chwili, aby zająć się swoimi sprawami. Przecież powinien teraz tu siedzieć i sterować albo pilnować konia — tylko że na szczęście koń jest rozsądny i bez pilnowania robi co trzeba — a on tymczasem polecał z psem próbować, czy nie uda mu się gdzieś złapać królika na obiad. Powiedział, że mnie dogoni przy następnej służbie. No, ale to może być rozmaicie, ja mu tam nie ufam, kiedy się wymknie z tym psem, który jest jeszcze gorszy od niego. A tymczasem, co ja mam zrobić z praniem?

— Et, co tam pranie! — powiedział Ropuch, któremu nie w smak był ów temat. — Niech no pani pomyśli o króliku. Będzie z pewnością tłusty i młody. A ma pani cebulę?

— Nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o moim praniu — odpowiedziała kobieta — i dziwi mnie, że pani może mówić o królikach, mając przed sobą taką przyjemność. Znajdzie pani stos bielizny w kącie kabiny. Jeśli pani wybierze po parę sztuk

najpotrzebniejszych rzeczy — nie ośmielę się ich opisywać takiej damie jak pani, ale rozpozna je pani od razu — i przepierze je pani w balii podczas naszej przeprawy, będzie to dla pani przyjemność, jak to pani słusznie powiedziała, a dla mnie prawdziwa pomoc. Znajdzie pani przygotowaną balię i mydło, na blasze stoi kocioł, a jest i kubek do nabierania wody z kanału. Będę przynajmniej wiedziała, że pani się bawi, zamiast siedzieć tu bezczynnie i patrzeć na krajobraz, i ziewać od ucha do ucha.

— Niech pani da mi ster! — rzekł Ropuch wystraszony — a pani skończy sobie pranie po swojemu. Mogłabym zniszczyć pani bieliznę albo uprać ją nie tak, jak pani chce. Moja specjalność to męska bielizna, na tym znam się najlepiej!

— Oddać ster! — wykrzyknęła kobieta, śmiejąc się. — Trzeba długiej praktyki, aby dobrze kierować barką. A przy tym to nudne zajęcie, a ja chciałabym pani dogodzić. Nie, weźmie się pani do prania, do swojej ulubionej pracy, a ja zostanę przy sterze, z którym umiem się obchodzić. Cieszy mnie, że pani będzie miała taki bal! Niech pani nie stara się pozbawić mnie przyjemności dogodzenia pani.

Ropuch był przyparty do muru. Rozejrzał się na prawo i lewo, szukając ucieczki, zobaczył, że jest za daleko od wybrzeża, aby móc wyskoczyć, i pogodził się nagle z losem.

„Na co mi przyszło! — pomyślał z rozpaczą. — Przypuszczam jednak, że każdy głupiec potrafi pracować”.

Poszedł do kabiny po balię, mydło i inne potrzebne rzeczy, wybrał na chybił trafił kilka sztuk bielizny i zabrał się do roboty, usiłując przypomnieć sobie, co widział, kiedy zaglądał od czasu do czasu w okna pralni.

Minęło długie pół godziny, a złość Ropucha coraz bardziej się wzmaczała. Nic z tego, co przedsięwziął, nie zdawało się dogadzać bieliznie ani jej udoskonalać. Próbował i pieszczoty, i bicia, i szturchańców, lecz zatwardziała grzesznica nie dała się nawrócić i tylko uśmiechała się do niego z balii. Ropuch obejrzał się parę razy z niepokojem przez ramię na właścicielkę barki, lecz zdawała się patrzeć przed siebie, zajęta sterowaniem. Plecy go bolały i zauważył z przerażeniem, że skóra na jego łapkach zaczyna się marszczyć, a Ropuch był bardzo dumny ze swych łapek. Mruknął pod nosem słowa, które nie powinny nigdy wychodzić z ust praczek ani ropuch, a mydło wyslizgnęło mu się po raz pięćdziesiąty.

Wtem posłyszał wybuch śmiechu. Wyprostował się i obejrzał. Kobieta, przegięta w tył, śmiała się do rozpuku, aż łzy spływały jej po policzkach.

— Przyglądałam się pani przez cały czas — wykrztusiła. — Ja już sobie myślałam, że z pani musi być kawał błagiera, bo tak się pani wychwalała! Ładna z pani praczka! Założyła się, że nie wyprała pani nawet ścierki przez całe swoje życie!

Złość, którą Ropuch dusił w sobie od jakiegoś czasu, zaczęła teraz kipieć — przestał zupełnie panować nad sobą.

— Ty prosta, ordynarna, tłusta babo! — wykrzyknął. — Nie waż się przemawiać w taki sposób do osób stojących znacznie wyżej od ciebie! Praczka! Wiedz, że jestem Ropuchem, powszechnie znanym, szanowanym i niezwykłym Ropuchem! Być może, iż obecnie znajduję się pod wozem, ale nie zniosę, aby właścicielka barki naśmiewała się ze mnie!

Kobieta zbliżyła się i zajrzała bystrym wzrokiem pod czepek Ropucha.

— Rzeczywiście! Ropuch! — wykrzyknęła. — A to dopiero! Obrzydliwy, paskudny, pełzający Ropuch! I to w dodatku na mojej ślicznej, czystej barce! Nie, tego nie zniosę!

Puściła na chwilę ster, wyciągnęła ogromną rękę, schwyła Ropucha za przednią łapkę, a drugą ręką trzymała go mocno za tylną. Potem świat wywrócił się do góry nogami, barka zdawała się sunąć lekko po niebie, wiatr zaświszczał Ropuchowi w uszach, a on sam pofrunął w powietrze, wywracając w drodze koziółki.

Gdy wreszcie wpadł z głośnym pluskiem do kanału, woda okazała się nieco zbyt zimna na jego gust, lecz jej temperatura nie zdołała ostudzić zapalczego gniewu Ropucha ani złamać jego hartu. Wypłynął, parszkając, na powierzchnię, a gdy otarł z oczu źdźbła rzęsy, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była tłusta właścicielka barki, która pokładając się ze śmiechu, spoglądała na niego znad steru. Ropuch, kaszląc i dusząc się, poprzysiągł sobie, że jej odpłaci z nawiązką.

Skierował się ku wybrzeżu, lecz perkalowa suknia bardzo mu w tym przeszkadzała, a gdy wreszcie dopłynął do łądu, było mu ciężko wdrapać się bez niczyjej pomocy na stro-

my brzeg. Musiał odpocząć parę minut, aby zaczerpnąć tchu, a potem zebrawszy w obie ręce mokre spódnice, zaczął biec za barką, ile siły w łapkach, nie posiadając się z gniewu i łaknąc zemsty.

Właścicielka barki śmiała się jeszcze, gdy ją doścignął.

— Wymagłuj się, ty praczko! — zawołała. — Odprasuj sobie twarz i uplisuj ją, będziesz mogła wówczas uchodzić za wcale przystojnego Ropucha!

Ropuch nie raczył odpowiedzieć. Łaknął krwawej zemsty, nie zaś tanich słownych triumfów, choć miał na końcu języka kilka wyrazów, które byłby chętnie wypowiedział. Widział przed sobą to, o co mu chodziło. Biegnąc szybko, dogonił konia, odwiązał i odrzucił linę, skoczył lekko na grzbiet szkapy i zmusił ją do galopu silnym kopaniem po bokach. Porzucił ścieżkę holowniczą i zwrócił konia na dróżkę o głębokich koleinach, kierując się w głąb łądu. Raz się tylko obejrzał i zobaczył, że barka ugrzęzła po drugiej stronie kanału, a jej właścicielka wymachuje rozpaczliwie rękami i krzyczy:

— Stój! Stój! Stój!

— Znam tę piosenkę, nie pierwszy raz ją słyszę — roześmiał się Ropuch, dodając koniowi „ostrogę” w pełnym galopie.

Szkapa nie była zdolna do dłuższego wysiłku i galop jej przeszedł niebawem w kłus, a kłus w stęp, lecz Ropucha to nie martwiło. Wiedział, że w każdym razie posuwa się naprzód, a barka stoi w miejscu. Złość przeszła mu teraz, kiedy dokonał czynu prawdziwie w jego mniemaniu mądrego. Przyjemnie mu było jechać w słońcu, korzystając ze ścieżek i polnych drożyn; usiłował zapomnieć, że już dużo czasu upłynęło od chwili, gdy spożył ostatni porządną posiłek. Kanał zostawił bardzo daleko za sobą.

W ten sposób oboje ze szkapą ujechali kilka mil i Ropuch drzemał w gorącym słońcu. Wtem koń stanął, pochylił łeb i zaczął skubać trawę. Ropuch, budząc się nagle, omal nie spadł na ziemię. Rozejrzawszy się wkoło, spostrzegł, że dojechali do rozległego pastwiska, usianego jak okiem sięgnąć krzakami paproci i cierni. Niedaleko stał odrapany cygański wóz, a obok na odwróconym ceberku siedział człowiek bardzo zajęty paleniem i zapatrzony w szeroki świat. Opodal płonęło ognisko, nad ogniem wisiał żelazny kocioł, a z kotła wydobywało się perkotanie i bulgotanie, i nieokreślona, lecz obiecująca para. Dochodziły stamtąd różnorodne zapachy — gorące i smakowite, zapachy kręciły się i wiły, aż wreszcie splotły się w jedną, znakomitą, rozkoszną woń, która zdawała się wcieleniem duszy przyrody, objawionej swym dzieciom, przyrody, matki dosytu i zadowolenia. Ropuch przekonał się teraz, że nigdy dotychczas nie był naprawdę głodny. To, czego doznawał z rana, było zaledwie lekką czczością. Dopiero teraz przyszedł prawdziwy głód, który należało szybko zaspokoić, gdyż mogło się to źle skończyć dla kogoś czy dla czegoś. Obejrzał dokładnie Cygana, zastanawiając się, co łatwiej przyjdzie: zwalczyć go czy też ugłaskać. Siedział więc Ropuch, węszył i wciągał zapach, i patrzył na Cygana, Cygan zaś siedział i palił, i patrzył na Ropucha.

Po chwili Cygan wyjął z ust fajkę i spytał od niechcienia:

— Chce pani sprzedać tego konia?

Ropuch był zaskoczony. Nie wiedział, że Cyganie bardzo lubią handlować końmi i nie ominą po temu żadnej sposobności. Nie zastanowił się, że wozy cygańskie są w ciągłym ruchu i potrzebują kogoś, kto by je ciągnął. Nie przyszło mu na myśl wymienić konia na pieniądze, lecz propozycja Cygana zdawała się torować drogę ku dwóm rzeczom niezmiernie mu potrzebnym: ku pieniądżom i porządnemu śniadaniu.

— Co? — zapytał. — Ja mam sprzedać mego ślicznego, młodego konia? O nie, to wykluczone! A kto by co tydzień rozwoził bieliznę moim klientom? Przy tym zanadto się do niego przywiązałam, a on po prostu za mną przepada.

— Niech pani spróbuje przywiązać się do osła — podsunął Cygan. — To się zdarza u ludzi.

— Chyba nie widzicie — ciągnął dalej Ropuch — że ten mój piękny rumak jest dla was w ogóle za wspaniały. To koń pełnej krwi. Tak, tak, częściowo pełnej krwi. Ta szlachetna krew nie płynie oczywiście z tej strony, z której go teraz oglądacie, tylko z innej. To koń, który w swoim czasie otrzymywał nagrody na wyścigach, nie znajecie go wówczas, pewno, ale to widać na pierwszy rzut oka, jeżeli ktoś zna się cokolwiek na koniach. Nie, ani mi w głowie go sprzedawać. Powiedzcie jednak, ile moglibyście mi ofiarować za tego prześlicznego, młodego wierzchowca?

Handel

Cygan obejrzał konia, a potem z równą uwagą przyjrzał się Ropuchowi i znów spojrzął na konia.

— Szylinga od nogi — rzekł krótko i odwrócił się, paląc w dalszym ciągu i przyglądając się bacznie widokowi przed sobą, jakby go nic innego nie obchodziło.

— Szylinga od nogi! — wykrzyknął Ropuch. — Zaraz, poczekajcie chwilę, muszę się zastanowić, ile to wyniesie.

Zlął z konia, puścił go na pastwisko, usiadł obok Cygana i liczył na palcach, a wreszcie powiedział:

— Szylinga od nogi? Przecież to wynosi równe cztery szylingi, nie więcej. O nie! Ani myślę zgodzić się na cztery szylingi za tego pięknego, młodego konia.

— A więc — rzekł Cygan — powiem pani, co zrobimy. Dam pani pięć szylingów, czyli trzy szylingi i sześć pensów więcej, niż to zwierzę jest warte. To moje ostatnie słowo.

Ropuch siedział i zastanawiał się długo i głęboko. Bo przecież był głodny i bez grosza, a do domu miał kawał drogi — nie wiedział ile — a nieprzyjaciele mogli go jeszcze szukać. W takiej sytuacji pięć szylingów wydaje się dużą sumą. Z drugiej strony, nie było to chyba wiele za konia. Ale znów koń nic go nie kosztował, więc cokolwiek za niego otrzyma, będzie czystym zyskiem. Wreszcie odezwał się stanowczo:

— Słuchajcie no, Cyganie! Powiem wam, co zrobimy. I to moje ostatnie słowo. Wyłożycie sześć szylingów i sześć pensów gotówką, a w dodatku dacie mi na śniadanie, ile zdołam zjeść za jednym posiedzeniem z tego waszego żelaznego kotła, z którego dobywa się taki rozkosznie podniecający zapach. Ja wam w zamian przekazę mego ognistego, młodego konia wraz z piękną uprzężą i ozdobami, które na nim widzicie, i to już bez żadnej dopłaty. Jeśli wam tego mało, pojedę dalej. Jest tu niedaleko człowiek, który już od lat chce kupić mego konia.

Cygan strasznie narzekał i oświadczył, że jeszcze kilka podobnych transakcji, a będzie zrujnowany, ale w końcu wyciągnął brudną płócienną torbę z głębi kieszeni w spodniach i wyliczył na łapę Ropuchowi sześć szylingów i sześć pensów. Potem znikł na chwilę w wozie i wrócił z dużym blaszanym talerzem, nożem, widelcem i łyżką. Przechylił kocioł, a wspaniały potok gorącej, smakowitej potrawy spłynął na talerz. Była to zaiste najlepsza potrawka świata! Składały się na nią bażanty i kuropatwy, i kurczęta, i zające, i króliki, i pawie, i perliczki, i jeszcze parę innych rzeczy. Ropuch niemal ze łzami wziął talerz na kolana i wsuwał, wsuwał, wsuwał, i wciąż prosił o jeszcze, a Cygan wcale mu nie żałował. Ropuch w życiu nie jadł tak dobrego śniadania.

Gdy nafaszerował się potrawką tak, że już więcej nie mógł zmieścić, wstał, pożegnał się z Cyganem, a także, bardzo serdecznie, również z koniem. Cygan — jako że dobrze znał wybrzeże — wskazał mu, którądy ma iść, i Ropuch wyruszył w drogę w jak najlepszym humorze. Był to teraz zupełnie inny Ropuch niż Ropuch sprzed godziny. Słońce świeciło jasno, mokre ubranie wyschło, miał znowu pieniądze w kieszeni, zbliżał się do domu, do przyjaciół i bezpieczeństwa, a co najważniejsze — spożył solidny posiłek, gorący, pożywny. Czuł się wielki i silny, i beztronski, i pewny siebie.

Wędrując w świetnym humorze, rozmyślał nad swymi przygodami i nad tym, że kiedy wszystko układało się jak najgorzej, zawsze znajdował jakieś wyjście. Pycha i zarozumiałość zaczęły w nim zbierać.

— Ho, ho! — mówił sobie, krocząc z brodą zadartą do góry. — Jaki ze mnie mądry Ropuch! Nie ma z pewnością na całym świecie zwierzęcia równie mądrego jak ja! Nieprzyjaciele zamknęli mnie w więzieniu, otoczyli strażą, dozorczy pilnowali mnie dzień i noc, a ja wbrew temu wszystkiemu wydostałem się dzięki sprytowi połączonemu z odwagą. Gonili mnie parowozami i z pomocą policji i rewolwerów, a ja tylko pstryknąłem palcem i rozpląnąłem się ze śmiechem w powietrzu. Zostałem, niestety, wrzucony do kanału przez kobietę o tłustym cielsku i złośliwej duszy, i co z tego? Dopłynąłem do brzegu, schwyciłem jej konia, odjechałem w triumfie i sprzedałem konia za pełną kieszeń pieniędzy i za doskonale śniadanie! Ho, ho! Jestem Ropuch! Piękny Ropuch! Powszechnie lubiany Ropuch! Znany szczęściarz! Ropuch!

Zarozumiałość tak go poniosła, że skomponował pieśń pochwalną na swoją cześć i wyśpiewywał ją na cały głos, choć nie było nikogo, kto by mógł ją słyszeć. Żadne zwierzę nie skomponowało nigdy pieśni tak przepojonej pychą jak ta pieśń Ropucha:

Jedzenie

Śpiew, Pycha

W ciągu wieków ludzkość cała
Niejednego zucha miała,
Lecz większego nie ma zucha
Ponad niego... nad Ropucha!

W ciężkim znoju, w wielkim trudzie
Zdobywają mądrość ludzie.
Jakże wiedza ich jest krucha,
Gdy się wgłębisz w mózg Ropucha!

Kiedy w arce ród zwierzęcy
Z płaczem rzewnym czekał tęczy,
Kto zawołał: „Ziemia sucha!”?
To zasługa jest Ropucha.

Cała armia salutuje,
Kiedy drogą maszeruje.
Króla widzi, wodza, ducha?
Wiedzą wszyscy, że Ropucha.

Zadumała się królowa,
W oknie siedzi, boli głowa.
„Ach, jakąż tu cisza głucha!
Paziu, skocz no po Ropucha”.⁴⁹

Było jeszcze o wiele więcej strofek w tym rodzaju, ale tamte są pełne tak straszliwej zarozumiałości, że nie nadają się do druku. Te, które przytoczyłem, wydały mi się najbardziej umiarkowane.

Ropuch śpiewał, idąc, a śpiewając, maszerował dalej i z każdą chwilą coraz bardziej się puszył. Lecz jego dumę czekała niebawem przykra porażka.

Po przebyciu kilku mil bocznymi drózkami dotarł do szosy, a kiedy na nią skręcił i spojrzął wzdłuż białej wstęgi, zobaczył, że zmierza w jego stronę mała cętka, która zmienia się w większą kropkę, a potem w kleks, a potem w coś znajomego i wreszcie podwójna nuta ostrzegawczego sygnału, aż nadto dobrze znana Ropuchowi, wpadła w jego zachwycone ucho.

— O, to rozumiem! — powiedział w podnieceniu. — To jest prawdziwe życie, wielki świat, który tak długo musiał się beze mnie obywać! Zatrzymam tych moich kolegów po fachu i puszcę im parę blag z rodzaju tych, które osiągały dotychczas takie powodzenie. Oczywiście podwiozą mnie, ja wówczas będę ich w dalszym ciągu nabierał, a przy odrobinie szczęścia skończy się może na tym, że zajadę samochodem do Ropuszego Dworu! Borsuk dostanie po nosie!

Z wielką pewnością siebie wystąpił na środek szosy, aby zatrzymać samochód, który szybko się zbliżał, lecz zwolnił, podjeżdżając do polnej dróżki. Nagle Ropuch zbladł straszliwie, serce w nim zamarło, kolana zadrżały i ugięły się pod nim, zrobiło mu się słabo, zwinął się i upadł. Nic w tym dziwnego: biedne zwierzę poznało w zbliżającej się maszynie samochód, który skradło na dziedzińcu hotelu pod Czerwonym Lwem w ten nieszczęsny dzień, kiedy zaczęły się wszystkie jego biedy! Podróżni zaś w samochodzie byli to ci sami ludzie, którym Ropuch przyglądał się podczas śniadania w kawiarni.

Ropuch leżał na ziemi na kształt nędznej, nieszczęsnej szmatki i szeptał do siebie z rozpaczą:

— Wszystko przepadło! Już teraz po wszystkim! Znowu policja i kajdany! Znowu więzienie! Znowu chleb i woda! O, jaki głupiec ze mnie! Trzeba mi było stąpać z pychą po ziemi, wyśpiewując pieśni pełne zarozumiałości, i w biały dzień zastępować ludziom

Wina, Rozpacz

⁴⁹W ciągu wieków ludzkość cała... — przekład Zofii Baumanowej. [przypis redakcyjny]

drogę, zamiast kryć się, póki nie zapadnie noc, i wrócić spokojnie, chyłkiem do domu? O, nieszczęsny Ropuchu! O, pechowy Ropuchu!

Straszliwy samochód podjeżdżał coraz bliżej, aż Ropuch wreszcie usłyszał, że zatrzymał się tuż przy nim. Dwóch panów wysiadło i obeszło wokoło drżącą, nędzną kupeczką leżącą na szosie, a jeden z nich powiedział:

— Mój Boże! Jakie to smutne! Staruszka, najwidoczniej praczka, zemdlona na drodze! Może biedaczce zrobiło się słabo z gorąca, a może nic dziś nie jadła. Weźmy ją do samochodu i podwieźmy do najbliższej wsi, ma tam z pewnością przyjaciół.

Zanieśli Ropucha troskliwie do samochodu, otoczyli go miękkimi poduszkami i wyruszyli w drogę.

Gdy Ropuch usłyszał, że przemawiają z taką dobrocią i litością, i upewnił się, że go nie poznali, wstąpiła w niego otucha: otworzył ostrożnie najpierw jedno oko, a potem drugie.

— Popatrzcie! — odezwał się jeden z panów — Już jej lepiej. Świeże powietrze dobrze na nią działa. Jak pani się czuje?

— Stokrotnie panu dziękuję — odparł Ropuch słabym głosem. — Jest mi znacznie lepiej!

— To doskonale — rzekł właściciel samochodu. — Niech pani siedzi spokojnie, a przede wszystkim niech pani nie rozmawia.

— Nie będę mówiła — powiedział Ropuch. — Myślę tylko, że gdybym mogła usiąść na przednim siedzeniu obok szofera, świeże powietrze owiewałoby mi całą twarz i zrobiłoby mi się niedługo całkiem dobrze.

— Jaka to rozsądna kobieta! — zauważył właściciel samochodu. — Oczywiście, że panią tam umieścimy.

Pomogli Ropuchowi przedostać się na przednie siedzenie i pojechali dalej.

Ropuch zupełnie odzyskał siły. Usiadł prosto i rozejrzał się, usiłując poskromić drżenie, tęsknotę i dawne zachcianki, które zbudziły się, opętały go i zawładnęły nim niepodzielnie.

— To przeznaczenie! — powiedział sobie. — Nie ma co z tym walczyć! — I zwrócił się do siedzącego obok szofera.

— Proszę pana — rzekł — chciałabym, aby pan pozwolił mi łaskawie spróbować poprowadzić samochód. Przyglądałam się panu uważnie, wydaje mi się to takie łatwe i zajmujące. Chciałabym móc powiedzieć moim przyjaciołom, że raz w życiu kierowałam samochodem!

Szofer roześmiał się tak serdecznie na tę propozycję, że właściciel samochodu zapytał, co się stało, a usłyszawszy odpowiedź, powiedział ku radości Ropucha:

— Brawo, moja pani! Podoba mi się pani animusz. Można jej pozwolić na tę próbę. Uważajcie tylko na nią. Przecież szkody nie zrobi.

Ropuch skwapliwie wdrapał się na miejsce opuszczone przez szofera, ujął w łapy kierownicę, wysłuchał z udaną pokorą wskazówek i puścił w ruch motor. Z początku jechał bardzo wolno i uważnie, bo postanowił sobie być ostrożny.

Panowie na tylnym siedzeniu klaskali w ręce, a Ropuch słyszał, jak mówili.

— Doskonale się do tego zabiera! Pomyśleć tylko, że praczka tak zręcznie prowadzi samochód, i to próbując po raz pierwszy!

Ropuch pojechał trochę szybciej, a potem prędej i coraz prędej.

Usłyszał, że właściciel samochodu zawołał ostrzegawczo:

— Ostrożnie, moja praczko!

To go rozgniewało i zaczął tracić głowę.

Szofer usiłował Ropuchowi przeszkodzić, lecz ten przygwoździł szofera łokciem do siedzenia i ruszył pełnym gazem.

Pęd powietrza, warkot motoru i lekkie drganie samochodu uderzyły Ropuchowi do słabego łebka i upoiły go.

— Praczka! Nic podobnego! — wykrzyknął nieopatrznie. — Cha, cha! Jestem Ropuch, ten, co uprowadza samochody, co kruszy zamki więzienia! Ropuch, który zawsze potrafi umknąć! Siedźcie spokojnie, poznacie prawdziwego kierowcę! Jesteście w rękach sławnego, zręcznego, nieustraszonego Ropucha!

Katastrofa

Podróźni zerwali się i z krzykiem oburzenia rzucili się na Ropucha.

— Chwytać go! — zawołali. — Chwytać Ropucha, to podle zwierzę, które skradło nasz samochód! Związać go! Okuć w kajdany! Zawlec do najbliższego posterunku policji! Precz ze zbrodniarzem, z niebezpiecznym Ropuchem!

Niestety! powinni byli zastanowić się, powinni zachować większą ostrożność i pomyśleć zawczasu, aby w jakiś sposób zatrzymać samochód, nim zaczęli wyprawiać takie sztuki. Ropuch półobrotem kierownicy skręcił w bok i wjechał na niski żywopłot okalający szosę. Samochód dał potężnego susa, podróżni podskoczyli gwałtownie, a koła samochodu ubijały gęsty muł przydrożnej sadzawki do pławienia koni.

Ropuch wyleciał w powietrze, wznosząc się prosto w górę i zakreślając delikatny łuk niby jaskółka. Ów ruch podobał mu się i właśnie zastanawiał się, czy będzie leciał tak długo, aż wyrosną mu skrzydła i przerodzi się w Ropucha-ptaka, kiedy z głośnym pląśnięciem padł na plecy w bujną trawę łąki.

Po chwili usiadł i zobaczył samochód niemal zatopiony w sadzawce, a obu panów i szofera, którym przeszkadzały długie płaszcze, usiłujących daremnie wydostać się z wody.

Zerwał się szybko i zaczął biec na przełaj przez pola, ile tylko miał sił. Przełaził przez płoty, przeskakiwał rowy, aż zmęczył się, zadyszał i musiał zwolnić biegu. Gdy odsapnął nieco i mógł spokojnie zebrać myśli, zaczął chichotać, a potem śmiać się do rozpuku i tak się śmiał, że aż musiał usiąść pod płotem.

— Cha! Cha! Cha! — wołał zachwycony sobą. — Ropuch znowu górą! Tak zwykle bywa! Kto zmusił ich, aby podwieźli Ropucha? Kto wydostał się na przednie siedzenie pod pozorem zaczerpnięcia świeżego powietrza? Kto namówił ich, aby pozwolili Ropuchowi kierować samochodem? Kto zawiózł ich do sadzawki? Kto umknął, uniósłszy się swobodnie i bez szwanku w powietrze, a zostawił bojaźliwych, mściwych podróżnych w błocie, gdzie słusznie powinni tkwić? Ropuch, oczywiście, że Ropuch! Mądry Ropuch! Wielki Ropuch! Dobry Ropuch!

I znowu zaczął śpiewać, śpiewał na cały głos:

Do sadzawki auto pędzi.
Co to będzie? Co to będzie?
Kto potrafi tak grać zucha?
Ach, poznaję spryt Ropucha!

— O, jaki jestem mądry! Jaki mądry! Jaki mą...

Uszu Ropucha doszedł z oddali hałas, na który odwrócił łebek. Okropność! Nieszczęście! Rozpacz!

Zobaczył, że szofer w wysokich skórzanych sztylpach i dwóch barczystych wiejskich policjantów gonią go co sił, a od Ropucha dzieli ich zaledwie szerokość dwóch pól.

— Oj, oj, oj! — wykrztusił, biegnąc zadyszany. — A to osioł ze mnie! Zarozumiały osioł bez głowy! Znowu się przechwalałem! Znowu wrzeszczałem i wyśpiewywałem pieśni! O rety! rety! rety!

Obejrzał się i stwierdził ku swemu przerażeniu, że go doganiają. Biegł co sił w łapkach, ale oglądał się wciąż i widział, iż pościg stale się zbliża. Wydobywał resztki sił, lecz był zwierzęciem otyłym, o krótkich łapkach, a tamci coraz bardziej się zbliżali. Czuł ich obecność tuż za sobą. Przestał zważać, dokąd biegnie, kłusował zawzięcie na ślepo, oglądając się przez ramię na triumfujących wrogów, kiedy nagle ziemia umknęła mu spod łapek, chwycił się kurczowo powietrza i plusk! Wpadł powyżej uszu w głęboką, bystrą wodę, która poniosła go z niezwalczoną siłą. Uświadomił sobie, że w panicznym strachu wbiegł prosto do Rzeki!

Wyplął na powierzchnię i starał się chwycić trzciny lub szuwarów rosnących tuż pod skrajem wybrzeża, lecz prąd był tak silny, że wydzierał mu je z łapek.

— O, rety! — wydyszał biedny Ropuch. — Nigdy już nie ukradnę samochodu! Nigdy nie wyśpiewam pieśni pełnej zarozumiałości...

Znów poszedł na dno i wyplął, krztusząc się i dławiąc. Po chwili zobaczył, że zbliża się do dużej, ciemnej jamy, położonej na brzegu nieco powyżej jego łebka. Gdy prąd przeniósł go obok, wyciągnął łapkę i chwycił się za krawędź jamy. Potem wolno i z trudem

Pycha

Śpiew, Pycha

Ucieczka

podciągnął się ponad wodę, aż wreszcie zdołał oprzeć się łokciami o brzeg. Tkwił tak przez parę minut, dysząc i sapiąc, gdyż był zupełnie wyczerpany.

Gdy sapiał i prychał, patrząc przed siebie w ciemną czeluść nory, coś zabłyśło i mrugnęło w jej głębi, coś małego i jasnego, co ruszyło w stronę Ropucha. Gdy to „coś” zbliżyło się, ukazał się zarys pyszczka, i to pyszczka dobrze mu znanego!

Mały, brązowy pyszczek z wąsami. Poważny, okrągły pyszczek o zgrabnych uszkach i jedwabistych włosach.

Był to Szczur Wodny!

ROZDZIAŁ XI. „POLAŁY SIĘ JEGO ŁZY NIBY WIOSENNY DESZCZ”

Szczur wyciągnął kształtną, brązową łapkę, chwycił Ropucha za kark, szarpnął, pociągnął mocno i zmoknięty Ropuch wznosił się wolno, lecz pewnie ponad krawędź nory, aż wreszcie stanął w holu, cały i zdrów. Był umazany błotem i oblepiony zielskiem, a woda ściekała z niego strumieniami, lecz czuł się wesół i szczęśliwy jak dawniej, gdy znalazł się znowu w domu przyjaciela. Czas ucieczek i forteli przeminął i Ropuch mógł odłożyć na bok przebranie niegodne jego stanowiska, przebranie, które musiał nosić z odrazą.

— O Szczurku! — zawołał. — Nie możesz sobie wyobrazić, co ja przeszedłem od czasu, kiedy cię widziałem po raz ostatni! Tyle nieszczęść! Tyle cierpień znoszonych z godnością! A te ucieczki! Te przebrania, fortele, a wszystko niezwykle mądrze obmyślane i równie mądrze wykonane. Byłem w więzieniu i — ma się rozumieć — wydostałem się stamtąd! Wrzucono mnie do kanału — i dopłynąłem do brzegu! Ukradłem konia — i sprzedałem go za dużą sumę! Nabrałem wszystkich — i zmusiłem ich, aby robili to, co chciałem! O, nie ulega wątpliwości, że sprytny ze mnie Ropuch! Wiesz, jaki był mój ostatni wyczyn? Poczekaj, zaraz ci opowiem.

— Ropuchu — rzekł Szczur poważnie i stanowczo — idź w tej chwili na górę, zdejmij tę perkalową szmatę, która wygląda jakby należała do jakiejś praczki, umyj się, włóż jedno z moich ubrań i postaraj się, o ile możliwe, nabrać wyglądu dżentelmena, gdyż moje oczy nie oglądały w życiu równie obszarpanego, zaszarganego i nędznego stworzenia! Dość tych przechwałek, dość pychy, marsz! Później coś ci powiem.

Ropuch w pierwszej chwili chciał zostać i ostro odpowiedzieć Szczurowi. Wciąż nim komenderowali, gdy siedział w więzieniu, a tu zaczyna się znowu to samo i na dodatek rozkazy wydaje jakiś tam Szczur! Lecz spostrzegł swoje odbicie w lustrze wiszącym nad półką od kapeluszy, zobaczył wyrudziały czeppek, zsunięty na jedno oko i zmienił zdanie. Poszedł szybko i pokornie na górę do ubieralni Szczura. Tam wymyślił się i oczyścił dokładnie, zmienił ubranie i przez długi czas stał i przeglądał się w lustrze z przyjemnością i dumą. Myślał sobie: „Co to za idioci, ci wszyscy ludzie, którzy choć przez chwilę mogli mnie brać za praczkę”.

Gdy zszedł na dół, drugie śniadanie stało na stole. Ropucha bardzo ucieszył ten widok, bo wiele przeżył i niemało użył ruchu od czasu znakomitego śniadania, które dał mu Cygan. Podczas jedzenia opowiedział Szczurowi wszystkie swoje przygody, kładąc główny nacisk na własną mądrość, na przytomność umysłu okazywaną w nagłej potrzebie i na przebiegłość, którą się ratował, gdy było z nim krucho. Przedstawiał wszystko w taki sposób, że jego przeżycia wydawały się wesołe i bardzo urozmaicone. Lecz im dłużej mówił i przechwalał się, tym Szczur stawał się poważniejszy i bardziej milczący.

Gdy wreszcie Ropuch umilkł, zapanowała chwila ciszy, a potem Szczur odezwał się:

— Mój Ropuszku, nie chciałbym ci robić przykrości po tym wszystkim, co ci się przydarzyło, ale mówiąc poważnie, czy ty nie czujesz, jakiego robisz z siebie osła? Sam przyznajesz, że byłeś zakuty w kajdany, uwięziony, zagłodzony, że za tobą gonili, że byłeś śmiertelnie przerażony, że cię znieważali, kpili z ciebie i że wreszcie zostałeś sromotnie wrzucony do wody i to przez kogo? — przez kobiety! Cóż w tym zabawnego? Gdzie tu przyjemność? A wszystko dlatego, że zachciało ci się ukraść samochód. Wiesz dobrze, że od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyłeś auto, samochody przyczyniały ci samych strapienia. Ale jeśli chcesz koniecznie zostawiać szczątki maszyn już w pięć minut po wyruszeniu w drogę, jak zwykle bywa — czyż mają to być właśnie szczątki kradzionego auta? Bądź sobie kaleką, jeśli uważasz to za przyjemność, bądź dla odmiany bankrutem, jeśli

już tak postanowiłeś. Ale po co masz być więźniem? Kiedy nabierzesz wreszcie rozsądku? Kiedy pomyślisz o swych przyjaciółach i postarasz się przynosić im zaszczyt? Czy myślisz, że jest mi przyjemnie, gdy słyszę, chodząc po świecie, jak zwierzęta o mnie mówią: „To ten facet, który trzyma z przestępcami”?

Ropuch był na szczęście stworzeniem na wskroś dobronurym i nie obrażał się nigdy, gdy go strofowali prawdziwi przyjaciele. A jeśli nawet bardzo się do czegoś zapalił, dostrzegał zawsze i odwrotną stronę medalu. Więc chociaż podczas poważnej przemowy Szczura buntował się i powtarzał po cichu: „To było jednak przyjemne! Bardzo przyjemne!” i wydawał dziwne odgłosy: „kikkki” i „poop-p-p”, i jeszcze inne dźwięki, podobne do powstrzymywanego parskania lub do odgłosów, jakie wydają otwierane butelki z wodą sodową, jednak kiedy Szczur zamilkł, Ropuch westchnął głęboko i powiedział bardzo grzecznie:

— Masz słuszność, Szczurku! Jaki ty jesteś zawsze rozsądny! Tak, byłem zarozumiałym osłem, widzę to. Ale od tej chwili stanę się porządnym Ropuchem, tamto się więcej nie powtórzy, do samochodów już się tak gwałtownie nie palę od ostatniego nurkowania w tej twojej Rzece. Gdy wisiałem na krawędzi twojej nory i ledwie mogłem pochwycić oddech, przyszedł mi nagle pomysł, świetny pomysł, co do łodzi motorowych. No, no, nie irytuj się, mój stary, nie tup łapkami, nie przewracaj wszystkiego, to był tylko pomysł, o którym nie będziemy teraz mówili. Wypijemy kawę, wypalimy papierosy, porozmawiamy, a potem pójdę pomaleńku do Ropuszego Dworu, włożę własne ubranie i puszcę wszystko w ruch tak jak dawniej. Dość już miałem przygód. Będę teraz prowadził spokojne, stateczne, rozsądne życie. Zajmę się ulepszeniem gospodarstwa i od czasu do czasu ogrodnictwem. Znajdzie się u mnie zawsze jakiś obiad, gdy przyjaciele przyjdą mnie odwiedzić. Kupię sobie konia i wózek, którym będę trząsł się po okolicy, jak za dawnych dobrych czasów, nim opanował mnie niepokój i zachciało mi się dokonywać jakichś czynów.

— Pójdiesz pomaleńku do Ropuszego Dworu? — krzyknął Szczur, bardzo podniecony. — Co ty mówisz? To ty nic nie wiesz?

— Czego nie wiem? — spytał Ropuch, błędąc. — Dalej, Szczurku! Mów prędzej! Nie oszczędzaj mnie! Czego nie wiem?

— Czy ty chcesz powiedzieć — wrzasnął Szczur, bijąc pięścią w stół — że nic nie słyszałeś o Łasicach i Tchorzach?

— Co? O mieszkańcach Puszczy? — przerwał Ropuch, drżąc na całym ciele. — Nic nie słyszałem! Cóż oni zrobili?

— I o tym, jak te zwierzęta opanowały Ropuszy Dwór? — ciągnął Szczur dalej.

Ropuch oparł łokcie na stole, brodę położył na łapach, a w każdym jego oku zebrała się duża łza. Potem łzy spłynęły i spadły na stół: kap! kap!

— Mów dalej, Szczurku — szepnął po chwili — Powiedz mi wszystko. Najgorsze już minęło. Jestem znów zwierzęciem, mogę znieść wiele.

— Gdy ty wpadłeś w tę... tę... twoją biedę — podjął Szczur wolno i z naciskiem — to znaczy, gdy... zniknąłeś z towarzystwa z powodu nieporozumień o ten... ten samochód, co to wiesz...

Ropuch skinął łebkiem.

— Dużo się o tym oczywiście mówiło — ciągnął dalej Szczur — nie tylko na Wybrzeżu, ale i w Puszczy. Zwierzęta, jak to zwykle bywa, podzieliły się na dwa obozy. Wybrzeżowcy wzięli twoją stronę, uznali, że ludzie podle się z tobą obeszlą, że nie ma teraz sprawiedliwości na ziemi. Ale mieszkańcy Puszczy wymyślali na ciebie, twierdząc, iż dobrze ci tak, czas już położyć kres wybrykom tego rodzaju. Nabrali pewności siebie, chodzili i rozpowiadali, że już tym razem koniec, że nie powrócisz nigdy, nigdy.

Ropuch w milczeniu raz jeszcze skinął łebkiem.

— Takie to są paskudne stworzenia — mówił dalej Szczur. — Ale Borsuk i Kret utrzymywali wbrew wszystkiemu, że wrócisz niedługo, nie wiedzieli, jak się to stanie, ale mówili, że wrócisz.

Ropuch wyprostował się nieco na krześle i uśmiechnął się.

— Przytaczali przykłady z historii — ciągnął Szczur. — Mówili, że prawa karne były zawsze bezsilne wobec bezczelności i forteli podobnych do twoich i potęgi, jaką stanowi dobrze wypchana kiesa. Postanowili więc swoje rzeczy przenieść do Ropuszego Dworu

i spać tam, i przewietrzać dom, i mieć wszystko gotowe na twój przyjazd. Nie przeczuwali, ma się rozumieć, co się stanie, ale mieli pewne podejrzenia co do zwierząt z Puszczy. A teraz przechodzę do najsmutniejszej, najbardziej tragicznej części mego opowiadania. Pewnej ciemnej nocy — a była to bardzo ciemna noc, wiatr wyl i lało jak z cebra — banda Tchorzów, uzbrojonych od stóp do głów, podkraśla się cicho aleją wjazdową do głównego wejścia. Równocześnie partia Kun, zdecydowanych na wszystko, przedostała się przez ogród warzywny, opanowując tylne podwórze i oficyny, podczas gdy podjazdowa kompania Łasic, które nie cofają się przed niczym, zajęła oranżerię i pokój bilardowy i zdobyła oszklone drzwi wychodzące na trawnik. Kret i Borsuk siedzieli w gabinecie przy kominku, opowiadając sobie różne historyjki i nic nie podejrzewając, gdyż nie była to noc odpowiednia na wędrówki zwierząt, kiedy ci krwiożerczy nędznicy wylamali drzwi i runęli na nich ze wszystkich stron. Nasi przyjaciele walczyli wedle sił i możliwości, ale nadaremnie. Nie mieli broni, zaskoczono ich niespodziewanie, a przy tym cóż mogą zdziałać dwa zwierzątka przeciwko setkom? Bezlitośnie zbici kijami, zostali wyrzuceni na dwór, na deszcz i zimno, a w dodatku obelżywie im nawymyślano i naurągano.

W tym miejscu nieczuły Ropuch uśmiechnął się z ironią, lecz się szybko opanował, usiłując przywołać na pyszczek wyraz niezmiernej powagi.

— I od tamtej pory mieszkańcy Puszczy siedzą w Ropuszym Dworze i gospodarują tam, jak im się żywnie podoba — mówił dalej Szczur. — Pół dnia wylegują się w łózkach, śniadanie jadają o rozmaitych porach, a dom jest w takim stanie (jak mi mówiono), że wprost patrzeć na niego nie można. Zjadają twoje zapasy, piją twoje wina, dostarczają im tematu do głupich żartów, śpiewają ordynarne piosenki o... o więzieniach, urzędach, policji. Ohydne piosenki, całkiem niedowcipne, z osobistymi aluzjami. I rozpowiadają dostawcom i wszystkim innym, że się wprowadzili na dobre.

— Ach, więc to tak! — zawołał Ropuch, wstając i chwytając za kij. — Zaraz zrobię z tym porządek!

— Nic nie poradzisz, Ropuchu! — krzyknął za nim Szczur. — Wróć lepiej i usiądź, ściągniesz tylko na siebie jakąś biedę.

Lecz Ropuch wybiegł i nie dał się zatrzymać. Maszerował szybko drogą, z kijem na ramieniu, sierzając się i mrucząc ze złości, aż dotarł do bramy wjazdowej swego dworu. Raptem znad ogrodzenia wyrzała żółta kuna, uzbrojona w karabin.

— Kto idzie? — spytała ostro.

— Terefere! — odrzekł Ropuch ze złością. — Cóż to za sposób przemawiania do mnie. Wylaż stamtąd w tej chwili albo...

Kuna nie odpowiedziała ani słowa, tylko wycelowała w niego karabin. Ropuch przeczornie padł na ziemię i wzzz! kula świsnęła mu nad łebkiem.

Zaskoczony Ropuch zerwał się na równe łapy i puścił biegiem, ile tylko miał sił. Za sobą słyszał śmiech kuny i inne wstrętne śmieszki, które mu wtórowały.

Wrócił bardzo zgębiony i wszystko opowiedział Szczurowi Wodnemu.

— A nie mówiłem? — rzekł Szczur. — To na nic. Mają rozstawione straże i są uzbrojeni. Musisz czekać.

Lecz Ropuch nie miał ochoty poddać się od razu. Wyciągnął czółno, popłynął w górę Rzeki, tam gdzie ogród Ropuszego Dworu schodzi aż na Wybrzeże, a gdy ujrzał swój stary dwór, wsparł się na wiosłach i ostrożnie rozejrzał po okolicy. Wszędzie — jak mu się wydało — panował spokój i było pusto. Widział front Ropuszego Dworu błyszczący w świetle wieczornego słońca; widział gołębie, które siadały parami wzdłuż linii dachu, i ogród gorejący od kwiatów, i zatokę wiodącą do szopy z łodziami, a nad nią mały, drewniany mostek; wszystko to ciche, niezamieszkane, oczekujące najwidoczniej jego powrotu. Postanowił, że najpierw spróbuje dostać się do szopy z łódkami. Skierował się bardzo ostrożnie w stronę ujścia zatoki i właśnie znajdował się pod mostem, kiedy... rrrrum!

Duży kamień rzucony z góry przebił dno łodzi, która szybko napełniła się wodą i zatonała, a Ropuch ledwie zdołał utrzymać się na głębokiej wodzie. Spojrzał w górę i zobaczył dwie łasice przechylone nad barierą mostu, przyglądające mu się z wielkim ukontentowaniem.

— Następnym razem przyjdzie kolej na twój łeb, Ropuchu! — zawołały.

Oburzony Ropuch dopłynął do brzegu, a lasice zataczały się ze śmiechu, który jakby celowo podtrzymywały: wybuchwały na przemian śmiechem wciąż od nowa, aż wreszcie dostały niemal spazmów.

Ropuch odbył piechotą męczącą drogę powrotną i znowu opowiedział Szczurowi Wodnemu o bolesnym zawodzie.

— Czy ja ci nie mówiłem? — zawołał Szczur ze złością. — Teraz zastanów się, co ty zrobił: przepadła moja ulubiona łódź, i to z twojej winy! A w dodatku zniszczyłeś zupełnie śliczny garnitur, który ci pożyczyłem! Doprawdy Ropuchu, dziwię się, że jeszcze masz jakichś przyjaciół!

Ropuch od razu zrozumiał, jak źle i lekkomyślnie postąpił. Uznał swe błędy, przeprosił Szczura za stratę łodzi i zniszczone ubranie, udobruchał go, okazując szczerą skruchę, którą rozbrajał zawsze gniew przyjaciół i pozyskiwał na nowo ich względy.

— Szczurku — powiedział — wierzę, że byłem samowolny i uparty. Odtąd, wierząc mi, będę pokorny i uległy, nic nie przedsięwzięję bez twojej życzliwej rady i aprobaty.

— Jeśli tak — rzekł pocziwy Szczur, już udobruchany — to zaraz posłuchaj mojej rady: zważywszy na późną godzinę, usiądź, zjedz kolację, która będzie za chwilę na stole, i uzbrój się w cierpliwość. Bo jestem przekonany, że nic nie możemy zrobić, póki nie zobaczymy się z Borsukiem i Kretem, póki nie usłyszymy od nich ostatnich nowin i nie naradzimy się z nimi, i póki nam nie wyjawią swojej opinii.

— Ach tak, oczywiście, Kret i Borsuk — rzekł Ropuch lekceważąco. — Co się z nimi stało? Zupełnie o nich zapomniałem.

— Słusznie, że o nich pytasz — powiedział Szczur z wyrzutem. — Gdy ty jeździłeś po świecie luksusowymi samochodami i galopowałeś dumnie na koniach pełnej krwi, i spożywałeś śniadania z najprzedniejszych darów żyznej ziemi, te dwa biedne, oddane ci zwierzęta przebywały na dworze w każdą pogodę, obywając się we dnie bez żadnych wygód, a nocami śpiąc na twardym posłaniu. Pilnowały twego domu, patrolowały twoje ziemie, nie spuszczały z oka Łasic i Tchórzów i tworzyły plany i projekty mające na celu odzyskanie twego dobytku. Doprawdy, nie jesteś wart tak wiernych przyjaciół, Ropuchu. Kiedyś, gdy już będzie za późno, pożałujesz, żeś ich bardziej nie cenił.

— Niewdzięczne ze mnie stworzenie, wiem o tym — załkał Ropuch, roniąc gorzkie łzy. — Pozwól mi pójść i poszukać ich w tę ciemną, zimną noc. Chcę z nimi dzielić niewygody, postaram się dowieść... Czekać no! Słyszę szcęk talerzy, nareszcie kolacja! Wiwat! Chodź, Szczurku!

Szczur uprzytomnił sobie, że biedny Ropuch był przez długi czas na więziennym wikcie, dlatego zasługuje na pobłażanie. Poszedł więc za nim do stołu i gościnnie go zachęcał, gdy Ropuch z całym zapałem starał się powetować sobie wszystkie posty.

Ledwie skończyli jeść i wrócili na swoje fotele, kiedy zastukano głośno do drzwi.

Ropuch przeraził się, lecz Szczur kiwnął tajemniczo głową w jego stronę, podszedł prosto do drzwi, otworzył je i wpuścił pana Borsuka.

Borsuk wyglądał jak stworzenie przez kilka nocy przebywające z dala od domu i wszelkich jego wygód. Trzewiki miał pokryte błotem, był zaniedbany, a sierść miał zwichrzoną. Co prawda, Borsuk i za najlepszych czasów nie był nigdy elegantem. Podszedł uroczyście do Ropucha, uściśnął mu łapę i powiedział:

— Witaj mi Ropuchu! A więc powróciłeś do domu. Ach! Co ja mówię? Do domu! Smutny to powrót, zaiste! Nieszczęsny Ropuchu!

Po czym odwrócił się plecami do Ropucha, przysunął sobie krzesło, zasiadł przy stole i nałożył sobie na talerz duży kawał pasztetu.

Ropuch był przerażony tak poważnym i solennym powitaniem, lecz Szczur mu szepnął:

— To nic, nie zwracaj na to uwagi i nie mów do niego teraz. Jest zawsze ponury i przybity, kiedy go głód przycisnie. Za pół godziny będzie innym zwierzęciem.

Czekali więc w milczeniu, a po chwili rozległo się znów stukanie do drzwi, tym razem lżejsze.

Szczur, kiwnąwszy łebkiem w stronę Ropucha, podszedł do wejścia i wpuścił nieumytego, zaszarganego Kreta, w którego sierści tkwiły źdźbła słomy i siana.

— Otóż i stary Ropuch! Wiwat! — zawołał Kret z rozpromienionym pyszczkiem. — Jak to dobrze, że wróciłeś! — I zaczął tańczyć wokół Ropucha. — Ani nam się śniło, że

Pycha

tak prędko powrócisz. Musiałeś chyba uciec, ty mądry, zręczny, inteligentny Ropuchu!
Zaniepokojony Szczur trącił Kreta łokciem, ale było już za późno. Ropuch już puszył się i nadymał.

— Mądry? Wcale nie — powiedział. — Zdaniem moich przyjaciół nie jestem wcale mądry. Ja tylko wyrwałem się z najgroźniejszego więzienia Anglii, ale to nic; opanowałem pociąg i tym pociągiem uciekłem, ale to nic; przebiegłem w przebraniu szmat kraju, wywodząc wszystkich w pole, ale to nic. O, nie! Nie jestem mądry! Jestem głupi osioł, tak, tak. Opowiem ci parę moich przygód, Krecie, to sam osądzisz.

— Doskonale — rzekł Kret, kierując się w stronę stołu zastawionego kolacją. — Możesz mówić, a ja będę jadł. Od śniadania nie miałem nic w ustach.

Usiadł i nałożył sobie solidną porcję zimnej sztufady i pikli.

Ropuch rozciągnął się na dywanie przed kominkiem, sięgnął łapą do kieszeni od spodni i wyciągnął garść srebra.

— Spójrz! — zawołał pokazując pieniądze — to chyba niezły zarobek za kilkominutową pracę? A jak ty myślisz, Krecie? Jakim sposobem zdobyłem te pieniądze? Na handlu końmi! Na tym zrobiłem pieniądze!

— Mów dalej, Ropuchu — rzekł Kret z wielkim zainteresowaniem.

— Ropuchu, proszę cię, siedź cicho — powiedział Szczur. — A ty, Krecie, nie podjudzaj go, przecież wiesz, jaki on jest. Powiedz lepiej, co tam słyhać i co mamy przedsięwziąć teraz, kiedy Ropuch nareszcie wrócił.

— Bardzo źle słyhać, jak najgorzej — odpowiedział Kret markotnie. — A co przedsięwziąć? Niech mnie dunder świśnie, jeśli wiem. Obaj z Borsukiem obchodziliśmy wkoło Ropuszy Dwór we dnie i w nocy i wciąż jest to samo: wszędzie straż, wymierzone karabiny, kamienie, którymi w nas rzucają. Zawsze jakieś zwierzę czuwa, a kiedy nas zobaczy, śmieje się do rozpuku. I to mnie najbardziej irytuje.

— Bardzo trudne położenie — powiedział Szczur po głębokim namyśle. — Ale wydaje mi się, że widzę teraz jasno, jak Ropuch powinien postąpić. Mówię, wam, powinien koniecznie...

— Wcale nie powinien! — wykrzyknął Kret z pełną mordką. — Nic podobnego! Ty nie rozumiesz! Ropuch powinien...

— W żadnym razie nie zrobię tego! — wrzasnął podniecony Ropuch. — Nie zniosę, abyście mną komenderowali. Dom, o którym rozprawiamy, należy do mnie, dokładnie wiem, jak mam postąpić, i to ja wam powiem, co zrobię! Mam zamiar...

Mówili wszyscy naraz podniesionym tonem i hałas był wprost ogluszający. Wtem odezwał się cienki, suchy głos:

— Cicho tam! Milczeć!

I od razu wszyscy zamilkli.

Był to głos Borsuka, który zjadł już pasztet, odwrócił się na krześle i patrzył na nich surowym wzrokiem. Kiedy zobaczył, że czekają najwidoczniej, aż do nich przemówi i gotowi są słyhać go uważnie, odwrócił się znowu do stołu i sięgnął po ser. A szacunek, jaki nakazywały rzetelne zalety tego wspaniałego zwierzęcia, był tak wielki, że ani jedno słowo nie zostało wypowiedziane, zanim nie skończył jeść i nie strzepnął okruszyn z kolan. Ropuch wiercił się zawzięcie, ale Szczur uspokażał go energicznie.

Gdy Borsuk skończył kolację, wstał z krzesła, stanął przed kominkiem i pogrzążył się w myślach.

— Ropuchu! — przemówił po chwili surowo. — Ty nieznośne zwierzę, które sprawia wszystkim tylko kłopot. Czy ci nie wstyd? Jak myślisz, co powiedziałby twój ojciec, a mój stary przyjaciel, gdyby się tu dziś znajdował i znał wszystkie twoje sprawki?

Ropuch, który siedział na sofie z wyciągniętymi przed siebie łapami, padł na pyszczek, łkając ze skruchą.

— No, no! — ciągnął Borsuk łagodniej. — Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca. Wszystko jedno. Przestań płakać. Co było, to było. Musisz rozpocząć nowe życie. Ale Kret mówił prawdę, Łasice pilnują każdej pozycji, a to najlepsza straż na świecie. Nie ma co myśleć o ataku na dwór. Oni są zbyt silni.

— A więc wszystko przepadło! — zaszlochał Ropuch, roniąc łzy w poduszki. — Zaciągnę się do wojska i już nigdy nie zobaczę mojego kochanego Ropuszego Dworu!

— Uspokój się, Ropuchu — rzekł Borsuk. — Są inne sposoby, poza atakiem, na odzyskanie straconych pozycji. Jeszcze nie wypowiedziałem mego ostatniego słowa. Zdradzę wam teraz wielką tajemnicę.

Ropuch podniósł się z wolna i otarł łzy. Tajemnice niezmiernie go pociągały, gdyż nigdy nie umiał ich dochować, a przenikliwy dreszczyk, jaki odczuwał przy zwierzaniu się innemu zwierzęciu z sekretu, którego święcie przyrzekł dotrzymać, sprawiał mu przewrotną przyjemność.

— Istnieje podziemne przejście — powiedział Borsuk z naciskiem — które bierze początek niedaleko stąd, na brzegu Rzeki, i prowadzi do samego Ropuszego Dworu.

— Et, bzdury, Borsuku — odezwał się Ropuch dość lekceważąco. — Słuchasz plotek, które krążą w okolicznych szynkach⁵⁰. Znam na wylot każdy cal Ropuszego Dworu. Zapewniam cię, że nie ma tam nic podobnego!

— Mój młody przyjacielu — powiedział Borsuk z wielką surowością — twój ojciec, bardzo godne zwierzę, znacznie bardziej godne od pewnego zwierzęcia dobrze mi znanego, był moim serdecznym przyjacielem i mówił mi wiele rzeczy, których by mu się nie śniło powierzyć tobie. Otóż, odkrył on to przejście — oczywiście nie on je zbudował; powstało setki lat przedtem, nim twój ojciec tu zamieszkał — odremontował je tylko i oczyścił, ponieważ myślał sobie, że się może przydać w razie niebezpieczeństwa czy jakiejś biedy, i pokazał mi je. „Niech mój syn nie wie o tym — powiedział. — To dobry chłopiec, ale lekkomyślny i po prostu nie potrafi utrzymać języka za zębami. Jeśli kiedyś znajdzie się w prawdziwej potrzebie, a to przejście mogłoby mu się przydać, wtedy powiesz mu o nim, ale nie wcześniej”.

Inne zwierzęta patrzyły uważnie na Ropucha, ciekawe, jak to przyjmie. Ropuch miał z początku ochotę dąsać się, lecz w gruncie rzeczy miał dobre serce, więc natychmiast się rozpogodził:

— No tak — rzekł. — Może być, że mam trochę za długi język. Jestem powszechnie lubiany, przyjaciele gromadzą się wokół mnie, przekomarzamy się, żartujemy, opowiadamy sobie dowcipne dykteryjki i język zaczyna mnie świerzbic. Mam dar rozmowy. Mówiono mi, że powinienem otworzyć salon, nie bardzo wiem, co to znaczy, ale mniejsza o to. Mów dalej, Borsuku: w jaki sposób może nam to twoje przejście dopomóc?

— W ostatnich czasach zdobyłem trochę wiadomości — podjął Borsuk. — Poleciłem Wyrzce przebrać się za kominiarza i zapytać przy kuchennym wejściu, czy nie ma jakiejś roboty. Jutro wieczorem ma się odbyć wielki bankiet. Obchodzą czyjeś urodziny — Wódza Tchórzów, jeśli się nie mylę — i wszystkie Tchórze zgromadzą się w komnacie jadalnej. Będą jadły i piły, i śmiały się, i dokazywały, niczego nie podejrzewając, bez karabinów, bez szabel, bez pałek, bez żadnej broni.

— Ale strażę będą rozstawione jak zawsze — wtrącił Szczur.

— Na pewno — rzekł Borsuk — i na tym opieram mój plan. Tchórze ufają całkowicie swoim doskonałym wartom. Tu właśnie zaczyna się rola tajnego przejścia. Ów bardzo pożyteczny tunel podchodzi aż do podręcznej spiżarni obok komnaty jadalnej.

— A! — wykrzyknął Ropuch. — Skrzypiąca deska w spiżarce! Teraz rozumiem!

— Wkradniemy się cicho do spiżarki! — zawołał Kret.

— Uzbrojeni w pistolety, szable i pałki!... — wykrzyknął Szczur.

— I rzucimy się na nich — rzekł Borsuk.

— I przetrzepiemy ich, przetrzepiemy, przetrzepiemy! — wrzeszczał zachwycony Ropuch, biegając dookoła pokoju i przeskakując przez krzesła.

— A więc — powiedział Borsuk, który wrócił do swej zwykłej powściągliwości — plan już gotowy i nie macie nad czym dyskutować i kłócić się. A ponieważ jest już bardzo późno, idźcie spać w tej chwili. Jutro rano przygotowujemy wszystko, czego potrzeba.

Ropuch, ma się rozumieć, poszedł pokornie za innymi — wiedział, czym opór pachnie — choć czuł się o wiele zanadto podniecony, aby móc zasnąć. Lecz przeżył długi dzień pełen przygód, a prześcieradła i kołdry były to przedmioty przyjazne i wygodne po prostej słomie, którą skąpo rozścielano na kamiennej podłodze w przewiewnej celi, toteż ledwie Ropuch przyłożył lebek do poduszki, już chrapał szczęśliwie.

Miał oczywiście dużo snów: o drogach, które uciekały przed nim, kiedy ich najbar-

Ojciec

Sen

⁵⁰szynk — podrzędny lokal sprzedający alkohol. [przypis edytorski]

dziej potrzebował, o kanałach, które za nim goniły i chwyciły go, o barce wylądowanej jego własną bielizną, barce wjeżdżającej do komnaty jadalnej w chwili, gdy odbywał się proszony obiad. Potem znalazł się sam w tajnym przejściu i szukał drogi, tymczasem przejście kręciło się i wierciło, i otrząsało, i stawało dęba. W końcu jednak wrócił cało i z triumfem do Ropuszego Dworu w otoczeniu wszystkich przyjaciół, którzy zapewniali go usilnie, że jest mądrym Ropuchem.

Na drugi dzień spał długo, a gdy zszedł na dół, inne zwierzęta skończyły już śniadanie. Kret wyslizgnął się samotnie, nie mówiąc nikomu, dokąd idzie. Borsuk siedział w fotelu i czytał gazetę, wcale nie biorąc do serca tego, co miało się stać wieczorem. Szczur zaś biegał po pokoju z łapkami pełnymi rozmaitej broni i rozkładał ją na podłodze w czterech stosach, mruczając pod nosem:

— Szabla dla Szczura, szabla dla Kreta, szabla dla Ropucha, szabla dla Borsuka.

I tak dalej. Mówił rytmicznie, a cztery stosy coraz to się powiększały.

— To wszystko bardzo dobre, Szczurku — rzekł po chwili Borsuk, spoglądając ponad gazetą na pracowite zwierzątko. — Nie ganię tego, co robisz. Ale skoro ominiemy Łasice i ich wstrętne karabiny, mogę cię zapewnić, że nie będą nam potrzebne szable i pistolety. Kiedy dostaniemy się we czterech do komnaty jadalnej, to w pięć minut oczyścimy łaskami pokój z tej całej hołoty. Byłbym to sam zrobił, ale nie chciałem pozbawiać was takiej zabawy.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — odparł Szczur z namysłem, wycierając rękawem lufę pistoletu i przyglądając się jej.

Po śniadaniu Ropuch wziął w łapkę gruby kij i machał nim zawzięcie, okładając wyimaginowanych wrogów.

— Ja ich nauczę opanowywać mój dom! — krzyczał. — Dostaną porządną nauczkę! Ja im dam!

Wkrótce Kret, bardzo z siebie zadowolony, wpadł do pokoju.

— Świetnie się zabawilem! — zaczął z punktu. — Nabrałem Łasice!

— Mam nadzieję, że postępowałeś bardzo ostrożnie, Krecie — rzekł zaniepokojony Szczur.

— Spodziewam się! — odparł Kret z przekonaniem. — Wpadłem na pewien pomysł, gdy poszedłem do kuchni dopilnować, aby śniadanie Ropucha było gorące. Zobaczyłem starą suknię praczki, w której Ropuch przyszedł, rozwieszoną przed kominkiem na wieszaku od ręczników. Ubrałem się w nią i w czepek, i w chustkę i poszedłem śmiało do Ropuszego Dworu. Straże stały oczywiście na stanowiskach z karabinami i ze swym zwykłym: „Kto idzie?”, i ze wszystkimi swoimi głupstwami. „Dzień dobry panom — odezwałem się z szacunkiem. — Może panowie mają bieliznę do prania?”. Sztywno wyprężeni popatrzyli na mnie z dumą i powiedzieli: „Idźcie sobie, praczko. Nie dajemy nic do prania, kiedy jesteśmy na służbie”. A ja na to: „Pewnie nigdy nic nie dajecie do prania”. Cha, cha, cha! Czy nie dowcipnie im odpowiedziałem, Ropuchu?

— Płochę z ciebie stworzenie — odezwał się Ropuch protekcyjnie, bo strasznie zazdrościł Kretowi jego pomysłu. Kret zrobił akurat to, co Ropuch sam chciałby zrobić, gdyby mu podobna myśl zaświtała i gdyby nie zasnął.

— Niektóre z Łasic zarumieniły się — mówił dalej Kret — a wachmistrz⁵¹ powiedział do mnie krótko: „A teraz jazda, moja kobieto, zabierajcie się stąd! Przez was moi chłopcy marnują czas, będąc na służbie”. „Zabierać się? — odparłem. — Nie tylko ja będę się stąd zabierała, i to bardzo niedługo”.

— O Kreciku! Jak ty mogłeś! — wykrzyknął przerażony Szczur.

— Spostrzegłem, że nadstawiają uszu i spoglądają po sobie — ciągnął Kret — a wachmistrz mówi do nich: „Nie zważajcie na nią, sama nie wie, co plecie”.

„Aha, nie wiem co plotę — mówię. — Więc powiem wam coś. Moja córka pierze u pana Borsuka. Możecie z tego wywnioskować, czy ja nie wiem, co plotę. Zresztą sami przekonacie się wkrótce. Sto krwiożerczych Borsuków uzbrojonych w karabiny napadnie tej nocy na Ropuszy Dwór od strony stajen. Sześć łodzi naładowanych Szczurami uzbro-

Podstęp, Strach

⁵¹wachmistrz (daw.) — komendant posterunku wojskowego; podoficer kawalerii. [przypis edytorski]

jonymi w pistolety i kordelasy⁵² wyląduje w ogrodzie; a doborowy oddział Ropuchów zwanych »Śmierć lub Zwycięstwo« albo »Ropuchy-Zabijaki« zdobędzie szturmem sad i zrówna wszystko z ziemią, łaknąc zemsty. Niewiele będziecie mieli bielizny do prania, jak się z wami porachują, chyba że zwiejecie stąd póki czas». Potem uciekłem i schowałem się, zniknąwszy im z oczu. Po chwili podkradłem się rowem i zajrzałem przez płot. Wszyscy biegali w rozmaite strony przestraszeni i podnieceni, przewracając się wzajemnie. Wszyscy wydawali rozkazy, których nikt nie słuchał. Wachmistrz wysłał oddziałki Łasic do dalszych części posiadłości, a potem kazał gonić za nimi, aby je zawrócić. Słyszałem jak mówili do siebie: „To całkiem do Tchorzów podobne. Mają zasiąść wygodnie w komnacie jadalnej i ucztować, i wygłaszać mowy, i śpiewać, i bawić się, a my musimy trzymać wartę na zimnie, w ciemności, i ostatecznie krwiożercze Borsuki rozerwą nas na kawałki”.

— Ach, ty głupi ośle! — wykrzyknął Ropuch — wszystko popsuleś!

— Krecie — rzekł po swojemu Borsuk głosem zimnym i spokojnym — widzę, że masz więcej rozumu w małym palcu niż niektóre zwierzęta w całym swym tłustym cielsku. Doskonale się spisałeś. Zaczynam pokładać w tobie wielkie nadzieje, zacny Krecie, mądry Krecie!

Ropuch po prostu wściekał się z zazdrości, tym bardziej że nie mógł w żaden sposób zrozumieć, co Kret zrobił mądrego. Lecz na jego szczęście, nim zdołał okazać swój zły humor lub narazić się na sarkazmy Borsuka, zadzwoniono na drugie śniadanie.

Był to posiłek skromny, lecz solidny, składał się z boczku, fasoli i budyniu z makaronu. Po jedzeniu Borsuk usadowił się na fotelu i powiedział:

— Mamy już pracę obmyśloną na dzisiejszą noc, a pewno zrobi się bardzo późno, nim ją wykonamy. Zdrzemnę się trochę, póki to możliwe.

Przysłonił pyszczek chustką i niebawem zachrapał.

Niespokojny i pracowity Szczur wrócił natychmiast do przygotowań i zaczął biegać od jednego stosu do drugiego, mruczając:

— Pasek dla Szczura, pasek dla Kreta, pasek dla Ropucha, pasek dla Borsuka.

I tak dalej, przy każdej nowej sztuce ekwipunku, a wydostawał coraz to inne rzeczy.

Kret wziął Ropucha pod łapę, wyprowadził na świeże powietrze, usadowił go na trzcinowym fotelu i kazał mu opowiadać wszystkie przygody od początku do końca. Ropuch nie dał się prosić. Kret słuchał uważnie, więc Ropuch puścił wodze fantazji, korzystając z tego, że nikt nieprzychylną krytyką nie hamował jego swady. Wiele z tego, co opowiadał, należało niewątpliwie do kategorii wypadków, które mogłyby się zdarzyć, gdyby odpowiedni pomysł przyszedł nam w porę, zamiast o dziesięć minut za późno. Przygody tego rodzaju bywają zawsze najciekawsze i najbardziej podniecające i nie wiem, dlaczego nie miałyby być równie prawdziwe jak niezupełnie udane przygody, które spotykają nas w rzeczywistości.

ROZDZIAŁ XII. POWRÓT WĘDROWCA

Gdy się ściemniło, Szczur wezwał ich z tajemniczą miną do salonu, postawił każdego przy stole, jaki był dla niego przeznaczony i przystąpił do zbrojenia zwierząt na rychłą wyprawę. Zabierał się do tego z wielką powagą i wszystko wykonywał bardzo dokładnie, co zajęło sporo czasu. Najpierw każde zwierzątko otrzymało pas, potem za pas zatykało się szablę, a z drugiego boku — dla równowagi — kordelas, później przychodziła kolej na parę pistoletów, pałkę policyjną, kilka par kajdanów, bandażę i plastry, manierkę i torebkę z kanapkami. Borsuk śmiał się wesoło, mówiąc:

— Doskonale, mój Szczurku! Ciebie to bawi, a mnie nic nie szkodzi. Wszystko, co mam do zrobienia, zrobię tym oto kijem.

Ale Szczur powiedział tylko:

— Borsuku, ja cię proszę! Nie chciałbym, abyś mi potem wyrzucił, że o czymkolwiek zapomniałem.

Kiedy już wszystko było zupełnie gotowe, Borsuk wziął w jedną łapę ślepą latarkę, a w drugą swój wielki kij i oświadczył:

⁵²kordelas — długi nóż myśliwski, służący do oprawiania upolowanej zwierzyny; niegdyś również element uzbrojenia, używany głównie przez marynarzy. [przypis edytorski]

— A więc chodźcie za mną. Na przedzie Kret, bo jestem z niego bardzo zadowolony, potem Szczur, a na końcu Ropuch. Słuchaj no ty, Ropuchu, nie gadaj tak dużo jak zwykle, bo cię odeślę z powrotem, jak amen w pacierzu.

Ropuch bał się okropnie, że go zostawią, więc bez szemrania przyjął wyznaczone mu poślednie stanowisko i zwierzęta wyruszyły w drogę. Borsuk prowadził ich kawałek Wybrzeżem i nagle wskoczył ponad krawędzią brzegu do otworu jamy położonej nieco powyżej poziomu wody. Kret i Szczur w milczeniu poszli za jego przykładem, trafiając zgrabnie do nory. Ale gdy przyszła kolej na Ropucha, musiał oczywiście poślizgnąć się i wpadł do wody z pluskiem i okrzykiem przerażenia. Przyjaciele wyciągnęli go, roztarli i szybko wycisnęli z wody, stawiając go na łapy i pocieszając. Ale Borsuk rozgniewał się na dobre i zapowiedział Ropuchowi, że jeśli jeszcze raz zrobi głupstwo, to go na pewno odeśle.

Woda

Wreszcie znaleźli się w tajnym przejściu i karna ekspedycja naprawdę się rozpoczęła.

W tunelu było zimno i ciemno, i wilgotno, i nisko, i ciasno, i biedny Ropuch dostał dreszczy, po części ze strachu przed tym, co go czekało, a po części dlatego, że był przemoknięty do nitki. Latarka świeciła w oddali, więc mimo woli pozostawał w tyle, idąc po omacku. Wtem posłyszał ostrzegawcze nawoływanie Szczura:

Ciemność

— Chodźże, Ropuchu!

Ropucha ogarnął strach, że go zostawią samego w tej ciemności i podbiegł z takim pośpiechem, że wyrzucił Szczura, który wpadł na Kreta, który wleciał na Borsuka. Zapanaowało chwilowo straszne zamieszanie. Borsuk myślał, że zostali napadnięci z tyłu, a ponieważ nie było miejsca na użycie kija czy też kordelasa, wyciągnął pistolet i o mało nie wpakował kuli Ropuchowi. Kiedy dowiedział się, co właściwie zaszło, rozgniewał się nie na żarty i oświadczył:

— Teraz to już naprawdę zostawimy tego niezdarnego Ropucha.

Ale Ropuch zaczął popłakiwać, a Kret i Szczur wzięli na siebie odpowiedzialność za jego sprawowanie, więc Borsuk udobruchał się i pomaszerowali dalej, tylko tym razem Szczur zamykał pochód, trzymając Ropucha mocno za ramię.

Szli tak po omacku, dzierżąc w łapkach pistolety i strzygąc uszami, kiedy Borsuk rzekł wreszcie:

— Powinniśmy być już teraz prawie pod komnatą jadalną.

I usłyszeli nagle bezładne odgłosy, które zdawały się dalekie, a jednak musiały rozlegać się tuż nad ich łebkami: jakby krzyki, wiwaty, tupanie i uderzanie w stół. Ropucha ogarnął znów nerwowy lęk, lecz Borsuk odezwał się ze spokojem:

— A to używają te Tchórzyska!

Tunel zaczął wznosić się ku górze, zwierzęta usłyszy jeszcze kawałek drogi w ciemności, kiedy hałas wznowił się, tym razem zupełnie wyraźnie tuż nad ich łebkami. Posłyszeli: „Wi-waat! Wi-waaat-waaat!” i tupanie małych łapek, i brzęk kieliszków, gdy małe piąstki uderzały w stół.

— Jak one świetnie się bawią! — powiedział Borsuk. — No, chodźmy!

Szli szybko wzdłuż tunelu, aż przejście skończyło się i stanęli przed drzwiami prowadzącymi do spiżarni. W komnacie jadalnej panował tak straszliwy hałas, że było mało prawdopodobne, aby ich posłyszano. Borsuk zakomenderował:

— Naprzód, razem!

Wszyscy czterej podparli ramionami klapę i podnieśli ją. Wywindowali się na górę, pomagając sobie wzajemnie, i znaleźli się w spiżarni, oddzieleni tylko drzwiami od komnaty jadalnej, gdzie ich wrogowie pili i hulali, nieświadomi niebezpieczeństwa.

W chwili gdy zwierzęta wydostały się z tunelu, hałas był wprost ogłuszający. Lecz kiedy stopniowo uciszyły się wiwaty i bicie pięściami w stół, przyjaciele rozróżnili głos, który mówił:

— Nie będę już dłużej zaprzętał uwagi panów (głośnie oklaski), ale nim usiądę (wiwaty), chciałbym powiedzieć słówko o naszym zacnym gospodarzu, panu Ropuchu. Znamy wszyscy pana Ropucha! (śmiechy). Dobrego Ropucha, skromnego Ropucha, uczciwego Ropucha! (wesole okrzyki).

— Niech no ja go dostanę w swoje łapy — mruknął Ropuch, zgrzytając zębami.

— Trochę cierpliwości — rzekł Borsuk, powstrzymując z trudem Ropucha. — Szykować się!

— Zaśpiewam panom piosenkę o Ropuchu — ciągnął dalej głos — piosenkę własnej kompozycji (długotrwałe oklaski).

Wódz Tchórzów — bo to był on — zaczął wysokim, piskliwym dyszkantem:

Ropuch poszedł na hulankę
Mknął wesoło drogą...

Borsuk wyprostował się, ujął mocno kij w obie łapy, obejrzał się na towarzyszy i krzyknął:

— Już czas! Za mną!

I otworzył z trzaskiem drzwi.

Co za piski, wrzaski i krzyki wypełniły powietrze! Nic dziwnego, że przerażone Tchórze dawały nurka pod stoły i wyskakiwały jak oszalałe przez okna! Nic dziwnego, że Kuny pędziły na wyścigi do kominków i więzły beznadziejnie w przewodzie kominowym. Nic dziwnego, że powywracano stoły i krzesła, a porcelana i szkło zasłały z brzękiem podłogę podczas straszliwej paniki, jaka nastąpiła, gdy czterej bohaterowie wkroczyli gniewnie do pokoju! Potężny Borsuk o najeżonych wusach przecinał wielką pałką ze świstem powietrze. Kret, czarny i ponury, machał kijem i powtarzał swój straszny okrzyk wojenny: „Do Kreta! Do Kreta!”. Szczur gotów był ważyć się na wszystko, mając za pasem zatkniętą broń wszelkich epok i rodzajów. Ropuch zaś, zapamiętały w swej zranionej dumie i niesłychanie podniecony, tak się nadał, że powiększył się do dwukrotnej swej objętości. Skakał przy tym w górę jak szalony, wydając ropusze pohukiwania, które mroziły krew w żyłach.

— „Ropuch poszedł na hulankę!” — wrzeszczał. — Ja wam sprawię hulankę! — I natarł wprost na Wodza Tchórzów.

Było ich tylko czterech, lecz przerażonym Tchórzom wydało się, że komnata pełna jest potwornych zwierząt szarych, czarnych, brązowych i żółtych, które krzyczą i wywijają olbrzymimi pałkami.

Tchórze z okrzykami przerażenia i rozpaczycy rzuciły się do ucieczki, umykały na wszystkie strony, przez okna i kominy, byle tylko nie dostać się w zasięg straszliwych pałek.

Bitwa skończyła się prędko. Czterej przyjaciele przemierzali tam i na powrót całą długość komnaty jadalnej, łupiąc kijem każdy lebek, który się pokazał, i w pięć minut oczyścili salę. Przez wytłuczone okna dochodziły ich uszu słabe okrzyki przerażonych Tchórzów, umykających przez trawnik. Na podłodze leżało około tuzina powalonych wrogów, którym Kret nakładał pilnie kajdanki. Borsuk, oparty na lasce, odpoczywał po trudach, ocierając swe uczciwe czoło.

— Krecie — powiedział. — Ty najdzielniejszy z zuchów! Przeleć no się i zobacz, co tam robią te twoje Łasice stojące na warcie. Coś mi się zdaje, że dzięki tobie nie będziemy mieli z nimi wiele kłopotu!

Kret szybko wyskoczył oknem, a Borsuk polecił Ropuchowi i Szczurowi, aby podnieśli jeden ze stołów, zebrali z podłogi noże i widelce, wyszukali talerze i szklanki wśród szczątków na podłodze i poszperali, czy nie uda im się znaleźć czegoś, co by się nadawało na kolację.

— Chce mi się jakiegoś żarcia — powiedział w zwykły sobie, dość ordynarny sposób. — Sięgnij do swoich zapasów, Ropuchu, i rozchmurz się. Zdobyliśmy z powrotem twój dom, a ty nas nie częstujesz nawet kanapką.

Ropuch czuł się nieco dotknięty, że Borsuk nie odzywa się do niego tak miło jak do Kreta, nie chwali jego odwagi i waleczności. Był niezwykle zadowolony z siebie i ze sposobu, w jaki natarł na Wodza Tchórzów i jednym uderzeniem kija przerzucił go przez stół. Jednak zakrzętnął się wraz ze Szczurem i niebawem znaleźli salaterkę galaretki z moreli, kurę na zimno, ozór ledwie napoczęty, trochę zupy „nic” i sporo salátky z homara. A w spiżarce odkryli koszyk pełen bułek i moc sera, masła i selerów. Zamierzali właśnie zasiąść do stołu, kiedy Kret wdrapał się ze śmiechem przez okno, dźwigając naręcz karabinów.

— Wszystko w porządku — zameldował. — O ile mogłem się zorientować, Łasice, już przedtem niespokojne i zdenerwowane, usłyszały krzyki, piski i gwałt w komnacie jadalnej, więc niektóre porzuciły broń i umknęły. Inne trzymały się jeszcze, ale gdy Tchórze

Walka

Jedzenie

wpadły na nie podczas ucieczki, Łasice myślały, że to zdrada. Zderzały się z Tchórzami, a Tchórze walczyły, aby móc uciekać dalej; mocowali się, bili i przewracali jeden przez drugiego, aż większość z nich wpadła do Rzeki. Tak czy inaczej, nie ma ich, a ja zabrałem karabiny. Wszystko w porządku!

— Dobre z ciebie zwierzę, położyłeś wielkie zasługi! — rzekł Borsuk z pyszczkiem pełnym kury. — A teraz, Krecie, zrób jeszcze tylko jedno, nim zasiądziesz przy nas do kolacji. Nie zaprzętałbym cię tym, gdyby nie przeświadczenie, iż mogę na ciebie liczyć, jeśli chodzi o dopilnowanie jakiejś czynności; chciałbym móc powiedzieć to samo o wszystkich moich znajomych. Posłałbym Szczura, ale to poeta. Zaprowadź, proszę, na górę tych łobuzów, którzy leżą na podłodze, niech wyczyszczą, uporządkują i urządzią prawdziwie wygodnie kilka sypialnych pokoi. Dopilnuj, aby wymietli pod łózkami, powlekli czystą pościel i odwinęli porządnie róg każdej kołdry; wiesz przecież, jak to powinno wyglądać. W każdym pokoju każ postawić dzbanek z gorącą wodą, dać czyste ręczniki i po kawałku mydła. W końcu, jeśli ci to robi przyjemność, możesz sprawić lanie Tchórzom i wygnać ich tylnym wyjściem, nie przypuszczam, abyśmy ich prędko zobaczyli. A potem przyjdiesz tu i weźmiesz się do ozora. Znakomity! Rad jestem z ciebie, Krecie.

Pocziwy Kret wziął kij, ustawił więźniów szeregiem, zakomenderował: „Naprzód, marsz!” i zaprowadził swój oddział na górę. Po pewnym czasie zjawił się uśmiechnięty i oświadczył, że wszystkie pokoje są gotowe i czyste jak szkło.

— Nie potrzebowałem nawet sprawić Tchórzom lania — dodał. — Pomyślałem sobie, że dostały aż nadto batów jak na jedną noc, a gdy przedstawiłem im mój punkt widzenia, zgodziły się ze mną. Oświadczyły, że nie chciałyby sprawiać mi kłopotu. Okazały wiele skruchy i żalu za swoje czyny, twierdząc, że wszystkiemu winien Wódz Tchórzów i Łasice. Szepnijmy tylko słówko, a chętnie zrobią dla nas wszystko, co zechcemy, jako zadośćuczynienie. Dałem im po bulce, wypuściłem je kuchennym wyjściem i umknęły co tchu.

Kret przysunął sobie krzesło do stołu i zabrał się do ozora, a Ropuch odłożył na bok wszelką zazdrość, jak prawdziwy dżentelmen, i odezwał się serdecznie:

— Dziękuję ci bardzo, kochany Krecie, za wszystkie trudy i kłopoty dzisiejszego wieczoru, a w szczególności za spryt, jakiego dałeś dowód dziś rano.

Borsuk był bardzo zadowolony z tej przemowy i rzekł:

— Oto słowa godne mego zacnego Ropucha!

Skończyli kolację w wesołym nastroju, a wkrótce udali się na spoczynek i legli na czystej pościeli, bezpieczni w rodzinnym gnieździe Ropucha, które odzyskali dzięki bezprzykładowemu męstwu, znakomitej strategii i umiejętnemu zastosowaniu kijów.

Następnego ranka Ropuch swoim zwyczajem zasnął i szedł okropnie późno na śniadanie. Na stole zastał skorupki od jaj, resztki grzanek, zimnych i twardych jak podeszwy, maszynkę kawy w trzech czwartych próżną i niewiele więcej. Nie wpłynęło to dodatnio na jego humor, zważywszy iż ten dom był mimo wszystko jego własny. Przez oszklone drzwi jadalni widział Kreta i Szczura siedzących na trawniku w trzcinowych fotelach; opowiadali sobie najwidoczniej dykteryjki⁵³, gdyż ryczeli ze śmiechu i wymachiwali krótkimi łapkami. Borsuk, który był zagłębiany w porannym dzienniku, ledwie podniósł oczy i skinął łebkiem, gdy Ropuch wszedł. Lecz Ropuch znał go dobrze, zasiadł więc do stołu i starał się jak najlepiej wyzyskać resztki śniadania. Powiedział sobie tylko, że wcześniej czy później porachuje się z przyjaciółmi. Gdy prawie już skończył, Borsuk podniósł oczy i oświadczył dość oschle:

— Bardzo mi przykro, Ropuchu, ale obawiam się, że masz przed sobą ciężką pracę na dzisiejszy ranek. Bo widzisz, trzeba koniecznie wyprawić zaraz bankiet dla uczczenia zwycięskiej wyprawy. Wszyscy się tego po tobie spodziewają, właściwie taki jest zwyczaj.

— Doskonale! — rzekł Ropuch z gotowością. — Zrobię wszystko, co może komukolwiek sprawić przyjemność. Chociaż niech mnie licho porwie, jeśli domyślam się, dlaczego chcesz rano wyprawić bankiet. Ale wiesz, że ja nie żyję dla własnej przyjemności, a tylko odgaduję życzenia swoich przyjaciół i staram się je zaspokoić, mój kochany, stary Borsuku.

⁵³dykteryjka — anegdota, krótki, żartobliwa opowieść. [przypis edytorski]

— Nie udawaj głupszego, niż jesteś — odparł zirytowany Borsuk — i nie śmieję się, i nie pluj w kawę, bo to oznaka złego wychowania. Ja chcę oczywiście powiedzieć, że bankiet odbędzie się wieczorem, ale zaproszenia muszą być napisane i wysłane natychmiast, i to ty musisz je napisać. Siadaj więc przy tym stole; leżą tam stosy papieru ze złoconym i niebieskim napisem „Ropuszy Dwór” — wystosuj zaproszenia do wszystkich naszych przyjaciół. Jeśli się do tego porządnie przyłożysz, będziemy je mogli rozesłać jeszcze przed drugim śniadaniem. Ja ci także pomogę i wezmę na siebie część trudów: wydam zarządzenia co do bankietu.

— Co? — zawołał Ropuch z przerażeniem. — Ja mam siedzieć w pokoju i pisać nudne listy w taki rozkoszny poranek, kiedy chciałbym obejść moje dobra i zaprowadzić porządek we wszystkim i ze wszystkimi, i puszyć się, i bawić! Ani myślę! Niech mnie... To jest... Poczekaj... Ależ oczywiście, drogi Borsuku! Czymże jest moja przyjemność czy wygoda w porównaniu z przyjemnością czy wygodą innych! Życzysz sobie tego, niech i tak będzie. Idź, Borsuku, wydaj, jakie chcesz, rozporządzenia co do bankietu, a potem przyłącz się do naszych młodych przyjaciół, dziel ich niewinną wesołość, nie pomnąc na moje trudy i troski. Poświęcę ten piękny ranek na ołtarzu obowiązku i przyjaźni!

Borsuk spojrział na Ropucha z niedowierzaniem. Lecz widząc jego szczerość, trudno było przypisywać tę zmianę jakiejś niskiej pobudce. Wyszedł więc z pokoju, kierując się do kuchni, a gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, Ropuch pośpieszył do biurka. Podczas rozmowy z Borsukiem przyszła mu do głowy doskonała myśl. Napisze zaproszenia i nie zapomni zamieścić w nich wzmianki o wybitnej roli, jaką odegrał podczas bitwy, i o tym, jak powalił Wodza Tchórzów. Napomknie przy tym o swoich przygodach, o szeregu triumfów, o jakich zamierza opowiedzieć, a na osobnej kartce wypisze jakby program wieczoru — ułożył sobie w głowie coś w tym rodzaju:

„MOWA, wypowie ROPUCH.

(Ropuch w ciągu wieczoru wypowie jeszcze inne mowy).

ODCZYT, wygłosi ROPUCH.

Konspekt: — Nasz system więzienny — Wodne szlaki Anglii — Handel końmi i sposób, w jaki należy prowadzić ów handel — Własność, jej prawa i obowiązki — Powrót do ziemi — Typ angielskiego ziemianina.

PIEŚŃ (własnej kompozycji) odśpiewa ROPUCH.

INNE KOMPOZYCJE ROPUCHA odtworzy autor w ciągu wieczoru”.

Pomysł ten bardzo się Ropuchowi podobał, pracował więc bardzo pilnie i skończył wszystkie listy do południa. O tej właśnie godzinie dano mu znać, że mały tchórzyk, dość nędznie wyglądający, stoi przed drzwiami i pyta nieśmiało, czy nie mógłby czymś się panom przysłużyć. Ropuch wyszedł z dumną miną i poznał jednego z wczorajszych więźniów. Tchórz okazywał głęboki szacunek i chęć przypodobania się. Ropuch pogłaskał go po łebku, wsunął mu w łapę stos zaproszeń, kazał mu szybko biec i roznieść je jak najprędzej. Jeśli chce, niech wróci wieczorem, znajdzie się być może jakiś szyling dla niego, ale niech na to nie liczy! Biedny Tchórz zdawał się doprawdy wdzięczny i wyruszył gorliwie spełnić polecenie.

Gdy inne zwierzęta wróciły na drugie śniadanie, rześkie i rozdokazywane po ranku spędzonym na Rzece, Kret, którego sumienie trochę gryzło, spojrział niepewnie na Ropucha, spodziewając się, że będzie nadąsany lub przygnębiony. Tymczasem Ropuch był tak nadęty i butny, że Kret zaczął coś podejrzewać, Borsuk zaś i Szczur zamienili znaczące spojrzenia.

Po skończonym posiłku Ropuch zagłębił łapy w kieszeniach od spodni i zauważył od niechcienia:

— Rozgoście się, chłopcy! Każcie sobie dać, czego wam tylko potrzeba!

I z dumną miną odszedł w stronę ogrodu, aby ułożyć swoje mowy, lecz Szczur chwycił go za ramię.

Ropuch domyślał się, czego Szczur od niego chce i dokładał starań, aby się wyrwać, ale kiedy Borsuk ujął go stanowczo za drugie ramię, musiał uznać sprawę za przegraną. Zwierzęta wzięły Ropucha między siebie i zaprowadziły go do małego gabinetu, zamknęły za sobą drzwi, posadziły Ropucha na krześle, potem stanęły przed nim, a Ropuch w milczeniu patrzył na nie nieufnie i z gniewem.

Pycha

— Posłuchaj no, Ropuchu — powiedział Szczur — chodzi nam o ten bankiet i bardzo mi przykro, że jestem zmuszony przemawiać do ciebie w ten sposób. Ale chcemy, abyś zrozumiał raz na zawsze, że nie będzie żadnych mów ani śpiewów. Staraj się sobie uświadomić, iż w tym wypadku nie dyskutujemy z tobą, tylko po prostu wydajemy ci polecenie.

Ropuch zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Przejrzeli go i przewidzieli zawczasu jego zamiary. Miły sen rozwił się!

— Może mógłbym zaśpiewać choć jedną króciutką piosenkę? — prosił żałośnie.

— Nie, ani jednej piosenki — odparł Szczur stanowczo, choć serce krajało mu się, gdy zauważył drżenie warg biednego, zawiedzionego Ropucha. — To na nic, Ropuszku! Wiesz, że twoje pieśni pełne są zarozumiałości, pychy i przechwałek, a twoje mowy to samochwalstwo i... i... i gruba przesada i... i...

— I nabieranie — wtrącił Borsuk ordynarnie, po swojemu.

— To dla twego dobra, Ropuszku — ciągnął Szczur dalej. — Wiesz, że musisz wcześniej czy później zacząć nową kartę życia. Teraz nadarza się po temu doskonała sposobność, będzie to pewnego rodzaju punkt zwrotny w twojej karierze. Wierz mi, że mówienie ci tego wszystkiego sprawia mi większą przykrość niż tobie słuchanie.

Ropuch myślał długo. Wreszcie podniósł łebek, a na jego pyszczku malowało się silne wzruszenie.

— Zwyciężyliście, przyjaciele — odezwał się drżącym głosem. — To, o co prosiłem, było drobnostką: pragnąłem za waszym pozwoleniem wypowiedzieć się w ciągu jednego, ostatniego wieczoru. Chciałem wywnętrzyć się i posłyszeć grzmot oklasków, które, jak mi się zdaje, wydobywają na jaw największe moje zalety. Jednakże wiem, iż to wy macie słuszność, a nie ja. Odtąd stanę się zupełnie innym Ropuchem. Już nigdy, drodzy moi, nie będziecie potrzebowali za mnie się rumienić. Ale, o Boże! Boże! Jakie to życie jest ciężkie!

I Ropuch wyszedł chwiejnym krokiem, przyłożywszy chustkę do pyszczka.

— Borsuku — powiedział Szczur — mam wrażenie, że postąpiłem jak bydlę. Ciekawe, jak ty się czujesz?

— Cóż robić! — westchnął chmurny Borsuk. — Trzeba to było jednak przeprowadzić. Ten zacny chłopak musi tu mieszkać, przestać trwonić mienie i zasłużyć sobie na powszechny szacunek. Czy chciałbyś, aby stał się ogólnym pośmiewiskiem, przedmiotem kpin i drwin Tchórzów i Łasic?

— Oczywiście, że nie — odparł Szczur. — Ale kiedy już jesteśmy przy Tchórzach, co za szczęście że spotkaliśmy małego tchórzyka w chwili, kiedy zaczynał roznosić zaproszenia Ropucha! Powziąłem już pewne podejrzenia z tego, coś opowiedział, i przeczytałem parę zaproszeń. Były po prostu haniebne. Skonfiskowałem cały ich stos, a teraz pocziwy Kret siedzi w niebieskim saloniku i wypełnia zwykle, proste karty zaproszeniowe.

*

Nadeszła wreszcie godzina wyznaczona na bankiet, a Ropuch, który opuściwszy przyjaciół, schronił się do swej sypialni, siedział tam jeszcze, smętny i zamyślony. Czoło oparł na łapie i rozważał coś długo i głęboko. Stopniowo zaczął się rozpogadzać, a na jego pyszczku wykwitł z wolna uśmiech. Potem Ropuch zachichotał nieśmiało. Wreszcie wstał, zamknął drzwi, spuścił zasłony w oknach, zgromadził krzesła z całego pokoju, ustawił je w półkole i stanął przed nimi, nadymając się tak, że rósł i rósł w oczach. Następnie sklonił się, odkaslnął dwukrotnie i zaczął śpiewać podniesionym głosem przed zachwyconym audytorium, które widział jasno w wyobraźni.

Śpiew, Pycha

OSTATNIA PIOSENKA ROPUCHA

Ropuch powrócił do domu!
W holu ktoś zawył, w salonie zakrzyknął: „O Boże!”,
Płacze i krzyki rozległy się w stajni, oborze...
Gdy Ropuch wrócił do domu.

Ropuch powrócił do domu!

Tu brzęk tłuczonej szyby, drzwi się wylamały,
Tam piski łasic, które ze strachu omdlały,
Gdy Ropuch wrócił do domu.

Psst — wystrzela raca...
Huk ciężkich dział i ryk wszystkich aut,
Trąbią trębacze, salutują żołnierze na gwałt:
To bohater wraca!

Hej, kto żyw, niechaj słucha!
Wołajmy co sił i jeszcze głośniej
I szerzmy sławę jego donośnie —
Dziś wielki dzień Ropucha!⁵⁴

Śpiewał bardzo głośno, z wielkim namaszczeniem i uczuciem, a gdy skończył piosenkę, zaczął ją od początku.

Potem z jego piersi wyrwało się westchnienie, długie, długie, długie westchnienie...

Następnie zanurzył szcztokę w dzbanku z wodą, zrobił przedziałek na środku łebka, wygładził włosy, równo z obu stron pyszczka i otworzywszy drzwi, szedł spokojnie ze schodów, aby powitać swych gości, którzy, jak wiedział, zgromadzili się już w salonie.

Gdy Ropuch wszedł, wszystkie zwierzęta wiwatowały na jego cześć i zebrały się wokół niego, aby mu powinszować. Mówiły o jego odwadze i mądrości, i umiejętnych sposobach prowadzenia walki, a Ropuch uśmiechał się blado i szeptal:

— Ależ skąd!

A czasem dla odmiany:

— Ależ przeciwnie!

Wydra, która stała przed kominkiem w kole przyjaciół i opisywała dokładnie, jak to ona zabrałaby się do rzeczy, gdyby się tu znalazła, podeszła z okrzykiem do Ropucha i zarzuciła mu łapy na szyję, usiłując oprowadzić go dokoła pokoju, lecz Ropuch osadził ją na miejscu z pewnym lekceważeniem i oswobodził się z jej uścisku, mówiąc łagodnie:

— Borsuk był umysłem, który nami kierował. Kret i Szczur walczyli w pierwszym szeregu, ja nie zrobiłem nic lub prawie nic, tyle co zwykły szeregowiec.

Zwierzęta były zdumione i zaskoczone tym niezwykłym zachowaniem się Ropucha. A Ropuch poczuł, że wzbudza ogólne zainteresowanie, gdy przechodzi od jednego gościa do drugiego i odpowiada skromnie na pytania.

Borsuk zarządził wszystko jak najlepiej i bankiet udał się doskonale. Było dużo gaudania i śmiechów, i żartów, ale Ropuch — który, ma się rozumieć, przewodniczył — miał przez cały czas oczy spuszczone i szeptal komplementy zwierzętom siedzącym obok niego. W przerwach spoglądał na Borsuka i Szczura, a kiedy tylko na nich popatrzył, widział, że wlepiają w siebie oczy, otwierając pyszczki ze zdumienia. Sprawiało mu to wielką przyjemność.

Niektóre młodsze zwierzęta weselszego usposobienia zaczęły szeptać do siebie późno wieczorem, że jakoś nie jest tak zabawnie, jak bywało za dawnych dobrych czasów; dało się słyszeć tu i ówdzie stukanie w stół i okrzyki:

— Ropuch niech mówi! Chcemy mowy Ropucha! Piosenek! Piosenek pana Ropucha!

Ale Ropuch kręcił przecząco łebkiem, podnosił łapkę, protestując łagodnie, zapraszał gości do jedzenia i dzięki pogawędkom na różne tematy i gorliwemu rozpytywaniu się o członków rodziny zbyt młodych, aby mogli brać udział w życiu towarzyskim, zdołał wzbudzić w swych gościach przeświadczenie, że bankiet odbywa się ściśle według przyjętego zwyczaju.

Był to zaiste Ropuch zupełnie odmieniony.

*

⁵⁴*Ropuch powrócił do domu!* — przekład Zofii Baumanowej. [przypis redakcyjny]

Czterej przyjaciele po owym szczytowym punkcie swej kariery życiowej dalej prowadzili z pełnym zadowoleniem radosny żywot, tak brutalnie przerwany wojną domową. Żadne powstania ani najazdy nie zakłócały już ich spokoju. Ropuch, po naradzie z przyjaciółmi, wybrał piękny złoty łańcuch i medalion wysadzany perłami i wysłał go córce dozorczy więziennego wraz z listem, który zyskał poklask nawet u Borsuka, za słowa pełne uznania, wdzięczności i skromności. Z kolei maszynista otrzymał należne podziękowania i wynagrodzenie za podjęte trudy i kłopoty. Pod surowym naciskiem Borsuka odszukano także, z pewnym trudem, właścicielkę barki i zwrócono jej dyskretnie sumę pokrywającą wartość konia, mimo że Ropuch gwałtownie się temu przeciwstawiał. Uważał się za narzędzie losu, zesłane, by karać tłuste baby o piegowatych ramionach, baby, które nie potrafią poznać prawdziwych dżentelmenów, kiedy się z nimi zetkną. Wypłacenie zakwestionowanej sumy nie było, prawdę powiedziawszy, zbyt uciążliwe, ponieważ miejscowi taksatorzy⁵⁵ uznali, iż ocena Cygana była mniej więcej sprawiedliwa.

Czasami, podczas długich letnich wieczorów, przyjaciele udawali się razem do Puszczy, która nie przedstawiała już dla nich niebezpieczeństwa. Przyjemnie było patrzeć, z jakim szacunkiem witali ich mieszkańcy Puszczy, jak matki-tchórze wynosiły swe dzieci do wylotów nor i mówiły do nich:

— Patrz, dzidziu, tam idzie wielki pan Ropuch, a obok niego kroczy dzielny Szczur Wodny, straszliwy zabijaka. A tam, widzisz, to słynny pan Kret, o którym twój ojciec często opowiada.

A jeśli dzieci były krnąbrne i nie chciały słuchać, uspakajano je groźbą, że jeśli się nie ustatkują i nie przestaną martwić starszych, przyjdzie po nie przerażający szary Borsuk. Było to podle oszczerstwo wobec Borsuka, który lubił dzieci, choć nie bardzo dbał o towarzystwo. Lecz skutek tych słów nigdy nie zawodził.

⁵⁵taksator — rzeczoznawca ustalający cenę (takę) czegoś. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/o-czym-szumia-wierzby>

Tekst opracowany na podstawie: Kenneth Grahame, *O czym szumią wierzby*, tłum. M. Godlewska, Oficyna Wydawnicza Rytm, Wydawnictwo Waza, Warszawa 1995.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Karyna Yurchuk, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Publikację wsparli i wsparły: megaK, Paweł Karasek, Agnieszka Salata-Niemiec, Anna Nadachewicz, Grzegorz Werpachowski, Elabekota, Anna Mindykowska, ewa lach, Dorota Doszko-Nowak, Sierotkamarysia, GrzeKon, Kamila Batnik, Barbara, Ja, Edmund Łagutko, Irneusz Janek, Iwona, Mirosław Baranowski.

ISBN 978-83-288-5173-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).